

LEONARD CARPENTER

CONAN SOBOWTÓR

TYTUŁ ORYGINAŁU CONAN THE WARLORD
PRZEKŁAD MAREK MASTALERZ

Dedykowane Steve'owi Loicano

PROLOG
DRUŻYNA SZKIELETÓW

Odludne, owiane legendami bagna Varakiel fascynowały dorastającego chłopca z Nemedii. Niezliczone mile torfowisk i trawiastych wysepek ciągnęły się od wschodnich połaci tego królestwa po brythuńskie stopy, znad których co dnia wylaniało się słońce. Nieprzebyte dla pieszych i konnych wędrowców trzęsawiska stanowiły od zarania dziejów omijaną przez historię połąć Ziemi. Zdradliwe bagnisko było azylem dla ściganych i słyneło z tego, iż czasem stawało się śmiercionośną pułapką dla całych armii.

Życie na skraju wielkiej, niezbadanej połaci dawało liczącemu zaledwie jedenaście wiosen Larowi odczucie, iż obcuje z nieprzeniknioną, wszechobecną tajemnicą. Posępne krzyki bagiennego ptactwa i żałosne zawodzenie wiatru w kołyszących się trzcinach zapadają głęboko w ludzką duszę, zwłaszcza gdy jest to dusza jedynaka i marzyciela skłonnego wbrew przestrogom rodziców wędrować daleko poza znajome okolice.

Uniesienie wywołane odkrywaniem nowej, nieznannej krainy sprawiło, że Lar odszedł wyjątkowo daleko od rodzinnej tratwy z drewnianych bali. Chłopiec był zdziwiony, że ojciec nigdy nie opowiadał mu o tej okolicy. Bez wątpienia zahartowany surowym życiem, starszy mężczyzna wiedział ojej istnieniu, znał bowiem Varakiel lepiej niż ktokolwiek inny i szczycił się tym, iż zgłębił wiele sekretów bagien.

Być może znaczyło to, iż Lar znalazł się w stronach, których istnienie było okryte tajemnicą. Chłopiec nie wiedział jeszcze, czy połąć ładu, do której dotarł, jest wyspą czy półwyspem. Odpowiedź na to pytanie mogła zależeć od pory roku i powtarzających się od wieków zmagañ deszczu i posuchy.

Podmokły grunt, kępy wierzb i konieczność nieustannego strzeżenia się przed niedźwiedziami, węzami i dzikimi kotami utrudniały Larowi marsz. Teren wznosił się stopniowo, przechodząc w pas łąk o suchym, twardym gruncie, podobnych do leżących na zachodzie pastwisk należących do ojca chłopca. Dlaczego nikt nie osiedlił się na tej żyznej, nadającej się pod orkę ziemi?

Podpierając się jak laską drzewcem ościenia do łowienia ryb, Lar posuwał się naprzód kołyszącym się krokiem. Wodził wzrokiem po horyzoncie wypatrując wysokich drzew lub wyniosłości, z których mógłby rozejrzeć się po okolicy.

Minał kępę olch i zamarł... Przed sobą ujrzał zbielały szkielet wyprężonego, zdającego się galopować konia, na którego grzbiecie jechał kościotrup jeźdźca odziany w przerdzewiałą zbroję i szczerzący zęby w makabrycznym uśmiechu.

Lar nie uciekł z krzykiem. Uważał, że lęk jest czymś niegodnym, zaś rozum podpowiadał, że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Cofnął się pod osłonę kępy drzewek i znieruchomiał, wytężywszy słuch. Jedynie słaby wiatr szeleścił listowiem. Nie słyhać było tętentu kopyt ani szcępuku broni. Gdy Larowi przestało łomotać serce, ponownie wyjrzał zza pni.

Upiorny jeździec nadal galopował w miejscu. Jedynymi ruchomymi elementami tej makabrycznej sceny były poruszane przez wiatr strzępy wypłowiałej tkaniny, przylepione do kości i szczątków zbroi.

Wyglądający z ukrycia Lar stwierdził, że para szkieletów zachowuje pionową pozycję dzięki drewnianemu kołkowi, przenikającemu brzuch i siodło konia oraz klatkę piersiową jeźdźca. Chłopiec zauważył, że spiczasty koniec pala unosi przerdzewiałą hełm na szerokość dłoni nad czaszkę rycerza.

Lar wiedział, że wbicie na pal to rodzaj egzekucji, w której lubowali się surowi Brythuńscy. Wyglądało na to, że jeźdźca, a także i konia nadziano jeszcze za życia. Na tę myśl chłopiec zadrżał, lecz nie mógł oderwać wzroku od makabrycznego widoku.

Ruszył do przodu, omijając szerokim łukiem łeb bojowego rumaka o żółtych zębach. Lar przyjrzał się z bliska szkieletowi wojownika i wraz z zapierającym dech w piersiach dreszczem grozy zdał sobie sprawę, że był to dowódca całego oddziału kościotrupów.

Na polance w luźnym szyku stało jeszcze dziewięć par szkieletów koni i ludzi w tym samym stadium rozkładu, co dowódca. Dwaj jeźdźcy osunęli się w dół szerniałych pali, zamieniając się w kopczyki zabarwionych rdzą kości. U boków upiornych jeźdźców zwisały przerdzewiałe szable z zaśniedziałymi, spiżowymi rękojeściami.

Większość wieśniaczych dzieci pierzchłaby z tego emanującego grozą zakątka. Ich bezładne, historyczne opowieści zostałyby potem zbyte przez rodziców śmiechem lub skwitowane surowymi, pełnymi lęku spojrzeniami. Lar był jednak ulepiony z innej gliny. Był marzycielem i sięgał myślami znacznie dalej niż ograniczone umysły większości chłopców w jego wieku. Od wczesnego dzieciństwa zastanawiał się nad znaczeniem niektórych uwag, podsłuchanych w chwilach, gdy dorośli uważali, że dziecko śpi na zapiecku.

Wędrujący między szkieletami Lar doznawał uczucia mrozącego krew w żyłach podziwu. W środku grupy jeźdźców dostrzegł jeszcze jeden relikwyt przeszłości – rozpadający się rydwan. W odróżnieniu od wierzchowców, koni z zaprzęgu nie wbito na pale. Trzy bezładne sterty kości tkwiły w resztkach skórzanej uprzęży, jakby nadal czekały na okrzyk woźnicy.

Burty rydwanu rozpadły się. Szare szprychy i wyblakłe deski pomostu przybrały identyczną barwę, jak otaczające je szkielety. Resztki pojazdu pokryły porosty i łuszczące się płaty jaskrawych niegdyś farb.

Między resztkami rydwanu leżały kości jedenastego człowieka. Niekompletną czaszkę bez wątplenia dawno temu rozszczepiło ciężkie ostrze. Lar poczuł się nieswojo. Czaszka była osobliwie płaska i wydłużona oraz obdarzona nadmiernie wystającymi zębami.

Uwagę chłopca przykuł odblask gładkiej, metalowej powierzchni, wystającej spod płata wyprawionej skóry, niegdyś być może tarczy lub osłony burty rydwanu. Lar zajrzał w cień i stęknął ze zdumienia. Czyżby znalazł złoto?! Przypomniawszy sobie, że musi się strzec przed bagiennymi żmijami, chłopiec przyklęknął. Wyschnięte kości zaklekotały, gdy patykiem odgarnął strzęp skóry.

Pod spodem znajdowała się owalna, złota szkatuła na biżuterię, wykuta na podobieństwo łba węża. Dla chłopskiego syna, który w życiu widział zaledwie parę metalowych wyrobów, precyzja wykonania wydała się wręcz cudowna.

Ślepia węża tworzyły dwa wielkie klejnoty. Gdy Lar końcem palca otarł kurz z jednego z nich, powierzchnie szlifu zaślniły ciemną zielenią. Ze szmaragdów wykonano również kły węża.

Lar ujrzał zawiasy z tyłu szkatuły. Wsunął dłoń między szczęki węża i spróbował podnieść ciężkie wieko. Nie nasmarowane zawiasy sprawiły, że przyszło mu to ze sporym trudem, lecz w końcu zdołał tego dokonać. W promieniach słońca zabłysło wnętrze paszczy węża wykonane z wypolerowanego do lustrzanego połysku białego złota. Dno szkatuły zaścielały krwistoczerwone rubiny, spomiędzy których wystawał rozdwójony język gada. W jego rozwidleniu znajdował się największy skarb; złoty, inkrustowany klejnotami diadem.

Lar znał korony i skarby tylko z barwnych opowieści, snuty przez jego wujów w zimowe wieczory. Mimo to natychmiast pojął, jakie jest przeznaczenie diademu. Poczuł nieprzepartą ochotę, by umieścić go na własnych skroniach i przejrzeć się w wypolerowanej pokrywie szkatuły.

Nagle przeniknął go dreszcz grozy. Ogarnęła go pewność, że jeśli uniesie głowę, ujrzy, że szkielety jeźdźców ożyły i teraz prostują zbielałe kończyny, kręcą chroboczącymi karkami oraz kierują upiorne wierzchowce w jego stronę. Ledwie odważył się podnieść wzrok, lecz gdy to uczynił, stwierdził, że nic się nie zmieniło. Jeźdźcy wciąż stali na swoich miejscach. Najbliższy sterczał niemalże nad chłopcem, lecz niewątpliwie nie poruszał się.

W oddali nad trzcinami i kępami krzewów przetaczały się chmury barwy stali, wieszczące rychłą odmianę pogody. Na łące jedynie słaby wiatr poruszał żdźbłami traw i szemrał słabo między kośćmi drużyny szkieletów.

Lar zadał sobie pytanie, co właściwie może grozić mu na tym pradawnym cmentarzysku. Nie widział niczego naprawdę niebezpiecznego, dlaczego zatem miałby lękać się szczątków czyjejs minionej potęgi i chwały? Przez całe życie musiał wysłuchiwać bająn dziadków, przestrzegających przed nieziemskimi mocami. Nagle zdał sobie sprawę, że gardzi ich tchórzostwem. Nie dla niego strachy i

mary ciemnych chłopów. Lar opuścił ponownie wzrok i sięgnął po diadem. Gdy go poruszył, usłyszał zgrzyt zwalnianego rygla. Wieko szkatuły opadło ciężko na jego nadgarstek. Chłopiec poczuł, że jeden ostry jak igła kiel rzeźbionego węża wbija się w jego ciało dosięgając kości. Lar krzyknął z przenikliwego bólu.

Ze szlochem, wolną dłonią szarpnął ciężkie wieko, próbując uwolnić zranioną rękę. Skaleczenie paliło nieznośnie, lecz już po chwili poczuł szerzące się wzdłuż ramienia odrętwienie. Równocześnie tracił jasność myśli.

Gdy z wysiłkiem podważył wieko i chwiejnie dźwignął się na nogi, mimo mgły zasnuwającej pole widzenia zdołał jeszcze zauważyć, że z kryształu stanowiącego kiel węża ścieka nie tylko krew, lecz także żółty jad.

Trzy dni później ojciec znalazł Lara, gdy ten brnął przez zarośnięte trzcinami bagno. Ani prośbami, ani groźbami nie zdołał wydobyć z oszołomionego chłopca chociażby słowa wyjaśnienia. Starszy mężczyzna dźwignął Lara na ramię i zaniósł go do chaty, do matki zatrwożonej losem zaginionego syna.

– Lar! Och, Lar, najdroższe dziecko, dlaczego mnie nie posłuchałeś?! Obiecuj mi, że już nigdy nie zostawisz mnie samej!

Zrozpaczona kobieta wykapała i wytarła chłopca, ułożyła go na łóżku przed paleniskiem i pokryła maścią jatrzącą się ranę na jego rękę.

Później, gdy ojciec poszedł na pole, spróbowała nakarmić Lara zupą, lecz chłopiec nie reagował. Spróbowała go zachęcić do jedzenia, przystawiając mu łyżkę do ust. Wtedy syn chwycił ją za rękę i ugryzł. Kobieta krzyknęła przeraźliwie, rana bowiem zapiekła jak natarta solą.

I

TAŃCZĄCE PAŁKI

W lochu unosił się zastały odór ludzkiego nieszczęścia. Mrok i zaduch tworzyły prawie namacalny opar rozpacz, przecięty przez wąskie pasmo mętnego światła wpadającego przez kratę wysoko w górze. Z miejsca, gdzie promień blasku padał na kałużę pełną gnijącej słomy, unosiły się smużki pary.

Ponad dwudziestu mieszkańców lochu stojąc lub siedząc w kucki opierało się o chropowate, kamienne ściany. Większość stanowili nemediańscy chłopcy pańszczyźniani – ogorzali mężczyźni w sięgających kolan sukmanach, przepasanych parcianymi sznurkami. Inni, cudzoziemcy, nosili bardziej egzotyczne stroje. Zawadiaccy ulicznicy, trudniący się w Dinander złodziejskim rzemiosłem, dzielili los z włóczęgami, którzy narazili się miejskim władzom. Również kondycja więźniów była rozmaita: hardzi osiłkowie rozpierali się na najlepszych miejscach przy wejściu do lochu, zaś zgnębieni torturami wieśniacy jęczeli w najciemniejszych kątach.

Więzień, na którego los zawział się najsrożej, leżał z ugiętymi nogami na środku celi, twarzą do mokrej podłogi. Brudna stopa w sandale sterczała w łacie blasku, poprzecinanej cieniem kraty.

Niedola tego właśnie człowieka wyjątkowo troskała jego towarzyszy, którzy od dłuższej chwili głośnymi krzykami starali się zwrócić na siebie uwagę wartowników:

– Straże! Biedak Stolpa umarł! Wyciągnijcie go stąd!

– Tak, zabierzcie go z lochu! Zaczyna cuchnąć! Krępy więzień z bujną brodą podszedł do drewnianych drzwi i wymierzył w nie trzy kopniaki wystarczające, by mury więzienia zadrżały w posadach.

– Zabierzcie go stąd! Zabierzcie go stąd!!! – zaczął wrzeszczeć.

Więźniowie podjęli skandowanie, uzupełniając je przeciągłymi gwizdami. Krzyczeli wszyscy, którzy mieli na to dość siły, z wyjątkiem młodego mężczyzny, opartego o ścianę obok wejścia.

Był to barbarzyńca z Północy. Wysoki, doskonale umięśniony młodzieniec wyglądał na osiemnaście wiosen. Miał bujne, czarne włosy i dostrzegalne zaczątki brody. Nie dopasowane spodnie i koszula nemediańskiego kroju wyglądały groteskowo na jego wspaniale umięśnionym ciele. Barbarzyńca nie spuszczając wzroku z drzwi, rozmawiał szeptem ze stojącym obok mężczyzną, łotrzykiem o złamanym nosie, który wszczał panujący obecnie zamęt.

– Idą! – poznaczone bliznami oblicze starszego mężczyzny spowaźniało. – Pamiętaj, co masz zrobić, Conanie! Inni też mają swoje zadania.

– Oczywiście, Rudo.

Rozległy się kroki za drzwiami i szcęk żelaza. Młodzieniec wyprostował się. Wrzaski współwięźniów stopniowo ucichły.

– Zatracone łajno! – zagrzemiał chrapliwy głos na korytarzu. – Spokój ma być, inaczej każę was naszpikować strzałami!

Brodacz, który kopał w drzwi, rozłożył dłonie w błagalnym geście i wskazał nieruchomą postać na środku lochu.

– Wasza miłość, Stolpa skołał parę godzin temu. W celi i tak jest tłoczno. Prosimy, żeby go stąd zabrano.

– Zdechł, co? – rzucił ochryple niewidoczny dozorca. – Który z was go zadusił, łotry?

– Żaden, panie – brodacz nerwowo ścisnął dłonie. – Wiesz przecież, łaskawy panie, że od jakiegoś czasu chorował.

– I dobrze. Niech sobie gnije. A ty razem z nim, Falmar! – Dozorca wymamrotał coś do kogoś z boku, po czym odezwał się ponownie: – Jaka mam pewność, że to nie sztuczka?

Wśród więźniów rozległ się pomruk niezadowolenia. Garbatonosy Rudo przeszedł szybko na środek lochu, nakazał Falmarowi odsunąć się i powiedział do dozorczy:

– Panie, za pozwoleniem...

Demonstracyjnie kopnął leżącego mężczyznę z taką siłą, że przesunął jego ciało o dobre dwie stopy.

– Cierpienia Stolpy dobiegły kresu, panie – Rudo odwrócił się w stronę drzwi i nieznacznie pochylił głowę. – Nasze dopiero się zaczynają. Raczycie go zabrać, panie?!

Więźniowie czekali w milczeniu, nieruchomi jak głazy. Po drugiej stronie drzwi rozległy się niewyraźne pytanie i odpowiedź, a następnie zabrzmiało warknięcie:

– Dobrze, ale musicie sami go wynieść. Może umarł na jaką zaraźliwą francę? Wolno go nieść najwyżej dwóm, nikomu więcej.

Rudo i Falmar dzwignęli ciało Stolpy za ręce i nogi. Gdy rozległo się głucho szczęknięcie zasuwki niemal wszyscy więźniowie drgnęli nerwowo. Ciężkie drzwi otworzyły się do środka.

– No już! Wynoście go, żywo!

Właścicielem chrapliwego głosu był mężczyzna o policzkach pokrytych siwą szpeciną, ubrany w spiżowy hełm i kamizelkę z czerwonej skóry – strój członków straży miejskiej. Zdecydowanym ruchem kuszy dał znak dwóm więźniom. Drugi, chudszy strażnik nie zdejmował dłoni z uchwytów antab, by zamknąć drzwi natychmiast po ich wyjściu.

Gdy Rudo i Falmar mijali próg, wszyscy więźniowie naraz rzucili się do wyjścia. Młodzik z Północy chwycił za ramię trzymającego sztaby strażnika i wciągnął go do lochu. Równocześnie Rudo i Falmar upuścili Stolpę i rzucili się na starszego dozorcę. Rzekomy nieboszczyk cudownie zmartwychwstał i z furją wsparł ich atak.

Młody barbarzyńca stracił parę cennych chwil na pozbawienie strażnika przytomności wściekłymi ciosami pięści. Kilkakrotnie szarpnął pałkę zawieszoną na nadgarstku ofiary tak silnie, iż rozległo się chrupnięcie rwanych ścięgien i łamanych kości. Wreszcie rzemień pękł. Barbarzyńca zacisnął rękę na broni z twardego drewna i odepchnął na bok nieprzytomnego strażnika.

Conan wydał z głębi piersi mrozący krew w żyłach okrzyk bojowy i rzucił się w ciżbę więźniów starających wydostać się z lochów. Do tego czasu w wartowni zrobiło się ciasno od walczących mężczyzn. Trzeciego dozorcę o nalany karku powalono na ziemię i rozbrojono. Daremnie, z twarzą zalaną krwią, starał się wyczołgać spod prześladowców. Do walki włączyło się co najmniej czterech innych strażników. Gdy barbarzyńca przepychał się między buntownikami, dwaj następni mężczyźni w kolczugach zbiegli po wąskich schodach prowadzących do izby tortur.

Gdy pierwszy z nich dotarł do walczących, młodzieniec już na niego czekał. Barbarzyńca zamachnął się pałką. Skraj hełmu złagodził siłę uderzenia, lecz mimo to strażnik runął jak rażony gromem.

Drugi mężczyzna podjął próbę pomszczenia towarzysza. Młodzieniec umknął w bok i cios więziennego dozorczy trafił go w ramię. Obydwaj zaczęli szermierkę dębowymi pałkami. Już po chwili barbarzyńca z Północy zdołał zdzielić przeciwnika po kłykcjach. Gdy pałka wysunęła się z obezwładnionej bólem ręki, młodzieniec powalił strażnika ciosem między oczy. Więzień z długimi, rzędniejącymi włosami natychmiast rzucił się, by przywłaszczyć sobie broń pokonanego.

Młodzieniec odwrócił się w stronę schodów, gdzie tłoczyli się już następni strażnicy. Garbatonosy Rudo wystrzeliwszy bełt tłukł przeciwników kolbą kuszy.

Pozostali więźniowie starali się dostać na tyle blisko strażników, by uderzenia pałek nie mogły dosięgać ich z pełną siłą. Falmar zmagał się zawzięcie z krępyim dozorcą, dławiąc go jego własnym batem. Żyłasty Stolpa leżał u podnóża schodów. Tym razem nie dawał znaku życia znacznie bardziej przekonująco niż przedtem.

Barbarzyńca rzucił się ochoczo na rozpaczliwie broniących się strażników. Ponieważ metalowe hełmy osłaniały czaszki przeciwników, młodzieniec z Północy wymierzał ukośne ciosy w ich barki. Jego wysiłki szybko nagrodził trzask pękającego obojczyka i wrzask bólu.

Barbarzyńca wpadł w opętańczy rytm walki. Jego ruchy przypominały ekstatyczny, zawiły taniec. Uderzenia pałek ześlizgujące się po ramionach i żebrach Conana, powodując piekielny ból sprawiały, że wymachiwał swą bronią jeszcze gwałtowniej. Unik, skok naprzód, sparowanie ciosu, cios! Tętniąca krew wygrywała w jego skroniach gwałtowną pieśń wojenną.

Otoczający Cymmerianina zamęt pozornie zamarł. Stał się jakby daleki i nieważny. Barbarzyńca czuł się wszechpotężny i niezwyciężony. Jego wrogowie ścielili się na lewo i prawo jak skoszone zboże.

Rozpaczliwe okrzyki z tyłu sprawiły, że młodzieniec odzyskał poczucie rzeczywistości. Rozejrzał się, wciąż oszołomiony po bitewnym transie. Z niższych lochów przybyła odsiecz dla więziennych dozorców. Część więźniów zapędzono już z powrotem do cuchnącej nory. Siły buntowników zostały rozdzielone. Fletta, oprawca o twarzy jak księżyc w pełni, ustawił się przed wejściem. Mając za plecami dwóch strażników, okutą miedzią maczugą walił w głowę każdego, kto próbował wydostać się z celi.

Walka przybrała niepomyślny obrót. Było za późno, by to naprawić, lecz wciąż istniały duże szanse, że większość więźniów uda się wydostać z podziemi. Wejścia na górę broniło tylko dwóch strażników, którzy cofali się przed nieustępliwie nacierającymi buntownikami z Rudonem i Falmarem na czele.

Lecz chwilę później z góry dobiegły stanowcze komendy. U szczytu krętych, pozbawionych poręczy schodów pojawili się tym razem członkowie Żelaznej Gwardii. Żołnierze w czarnych, metalowych hełmach oraz pancerzach dobyli zakrzywionych szabel i ruszyli w dół.

Ich dowódca przeszedł przez łukowato sklepione drzwi na szczycie schodów i przyglądał się natarciu. Był to wysoki, dystygnowany mężczyzna z wypielęgowanymi czarnymi wąsami. Trzymał dłoń na rękojeści broni pod płaszczem, lecz nie schodził z podestu. Nachylił się do towarzyszącego mu oficera i coś szepnął. Podwładny ruszył w dół po schodach, zaś dowódca utkwiał spokojne spojrzenie w młodzieńcu z Północy.

Końcówka walki była krótka i brutalna. Szczęśliwsi więźniowie stracili przytomność pod ciosami żądnych zemsty strażników. Tych, którym los nie sprzyjał, rozsiekali członkowie Żelaznej Gwardii.

Barbarzyńcę otoczyli strażnicy. Jeden z nich, grubas w skórzanej kamizelce, zdołał przycisnąć młodzieńca do ściany, po czym bez większego trudu rozbrowiono buntownika. Ponieważ Cymmerianin nie przestawał się szarpać, zadarto mu na głowę koszulę i powalono na kolana. Mimo to Conan nadal wrywał się tłukącym go ze wszystkich stron niewidocznym przeciwnikom. Spodziewał się, że lada chwila poczuje w trzewiach chłód stali, lecz z nieznanых powodów więzienni dozorczy używali tylko pałek. Wykręcono mu ręce na plecy, po czym szybko i pewnie skrępowano. Czyjaś wielka, spocona łapa zacisnęła się na szyi młodzieńca.

Ze wszystkich stron rozlegały się głuchoe odgłosy ciosów, jęki i błagania o litość. Walka dobiegła końca. Ponieważ Conan pojął, że prześladowcy chcą wziąć go żywcem, wrywał się im tym gwałtowniej. Żywo wyobrażał sobie tortury i upodlenia, które mu niechybnie szykowano.

Barbarzyńca zorientował się niebawem, że pozostałych przy życiu więźniów wpędzono z powrotem do celi, jednak ci, którzy go pojмали, nadal nie pozwalali mu podnieść się z klęczek. Tuż obok rozległ się spokojny, rzeczowy głos:

– To jego nazywają Conanem?

– Tak, panie. To Cymmerianin. Niebezpieczny zabijaka, pewnie był jednym z prowodyrów buntu – w głosie strażnika wibrował gniew i pogarda. – Za pozwoleniem, panie marszałku, powinno się mu przetrącić kolana albo zabić od ręki!

– Odsłońcie mu twarz.

Conanowi zdarto z głowy koszulę. Ujrzał zasłaną skrwawionymi ciałami wartownię, nieprzeniknione oblicze oficera w czarnym płaszczu i wykrzywioną twarz przytrzymującego go strażnika.

Oficer przez chwilę przyglądał się barbarzyńcy zimnym wzrokiem, po czym rzekł pozbawionym wyrazu tonem:

– Wsadźcie go do pojedynczej celi. Przyjdziemy po niego później. – Marszałek obrócił się na pięcie, zamiatając posadzkę płaszczem. Odchodząc, rzucił przez ramię: – Od tej pory jest pod jurysdykcją barona.

II

PAŁAC

Powóz przetaczający się z łoskotem bocznymi uliczkami Dinander śledzono ukradkiem zza drzwi i okien pograżonych w ciemnościach domostw. Mimo nocnej pory, obserwowano przejazd nawet w zasłanych odpadkami najnędrniejszych zaułkach. Taką uwagę poświęcano wszystkim wydarzeniom, wykraczającym ponad przeciętność życia w prowincjonalnym mieście. Postępowano tak, by znaleźć temat do plotek, podsycać intrygi, lub też ze zwyczajnego strachu.

Jazda po nierównych ulicach stanowiła dla pasażerów topornego powozu srogie doświadczenie. Okute żelazem koła ślizgały się gwałtownie po niezbyt gęstych brukowcach, chociaż trzy gniade konie równo ciągnęły pojazd. Koła zapadały się groźnie w każdy z przecinających ulice rynsztoków, by po chwili wyskakiwać w górę jak wystrzelone z katapulty.

Zarówno woźnica, jak i siedzący obok pasażer, z trudem utrzymywali się na miejscach. Jeszcze większą niewygodę podróż sprawiała człowiekowi, który ze związanymi na plecach rękami turlał się po dnie powozu.

– Leż spokojnie, śmierdzący barbarzyńco, albo przyłożę ci pałą!

Woźnica poparł swe słowa uderzając rękajeścią bata w plecy zwijającego się z bólu więźnia.

– Na Croma! Zabijecie mnie! – skargi barbarzyńcy tłumiła przykrywająca go końska derka. – Ledwie mogę oddychać!

– Cicho, Cymmerianinie! – pasażer w czarnym płaszczu, marszałek Durwald, nie tracił spokoju. – Pan baron nakazał, by zabrać cię z więzienia. Jeżeli jednak ktoś cię zobaczy, przestaniesz być potrzebny mojemu panu. Wówczas spotka cię los, odpowiedni do twojego urodzenia i występków. Siedz cicho, jeżeli nie chcesz źle skończyć! – opuścił na barbarzyńcę pełne pogardy spojrzenie. – I nie próbuj zrywać więzów! Dojeżdżamy już do pałacu.

Woźnica cmoknął i potrząsnął lejcami, by popędzić konie. Po chwili Cymmerianin poczuł, że rydwan przejeżdża przez most z grubych bali – gładki jak atlas w porównaniu z brukiem miejskich ulic. Rozległy się powitalne okrzyki i łoskot otwieranej ciężkiej bramy. Po chwili kołysanie ustało: powóz zatrzymał się.

Z Conana ściągnięto derkę. Ledwie zdążył podgiąć pod siebie zdrętwiałe nogi, gdy wywleczono go na zewnątrz i ciśnięto na ubitą ziemię. Przypadł na kolano, odzyskał równowagę i dźwignął na równe nogi.

Marszałek gestem rozkazał mu iść w stronę bocznego wejścia do budowli, przed którą się znajdowali. Woźnica pchnął go gwałtownie. Conan odwrócił się ku niemu z mrocznym błyskiem w oczach. Mężczyzna cofnął się o krok, na chwilę zapominając, że więzień ma skrępowane ręce. Młodzieniec z Północy rozejrzał się wokół siebie, przeciągnął z całych sił obolałe kończyny i ruszył niechętnie we wskazanym kierunku.

Budowla przed nimi bardziej przypominała fortecę niż pałac. Otaczający ją mur wznosił się na wysokość trzech dorosłych mężczyzn, a dach wartowni stanowił platformę dla obrońców. Dodatkową ochronę zapewniały okrągłe wieżyczki we wszystkich czterech rogach głównej bryły budynku. Pałac postawiono z ociosanych kamieni, lecz wzdłuż ścian przycupnęły murowane stajnie i oficyny. Szlachecka rezydencja górowała ponad nimi. Obydwa wielkie skrzydła głównego wejścia stały otworem, szeroka smuga żółtego blasku padała na kamienny ganek.

Marszałek Durwald nie miał zamiaru zbliżyć się do jasno oświetlonego frontowego wejścia. Podeszedł do głębokiej wnęki z boku pałacu i przekręcił klucz w zamku okutych żelazem, drzwi. Otworzył je z cichym szmerem i wraz z pozostałymi dwoma mężczyznami wszedł do dużego, oświetlonego lampami pomieszczenia.

Wzdłuż jednej ze ścian wisiał rząd płaszczy, pod którymi ustawiono szereg butów. Naprzeciwko znajdowała się wykoślawiona ława. Conan zdołał rzucić okiem przez drzwi w głębi. Za nimi znajdował się wystawny, frontowy hol z kręconymi, głównymi schodami, udekorowany gobelinami o jaskrawych barwach.

– Zamknij drzwi! – polecił marszałek.

Woźnica zasunął rygle i pośpieszył uczynić to samo z drzwiami do holu. Durwald dał znak Conanowi, by usiadł na ławie. Młodzieniec zawahał się, po czym usłuchał. Podszedł do ławy najrówniej jak mógł, starając się ukryć ból w kręgosłupie i żebrach. Marszałek stanął nad barbarzyńcą, a woźnica zatrzymał się obok niego.

– Cymmerianin, zgadza się? – Durwald rozsunał poły płaszcz na odzianej w pancerz piersi i przyjrzał się więźniowi zmrużonymi oczami. – A jednak kiedy cię pojmano, miałeś przy sobie zamorańskie monety i złote drachmy, bite w naszej stolicy, Belverusie. Wnoszę więc, że wracałeś z Południa?

Młodzieniec niechętnie skinął głową. Wiedział, że w stolicy Nemedii mógłby zostać oskarżony o krwawe zbrodnie, nieważne, słusznie czy nie.

– Odpowiadaj, kiedy jesteś pytany! Jak długo jesteś w Dinander?

– Niecałe dwa tygodnie.

Conan opuścił wzrok na posadzkę, by nie zdradził go wyraz twarzy. Marszałek z namysłem poskubał wąs.

– Masz w Nemedii rodzinę czy osoby, z którymi cię coś łączy?

– Nie.

Conan zastanowił się, w jakim kierunku zmierza przesłuchanie.

– Jesteś pewny? Żadnych krewniaczek, które sprzedano na południe jako niewolnice? – Durwald pochylił głowę, wpatrując się z natężeniem w jeńca, na którego twarzy malowała się jedynie niechęć wobec marszałka. Ponieważ Cymmerianin nie odpowiedział, oficer rzekł: – Doskonale, chłopcze! Przybywasz z pustkowi Północy, powiedz zatem co sędzisz o cudach naszej cywilizacji? – uśmiechnął się pod wąsem, niespodziewanie przybierając pozę pełną fałszywej serdeczności. – Jak ci się podobają hyboryjskie krainy?

Młody barbarzyńca zastanowił się przez chwilę, po czym podniósł wzrok na Durwalda.

– Pełno tu dziwów... Nigdzie nie widziałem tak wielkich bogactw, jak w miastach Południa – ani takiej nędzy i upodlenia... – potrząsnął z namysłem głową. – W Cymmerii zdarza się, że głodują całe plemiona, lecz kiedy jedzenia jest pod dostatkiem, nikt nie chodzi z pustym brzuchem. Tutaj porządni ludzie konają z głodu, podczas gdy garstka pazernych bogaczy tuczy się kosztem reszty.

– Lepiej było już dawno wyrzucić takie myśli w zasy Północy, chłopcze – oczy Durwalda zwęziły się z niezadowolenia. – Bez względu na to, czy są słuszne czy nie, w Dinander za takie gadanie możesz stracić język – spojrzął z namysłem na Conana. – Nie najgorzej mówisz po nemediańsku. Gdzie się go nauczyłeś?

– Nemediańska hołota próbuje osiedlać się na cymmeriańskich ziemiach, pospołu z Gunderlandczykami. Gdy byłem młody, wzięliśmy wielu twoich rodaków do niewoli – odparł beztrąsco Conan. – Później brałem udział w wyprawie, która doprowadziła ich do fortu Ulau i wróciła z okupem.

– To byli wieśniacy ze wschodniej Nemedii?

– Chłopi z Vast.

– Hm, tak... – marszałek pokiwał głową z zadumą. – Nic zatem nie powstrzymuje cię przed wstąpieniem na służbę u barona Dinander?

– Dlaczego nie? – Conan podniósł wzrok. W jego oczach pojawiła się nagle czujność. – O ile nikt nie zażąda, bym zabijał czy szpiegował moich rodaków.

– Oczywiście! – Durwald po raz pierwszy od rozpoczęcia rozmowy uśmiechnął się szczerze. Odwrócił się do woźnicy i rzekł: – Swinn, znajdź mu lepsze ubranie na posłuchanie u pana barona, obawiam się jednak, że nie ma czasu na kąpiel – zmarszczył nos z odrazą.

Woźnica zaczął grzebać pośród zawieszonych na ścianie ubiorów. Ostatecznie wybrał zielony kaftan i jasnobrązowe spodnie. W milczeniu podsunął je Durwaldowi, który skinął głową z aprobatą.

– Rozetnij mu więzy!

Swinn spojrzął na marszałka z powątpiewaniem, po czym bez słowa odłożył ubiór na podłogę, wy dobył nóż i ruszył w stronę Conana. Cymmerianin wstał i odwrócił się, by umożliwić mu dostęp do nadgarstków.

– Nie bój się! – ponaglił woźnicę Durwald. – Jeżeli ten barbarzyńca ma choć odrobinę oleju w głowie, na pewno domyślił się, że cokolwiek mu proponujemy, jest to lepsze od zgnicia w lochu lub kopalni miedzi. No, rozetnij te sznury!

Swinn wykonał polecenie jednym zdecydowanym cięciem z góry. Conan wyciągnął ręce przed siebie, zgiął je powoli, zrzucił kawałki powrozów i zaczął masować otarte nadgarstki. Woźnica ostrożnie przysunął się do Cymmerianina, gotów pomóc

mu w przebieraniu. Conan trzepnął go w pierś, aż zadudniło.

– Nie podchodź do mnie! – warknął.

Mężczyzna zatoczył się na ławę i w ostatniej chwili przed upadkiem wsparł się ręką o ścianę. Zaklął i zmienił chwyt na nożu, gotując się do pchnięcia.

– Spokojnie, Swinn! – odezwał się ze zniecierpliwieniem marszałek. – Schowaj ten kozik. No, dalej, chłopcze – zwrócił się do Conana. – Sam ściągnij te kradzione szmaty, skoro tak ci na tym zależy.

Młodzieniec popatrzył na obu mężczyzn, zrezygnował z bojowej postawy i zaczął wyciągać ze spodni poły koszuli, porwanej podczas walki w więzieniu.

– Ten ubiór należy do mnie. Nie fatygowałbym się kradzieżą takich łachów.

Ściągnął koszulę przez głowę, zsunął obcisłe, wystrzępione bryczesy i wymachując stopami, zrzucił je na posadzkę. Nie okazywał ani śladu zażenowania własną nagością, musiał jednak ostrożnie obchodzić się z pokrywającymi jego ciało sińcami i zadrapaniami. Skóra Cymmerianina była ciemna od opalenizny i więziennego brudu. Jego wspaniała sylwetka zwężająca się od barków w dół, była doprawdy godna podziwu. Mimo obrażeń, młodzieniec poruszał się z gracją i energią płowego lamparta.

Conan wdział grubszy, lepiej pasujący na niego strój, zaciągnął troki spodni i sznurowanie kaftana. Na koniec zmienił wybrudzone, znoszone sandały na wiązane pantofle z brunatnej skóry.

– Gotowe – oznajmił.

Durwald odwrócił się. Conan podążył za marszałkiem, mając Swinna tuż za plecami. Szlachcic pchnął drewniane drzwi, za którymi znajdowały się kręte schody jednej z narożnych wież pałacu. Cymmerianin musiał pochylić się, wchodząc po wąskich, wydeptanych stopniach. U szczytu schodów zasłonięte kotarą łukowate przejście prowadziło do pustej komnaty sypialnej. Wąskie okienka mogły służyć jako strzelnice.

Durwald przeprowadził barbarzyńcę przez drzwi w przeciwnym końcu sypialni na półpiętro. Przestronny hol za głównymi drzwiami okrażała wewnętrzna galeria. Pod sklepieniem zalegały głębokie cienie. W solidnej drewnianej balustradzie wyrzeźbiono liczne otwory w kształcie czterolistnych koniczynek, umożliwiające w razie potrzeby zasycanie gradem strzał wejścia i głównych schodów.

Trzej mężczyźni przeszli galerią do kolejnych drzwi i wkroczyli do dużej, kunsztownie udekorowanej komnaty. Z foteli o wysokich oparciach przy sześciokątnym stoliku do pisania podnosiło się właśnie dwóch ludzi. Jednym z nich był wysoki starzec z siwym wąsem, drugim grubas w dworskiej szacie.

– Ach, Durwald! A więc to jest ten chłopak!

Starszy mężczyzna zwrócił się w stronę wejścia. Był to arystokrata w każdym calu. Miał na sobie tunikę z doskonale wyprawionej skóry i koszulę z plisowanego jedwabiu. Jego broń był zawieszony na biodrze sztylet ze srebrną rękojeścią. Oblicze starca idealnie nadawałoby się na rzeźbę, wyobrażająca potęgę władzy. Siwe wasy i bokobrody łagodziły surowy kształt nosa i podbródka.

Jednakże gdy baron zwrócił się na wprost do przybyłych, Conan dostrzegł z niemiłym zaskoczeniem, że szlachetna symetria oblicza możnowładcy nosi fatalną skazę. Ogniste czerwona, nierówno wygojona szrama ciągnęła się od oka po kącik warg. W rezultacie wydawało się, że usta możnowładcy są stale wykrzywione w ironicznym uśmiechu. Oko nad bliźną prawdopodobnie zachowało zdolność widzenia, aczkolwiek w porównaniu z drugim wyglądało na bardziej wodniste. Baron utkwiał w Conanie przenikliwe spojrzenie, przerywane częstymi jak u ptaka mrugnięciami.

W odróżnieniu od szlachcica, jego towarzysza cechowała aura zaskakującej pospolitości. Mężczyzna miał na sobie kaftan, ściągnięty tak silnie, że nad i pod paskiem utworzyły się wałki tłuszczu. Był gładko wygolony, miał plamistą cerę, a poruszał się niczym zmanierowany tancerz.

Durwald skłonił się przed arystokratą i wyprostował sztywno jak tyczka.

– Tak jest, dostojny panie! Oto Conan, młodzik, o którym ci mówiłem.

Cymmeriański dzikus, lecz zdaje się, że potrafi słuchać rozkazów. Conanie, winienesz uklęknąć przed baronem Baldomerem Einarsonem!

Młodzieniec skinął nieznacznie głową i stał nadal z obojętną miną.

Durwald zeszytniał z konsternacji i przysunął się do barbarzyńcy.

– Cymmerianinie, masz okazywać szacunek lepszym od siebie!

Conan uważnie rozejrzał się po obecnych.

– Może tak zrobię, gdy kogoś takiego spotkam.

– Jeśli ci życie mile...

Dłoń Durwalda zacisnęła się na rękojeści szabli. Baldomer uniósł uspokajająco

dłoń i rzekł nawykłym do rozkazywania tonem, w którym pobrzmiwało rozbawienie:

– Hola, hola, marszałku! Nie ma potrzeby tak się unosić – nim baron opuścił rękę, w komnacie zapanowało pełne szacunku milczenie. – W każdym razie lepiej, że chłopakowi nie wbito pokory do głowy. Przeszkadzałoby to w roli, jaką mu chcemy powierzyć.

– Oczywiście, panie – marszałek przeniósł wzrok z nachmurzonego jeńca na arystokratę i skinął głową. – Proszę o wybaczenie – odczekał chwilę, by odzyskać spokój, po czym zapytał: – Jak sądzisz, panie, czy jego podobieństwo jest, hm... wystarczające?

– Tak – Baldomer uśmiechnął się. – Ma kwadratowe oblicze, które sprawia, że jego rodacy wyglądają wyjątkowo gwałtownie i... stanowi istotę piękna Cymmerianek... – baron niemal niedostrzegalnie zmarszczył brew, jakby odpędzał jakieś natarczywe wspomnienie, po czym wyraz jego twarzy wygładził się. Nadal nie spuszczał oka z Conana. – Jeżeli przystrzyże się mu włosy na przyzwoitą długość i zadba o równie żalną imitację wąsa jak u mojego syna, będzie można pomylić ich ze sobą.

– Panie... – tłusty towarzysz barona splótł dłonie na brzuchu i skłonił się z respektem przed swoim władcą. – Naprawdę sądzisz, że tego prymitywnego osiłka można będzie wziąć za młodego Faviana?

– Cóż, Svoretto, mój syn i dziedzic będzie musiał zacząć nosić pikowane w ramionach kaftany, by nie wyglądać mizerniej od swojego strażnika! – Baldomer roześmiał się i zwrócił głowę na bok. – Obydwóm przyjdzie też częściej wkładać hełmy, lecz na pewno nie zaszkodzi to opinii Faviana.

Po tej uwadze Durwald i Swinn roześmieli się razem z arystokratą.

– Panie, jak można wprowadzać nie znającego posłuszeństw dzikusa niewiadomego pochodzenia w ścisły krąg twojej służby? – Svoretta nie rezygnował. Najwyraźniej nie był zanadto służalczy, widać było również, że wolałby rozmawiać ze swoim panem na osobności. – Obawiam się, że oznacza to zagrożenie o wiele większe niż to, którego chcesz uniknąć. Jako zwierzchnik twojej służby twierdzę, że w takiej sytuacji zachowanie tajemnicy jest niepodobieństwem.

– Svoretto, przeprowadziliśmy w tej kwestii wyczerpującą rozmowę – baron uciał gwałtownie protesty swojego doradcy, nawet na niego nie patrząc. – Bez względu na trudności, jakie sprawia przeprowadzenie takiej maskarady w Dinander, na prowincji będzie to o wiele prostsze. Zgodziliśmy się przecież, że właśnie wówczas życiu Faviana będzie grozić największe niebezpieczeństwo i właśnie wtedy będziemy najbardziej potrzebować sobowtóra – Baldomer zatknął kciuki za pas i mówił coraz niższym głosem: – W czasach, gdy wśród chłopów szerzy się zarzewie buntu, utrzymanie spokoju w baronii Dinander jest naszym najważniejszym celem. To z kolei oznacza konieczność zapewnienia ciągłości władzy rodu Einarsonów. Za wszelką cenę musimy uniknąć katastrofalnej wojny domowej lub, co gorsza, niewydarzonej interwencji wymuskanego króla Laslo, sprawującego władzę ze swojego zdeprawowanego seraju w Belverusie! – Baldomer uniósł wzrok nad głowy pozostałych i przybrał oratorski ton: – Muszę umocnić swoje władanie! Co ważniejsze, muszę zadbać, by władza przeszła bez przeszkód w ręce Faviana, gdy moje dni na tym padole dobiegną kresu. Bogowie obdarzyli mojego praprzodka Einara łaską, która przetrwała bez skazy przez wszystkie następne pokolenia. Dlatego też za wszelką cenę trzeba zachować przy życiu owoc moich lędźwi! – baron zwrócił twarz ku słuchaczom, a w jego oczach rozbłyskiwały na przemian ekstaza i okrucieństwo. – Jest przeto jasne, co powinniśmy uczynić. Naszym najważniejszym celem jest ustrzeżenie przed śmiercią mojego syna i jedynego dziedzica! Czy przysięgacie służyć mi ze wszystkich sił i umiejętności?

Oracja Baldomera spotkała się z pełną zakłopotania ciszą. Dopiero po długiej chwili nastąpiły niezbędne przytaknięcia, uśmiechy i wyrazy poparcia. Bez wątpienia konsternację spowodował niespodziewany wybuch fanatyzmu barona.

Arystokrata najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z niezręczności sytuacji. Czujnie wodził spojrzeniem po twarzach swych towarzyszy, szukając jakichkolwiek oznak oporu czy zwątpienia. W końcu jego wzrok spoczął na pogrążonym w cieniu obliczu Cymmerianina.

– Panie, ręczę, że pojmuję, jakimi racjami się kierujesz! Naprawdę! – Svoretta spróbował uśmierzyć ekscytację Baldomera. – Nie będę szczędził niczego, by spełniła się twoja wola, nawet własnego życia! – urwał dla podkreślenia wagi swoich słów i skłonił głowę w geście bezgranicznego oddania. – Dlatego też podejmę się wypełnienia twojego rozkazu i zadbam, by przyniósł on wyłącznie pożądane skutki!

Svoretta zakończył wypowiedź głębokim ukłonem i ucałowaniem wyciągniętej dłoni arystokraty.

– Doskonale – Baldomer przybrał poprzednią, łaskawą minę i niedbale machnął ręką w stronę Conana. – Chłopak może udawać, że stanowi straż przyboczną Faviana. Jest wszakże wojownikiem, czyż nie? Będziemy unikać wystawiania go na widok publiczny i ukrywać jego podobieństwo do mojego syna, dopóki nie zacznie odgrywać jego roli. Przede wszystkim jednak musi nauczyć się trzymać język za zębami. Cymmerianie mówią, jak gdyby mieli ziemniaki w ustach, jego akcent zdradziłby go natychmiast! Oczywiście, trzeba też wpoić mu podstawy dworskiej etykiety i jeździectwa. Pozostawiam to tobie, Durwaldzie, wraz z zapewnieniem mu wikt i opierunku... Po namyśle doszedłem do wniosku, że mój syn musi zgolić wasy. Przed wyruszeniem na objazd prowincji Cymmerianinowi nie zdąży wyrosnąć zarost nawet w połowie tak gęsty, jak Favianowi – zamilkł na moment i spoważniał. – Nasza tajemnica nie może wydostać się poza te mury! Zapewne rozejdą się rozmaite podejrzenia i plotki, ale nikt z was nie może potwierdzić ich w żaden sposób – opuścił nieco wzrok, by zajrzeć Conanowi w twarz. – Zrozumiano, chłopcze?

Cymmerianin podniósł głowę i popatrzył obojętnie wprost w oczy Baldomera.

– Dobrze. Jaka będzie moja zapłata?

Jego natychmiastowa zgoda zaskoczyła wszystkich. Baron uśmiechnął się blado.

– Musisz zawracać mi głowę takimi drobiazgami? Prócz pełnego utrzymania, pół złotej drachmy tygodniowo powinno wystarczyć...

Baron sięgnął po leżącą na stoliku sakiewkę. Wydobył z niej monetę i rzucił ją Cymmerianinowi. W tej samej chwili w głębi komnaty odsunęła się zasłona z zielonego atłasu. Do pokoju wszedł nieco niepewnym krokiem młody szlachcic.

Był to wysoki, postawny młodzieniec w białej koszuli oraz wysokich jeździeckich butach z czarnej skóry. U boku nosił sztylet o długim ostrzu i inkrustowanej klejnotami rękojeści. Splątane, czarne włosy i kanciasty zarys szczęki świadczyły, że w jego żyłach płynęła domieszka cymmeriańskiej krwi. Młodzieniec przypominał Conana budową, aczkolwiek brakowało mu wzrostu, a przede wszystkim potęgi mięśni, by dorównać barbarzyńcy. Nowo przybyły stanął na środku komnaty i powiódł wzrokiem po obecnych. Wsparł się dłonią o blat stołu – trudno powiedzieć, czy dla wywarcia wrażenia, czy dla zachowania równowagi.

– Ach, cóż za gremium! Mężowie stanu radzą nad doniosłymi sprawami! – obszerny gest ramieniem i niewyraźna, kwiecista mowa zdradzały, że młodzieniec jest nietrzeźwy. – Ciekaw jestem, jak to się stało, że nie zostałem zaproszony na ten sejmik?

– Będiesz wzywany na narady mądrych ludzi, gdy dorośniesz na tyle, by brać w nich udział i okażesz swoimi czynami, że jesteś tego godzien, Favianie! Ani dnia wcześniej!

Baldomer rzucił mu pełne niesmaku spojrzenie. Favian dzielnie zniósł wymówkę, nie zrezygnował jednak z wspierania się o stół.

– Nawet wtedy, gdy dyskutujecie o sprawie tak ściśle związanej z moim losem, ojczcze? Sądzę, że wiem, o czym rozmawialiście. Ten osobnik... – młody panicz uniósł wolną dłoń i wymierzył chwiejący się palec w Conana. – To właśnie w jego wyświechtane portki mam się przebierać, tak? – utkwiał w barbarzyńcy jadowite spojrzenie. – Ten nie myty szubienicznik ma zastępować mnie publicznie? Mam rację czy nie?!

Baldomer zaczerwienił się podczas przemowy syna, lecz zdołał zachować chłodny ton:

– Upraszczać sprawę, tak jest w istocie... A ty nie powinieneś powtarzać tego, co podsłuchałeś pod moimi drzwiami.

Favian potrząsnął głową, jak gdyby otrzymał niewidzialny policzek. Jeśli oskarżenie było fałszywe, najwyraźniej okazało się bardziej dotkliwie, niż gdyby było prawdą.

– Mimo to mój plan jest mniej niegodny, niż sobie wyobrażasz – ciągnął baron. – Zamierzam jedynie podjąć nadzwyczajne środki ostrożności, by ochronić cię w czasie niepokoju wśród ludności. Nie przeszkodzą one w żadnej z istotnych dla ciebie czynności... – Baldomer rzucił okiem na pozostałych – ...to znaczy, w swawolach. – Urwał na chwilę, by uśmiechnąć się na widok irytacji panicza. – Cymmerianin będzie cię zastępować tylko podczas okazji, przy których byłbyś wystawiony na zbędne ryzyko. Dla przykładu, zamienicie się miejscami podczas zbliżającego się objazdu miasta. Podczas jazdy ze zwykłymi żołnierzami możesz się czegoś od nich nauczyć, zaś barbarzyńca... poradzi sobie lepiej w razie napaści.

– Widocznie sądzisz, że sobie na to zasłużyłem! – Favian odepchnął się od stołu, zatoczył i ruszył przed siebie. – Będzie się chuchać na synalka barona i szmuglować go w skrzyni po całej prowincji, podczas gdy wystrojony szubienicznik będzie się cieszyć należną mi chwałą! – zachwiał się niebezpiecznie, lecz zdołał odzyskać równowagę. – Powiadam ci ojczy, to sroga obraza!

Baron wyciągnął dłoń w uspokajającym geście, lecz młodzieniec pobrnał obok niego w stronę Conana.

– Potrafię sobie poradzić lepiej, niż byle dzikus, wymachujący kamiennym toporkiem! Tylko patrzcie!

Z tymi słowami Favian zamachnął się niezgrabnie, mierzając w szczękę bardziej muskularnego młodzieńca. Conan od razu dostrzegł, że syn barona stracił równowagę i jest całkowicie bezbronny. Pewnym ruchem chwycił Faviana za ramię, obrócił go i odepchnął od siebie. Arystokrata wpadł z rozpędu na oparcie fotela i runął wraz z nim na podłogę. Leżąc bezradnie z nogami w górze, bezskutecznie starał się namacać rękojeść sztyletu.

Swinn, Durwald i Svoretta natychmiast dobyli broni i zaszli Cymmerianina z trzech stron. Conan sprężył się do skoku, chwytając stojący w pobliżu ciężki zydel.

– Spokój! Zostawcie go! – baron powstrzymał interwencję swych poddanych. – Mój syn jest dzisiaj niedysponowany i jak zwykle niedyskretny. Barbarzyńca broniał się tylko, a za to mu przecież płacę. Schowajcie broń.

– Panie! Zamierzasz dopuścić, by taki hołysz doszedł do wniosku, że może bezkarnie bić nemediańskiego szlachcica? – skrzywił się Svoretta.

– Dość, powiedziałem! – baron potrząsnął stalowosiwy – mi włosami. – Jestem znużony. Załatwiliśmy sprawę, dla której się zebraliśmy. Svoretto, odprowadź Faviana do jego komnat. Durwald, zajmij się naszym nowym sługą. Życzę wam wszystkim spokojnego odpoczynku.

– Dobranoc, dostojny panie – odpowiedzieli chórem obecni.

Baron Baldomer opuścił komnatę.

Chwilowo pijanym Favianem zajął się nie Svoretta, lecz Durwald. Podczas gdy marszałek uspokajał chłopaka i coś mu tłumaczył, główny zausznik barona podszedł do Cymmerianina, ściskając pod połą opończy rękojeść sztyletu. Krępy dostojnik utkwiał w młodzieńcu złowrogie spojrzenie.

– Co, barbarzyńco? – uśmiechnął się krzywo. – Na pewno wyobrażasz sobie, że masz szczęście, bo zostałeś nowym pupilem pana barona. Czujesz, że możesz wywyższać się nad lepszych od siebie? Sądzisz, że masz prawo do jakichkolwiek względów, chociaż trafiłeś tu świeżo, a raczej nieświeżo... – Svoretta skrzywił się szpetnie, udając odrazę wywołaną smrodem – ...z więziennego lochu?! – Rysy dziobatej twarzy dostojnika ułożyły się w wyraz niczym nie maskowanej nienawiści. – Cóż, ostrzegam cię, pupile i mody zmieniają się tu czasem w ciągu jednej nocy! Na dworze barona tylko jedna rzecz jest pewna... moje wpływy! – ostatnie słowa Svoretta wyszeptał tak, by dotarły wyłącznie do uszu Cymmerianina. – Jeżeli dowiem się, że zachowujesz się bezczelnie, posuwasz za daleko lub wykorzystujesz chociażby w najmniejszym stopniu swoją niepewną pozycję, czeka cię szybki koniec! Pamiętaj!

Svoretta zamilkł, nie spuszczając wzroku z twarzy barbarzyńcy. Przez ułamek chwili jego ramię zdrząło, jakby chciał pchnąć nożem młodszego mężczyznę. Powstrzymał się wszakże od ciosu, być może za sprawą milczenia i niewzruszonego spojrzenia Conana. W końcu zausznik barona zaklął i odwrócił się na pięcie.

III

SZKOLENIE

Stojące w zenicie słońce zalewało dziedziniec pałacym blaskiem. Naczynie o bokach w postaci ścian pałacu i okalającego rezydencję muru więziło żar i powodowało, że łoskot kopyt rozlegał się tu ze zdwojoną głośnością. Konie były złane potem po porannym treningu. Łęk siodła Conana pokrywała gruba warstwa kurzu, podobnie jak jego wyschnięte, spieczzone usta.

– Trochę lepiej, barbarzyńco. Może jeszcze nauczysz się siedzieć na koniu – w głosie Durwalda pobrzmiwało znudzenie i obojętność, lecz marszałek siedział wyprostowany na swoim wierzchowcu bez śladu znużenia. – Pamiętaj, że nie możesz garbić się podczas jazdy, ani wychylać się zbyt na zakrętach. W nemediańskiej jeździe mamy powiedzenie: „Siedź prosto, a niewolnicy i konie niech pracują za ciebie” – roześmiał się i przyglądał węs dwoma palcami. – Przez to zginanie

grzbietu nie ujdiesz nawet za nemediańskiego chłopca, a co dopiero mówić o arystokracji!

– Na Południu powiadają, że pochylanie się wraz z koniem oszczędza jego siły i dodaje szybkości – mruknął w odpowiedzi Conan. – Poza tym siodło jest piekielnie grube, a strzemiona wiszą za nisko.

– Jeżeli kiedykolwiek przyjdzie ci zamachnąć się z siodła ciężkim mieczem, dowiesz się, do czego przydają się strzemiona o takim ustawieniu – Durwald ściągnął wodze i zatrzymał wierzchowca przy kamiennym korycie z wodą. – Na dzisiaj wystarczy. Przynajmniej dorobiłeś się odcisków na tyłku. Czas na obiad! – zeskoczył gładko z konia. – Po południu zaczniesz uczyć się posługiwania bronią, pod okiem fechtmistrza Eubolda. Możesz być pewien, że da ci solidną szkołę.

Conan skrzywił się i ostrożnie zsunął z końskiego grzbietu. Idąc za przykładem marszałka, przywiązał konia do jednego z wprawionych w mur pierścieni. Ruszył sztywno wyprażonym dziedzińcem, obolały po wczorajszej walce i poniewierce, jaką okazało się dla jego nienawykłych mięśni podskakiwanie w siodle. Słońce paliło go w świeżo wygolony kark. Durwald rzucił nań okiem i znieruchomiał.

– Dokąd to, Cymmerianinie?

– Hę? Na obiad.

– Będziesz jadał w kwaterach służby przy kuchni, chłopcze – marszałek skinieniem głowy wskazał tylne wejście do pałacu. – Jesteś barbarzyńcą i daleko ci do tego, by jeść ze szlachtą!

Roześmiał się i ruszył swoją drogą. Conan zmełł przekleństwo w ustach i skręcił w stronę bocznych drzwi.

Minąwszy je, doznał wrażenia, że znalazł się w mrocznej jaskini. W środku panował przyjemny chłód, jednakże zaraz dobiegła go fala żaru, na suficie zaś kładły się ciemnoczerwone odbłyski. Ich źródłem było wielkie, kuchenne palenisko, zastawione parującymi miedzianymi garnkami. Smużki dymu wznosiły się pomiędzy wiszące pod powałą kiełbasy, szynki, sznury cebuli oraz czosnku i uchodziły przez obrosnięty sadzą otwór w środku sufitu. W powietrzu snuły się zapachy sprawiające, że ślina napływała człowiekowi do ust, lecz również takie, które mogły przyprawić o mdłości.

– Szukasz jedzenia, barbarzyńco?

Tylko jedna osoba przy kuchennych stołach podniosła głowę po wejściu Conana. Była to ładna dziewczyna, o wijących się, czarnych włosach. Jaskrawy, sznurowany na wąskiej talii kaftan, cieniotka biała koszula i sięgająca kolan spódnica dodatkowo podkreślały jej bujne kształty. Służąca utkwiała w Cymmerianinie pełne uznania spojrzenie zręcznie podmalowanych sadzą oczu.

– Spóźniłeś się, wiesz? Obiad powędrował już na górę, a my zjedliśmy prawie wszystko, co zostało – dziewczyna rzuciła Cymmerianinowi zadziorne spojrzenie, po czym beztrako wruszyła ramionami. – To nic, siadaj. Zobaczę, co uda mi się dla ciebie wyskrobać – niespodziewanie roześmiała się tak głośno, iż zwróciła na siebie uwagę innych służących. – Wyglądasz na groźnego barbarzyńcę o nienasyconym apetycie! Nie chciałabym, żebyś odrąbał mi udko, by je sobie ogryźć!

Odwróciła się, kołysząc rozłożystymi biodrami i zakrzatnęła się przy drugim stole. Conan przeszedł przez kuchnię. Sąsiedni pokój oświetlał tylko jeden skąpy promień, wpadający przez wąziutkie, zakratowane okno wysoko w murze. Na środku jadalni służby stał długi, drewniany stół i toporne ławy. Wzdłuż dwóch ścian ciągnęły się przedzielone drewnianymi przegródkami wąskie nisze z pryzmami. Na noc zaciągano w nich zasłony. Poprzedniego wieczora Conanowi przydzielono wnękę pod zimnym murem po przeciwnej stronie od wejścia do kuchni. Barbarzyńca nie protestował. W Nemedii o każdej porze roku było o wiele cieplej niż w jego rodzinnej Cymmerii. I tak nie zamierzał zostać w Dinander do zimy. Nie był pewien, czy nie opuści tego miasta jeszcze tej nocy. Powoli, ostrożnie opuścił obolałe od siodła pośladki na ławę.

Po chwili pojawiła się dziewczyna służebna, która powitała Conana. Niosła opartą o brzuch drewnianą tacę z jedzeniem. Cymmerianin przeniósł wzrok z obfitego posiłku na równie obfite krągłości, uwidaczniające się pod wyszywana koszula dziewczyny. Gdy stawiała przed nim tacę i kamionkowy dzban z czerwonym winem, nachyliła się wystarczająco, by zyskał jeszcze lepszy widok na jej wdzięki.

– Proszę, barbarzyńco! Mam nadzieję, że to wystarczy dla zaspokojenia twojego północnego apetytu – zaśmiała się dobrodusznie. – Jeżeli nie, ostrzeż mnie,

zanim rzucisz się z tasakiem na konie. Postaram się wyszukać w spiżarni coś jeszcze.

– Yhy – Conan zaczął miażdżyć zębami gorącą rzepe, równocześnie rozrywając na kawałki bochenek razowca. – Nie wzięlbym do ust koniny. Nie po całym ranku podskakiwania na końskim grzbiecie.

Dziewczyna roześmiała się, tym razem mniej hałaśliwie.

– Jak się nazywasz, cudzoziemcze? – rzuciła spojrzenie na opuszczoną zasłonę w przejściu do kuchni i przysiadła na rogu stołu. – Mam na imię Ludia.

– Jestem Conan – odparł z pełnymi ustami.

– Pochodzisz z Cymmerii, zgadza się? – dziewczyna przewróciła oczami. – Kiedy byłam dzieckiem, nawet nie wiedziałam, czy taki kraj w ogóle istnieje. Powiadają o nim straszliwe rzeczy: że żyją tam ludożercy, wilkołaki, drakeny i jeszcze dziwniejsze stwory! – Ludia udała dreszcz grozy i skrzyżowała ramiona na staniku. – Byłam przekonana, że to okropna kraina.

– Nie ma w tym ani krzty prawdy – Conan upił duży łyk wina wprost z dzbana. – Ktokolwiek ci to opowiadał, musiał pomylić Cymmerię z Asgardem lub Vanaheimem. To krainy leżące dalej na północ, tam pełno podobnych okropności.

– Och! – oczy Ludii rozszerzyły się przez moment, gdy przetrawiała tę nowinę. – Hm, kiedy trafiłam tutaj, dowiedziałam się, że baron Baldomer przywiózł sobie w młodości z wyprawy do Cymmerii pannę młodą. Nazywała się Heldra. Nie znałam jej, ale ludzie powiadają, że była piękna i dobra – oderwawszy wzrok od Conana, zamyśliła się przez chwilę. – Właśnie dlatego północne krainy cieszą się w Dinander o wiele lepszą opinią niż dawniej. Lud dobrze wspomina Heldrę, szanuje jej córkę, Calisę, a nawet przyzwyczaił się do myśli, że kiedyś będzie nim rządzić dorastający syn barona, Favian. Prawdę mówiąc, jesteś do niego podobny – stwierdziła, rzucając mu pełne uznania spojrzenie.

– Hm – Conan popatrzył jej w oczy i przełknął. – Nie mam nic wspólnego z Favianem. Nawet nie słyszałem o jego matce. Być może była to córka jednego ze wschodnich klanów, albo wojowniczką, która zapuściła się wyjątkowo daleko na południe.

– Wystarczy sama myśl, że zwykła barbarzyńska dziewczyna została żoną barona... – Ludia westchnęła, jej brązowe oczy zalśniły. – To dowodzi, że piękna kobieta może zająć wysoko. Mężczyźni za to nie mogą wybić się ponad swój stan – urwała przypomniawszy sobie o położeniu Conana i dodała szybko: – Oczywiście, ty jesteś wyjątkiem. Masz wielkie szczęście, że zostałeś strażnikiem w pałacu szlachcica.

Conan nie odrywał wzroku od tacy zjedzeniem.

– Co się stało z Heldrą?

– Umarła – Ludia spuściła głowę.

– Umarła? Jak?

– Została zamordowana. Podano jej truciznę w pasztecie z cielęciny. Jad był podobno przeznaczony dla jej męża – Ludia pokręciła głową ze smutkiem. – Dzieje się tu bardzo wiele złego. Morderstwa, spiski i mnóstwo innych okropności. Wszystko zaczęło się od śmierci Heldry.

Dziewczyna zdała sobie nagle sprawę, że Conan przestał jeść. Podniosła na niego wzrok. Cymmerianin bez zapału przegarniał drewnianą łyżką smakołyki leżące na tacy. Wśród nich było ciastko o nieznanym mu wyglądzie. Młodzieniec popatrzył bacznie na Ludię.

– Powiadasz, że trucicielstwo to tutejszy obyczaj?

– Och, Conanie, przepraszam! – dziewczyna zawstydzila się. – Nie powinnam była tego mówić. Sama przygotowałam jedzenie. Spróbuję każdej potrawy, żeby ci udowodnić, że nie są zatrute. Robię tak, usługując baronowi i jego rodzinie.

Nachyliła się, ugryzła spory kawałek sera, a resztę odłożyła na tacę. Następnie odłamała kawałek ociekającego tłuszczem pasztetu i uniosła go do ust. W powątpiewającym spojrzeniu Cymmerianina zabłysło rozbawienie. Zauważywszy to, Ludia przełknęła i uniosła brwi.

– Mmm! Ostro przyprawione! Nie przeszkodzi ci, jeżeli przepłuczę usta?

Oparłszy się na łokciu, sięgnęła po dzban z winem, pochylając się tuż przed Conanem. Śmiejąc się, młodzieniec zacisnął wielką dłoń na jej nadgarstku i odjął jej naczynie od ust.

– Już, przestań! Przekonałaś mnie!

Ludia również się roześmiała i zajrzała Cymmerianinowi w oczy. Kropla wina pociekła po jej dolnej wardze. Oblizwała ją ruchliwym językiem. Młodzieńcowi przyszło do głowy, że bujne ciało półleżącej na stole dziewczyny stanowiłoby wspaniały deser. Przez przedłużającą się chwilę dziewczyna patrzyła mu z bliska

prosto w oczy, po czym poczuł smak jej warg. Objął ją w pasie, przyciągnął do siebie, odepchnął na bok tacę i zwarł się z dziewczyną w namiętym uścisku.

Gdzieś spoza kuchni dobiegł odgłos dzwonka, raz, po chwili znowu. Ludia zawierciła się, lecz Conan przycisnął ją do siebie, szukając pożądliwie jej ust. Dziewczyna jęknęła i zaczęła gwałtownie szarpać. Wydała nieartykułowany okrzyk i odepchnęła się od Cymmerianina, trafiając go łokciem w usta. Zaskoczony Conan wypuścił ją z objęć.

– Głupi barbarzyńca! – twarz Ludii pokrył rumieniec gniewu. – Dzwonią po mnie! Chcesz, żeby mnie wychłostano?!

Otarła usta grzbietem dłoni, zarzuciła głową, by wyprostować wzburzone włosy i ruszyła do wyjścia. Mijając w drzwiach chudego chłopca w wytłuszczonym kaftanie, poprawiała jeszcze ubranie. Kuchta rzucił Conanowi porozumiewawcze spojrzenie i zabrał się do sprzątania stołu.

W chwilę później chłopiec uskokzył w bok przed pograżonym w ponurych myślach barbarzyńcą. Conan wypadł z kuchni jak burza, nie mogąc wciąż dojść do siebie. Był wściekły, że byle kuchenna dzierlatka zdołała z niego tak okrutnie zadrwić. Przyszło mu jednak do głowy, iż może był zbyt śmiały. Nie zdążył wszak poznać miejscowych obyczajów. Niech Crom przeklnie wszystkich Nemedianczyków i wariactwo, które nazywali cywilizacją, pomyślał.

Gdy znalazł się na dziedzińcu, ponownie uderzył weń żar dnia. W piersi Cymmerianina wrzało, kopniakiem rozrzucił kurz. Nieco dalej, pod dachem kuźni czekał na niego zwalisty mężczyzna w szarych, metalowych nagolennikach, fartuchu z żelaznych ogniów, pancerzu i z oznaczonym śladami wielu bitew hełmem pod pachą. Mięsista, obwisła twarz świadczyła, że ten niegdyś wytrawny wojownik porósł sadłem z braku zajęcia.

Conan doszedł do wniosku, że jest to Eubold. Fechtmistrz gawędził z niższym, krępyim mężczyzną, niemal nikonącym w cieniu pod kuźnią. Gdy jego rozmówca zawrócił spieszenie ku bramie, Cymmerianin zorientował się, że był to Svoretta.

– No, barbarzyńco, najwyższa pora! – rzucił nachmurzony Eubold, przyglądając się Conanowi. – Powinieneś nauczyć się, nawet kosztem wygarbowania twej grubej północnej skóry, że nie wolno ci zmuszać swych zwierzchników do czekania! – niedbale ogolony fechtmistrz skrzywił się z jeszcze większym niesmakiem. – Powiedz mi, miałeś kiedykolwiek miecz w ręku?

Conan odpowiedział mu ponurym spojrzeniem.

– Parę lat temu, w zimie, walczyłem pałaszem w czasie szturm Venarium.

– Hm... Północny pałasz to niezgrabna broń. Trzeba nim rąbać, ponieważ jest zbyt ciężki, by można zadawać pchnięcia. Równie dobrze mógłbyś machać toporem! – Eubold ruszył w stronę Conana. – Mówiąc szczerze, żałuję, że mam uczyć posługiwania się porządną bronią takiego dzikusa. Ale trudno, może czegoś się nauczysz, przynajmniej szacunku dla lepszych od siebie.

Ukośne promienie słońca padały na dziedziniec tym razem z zachodu. Conan ciął i dźgał wypchany sianem wór z wolej skóry, zawieszony na drewnianej tyczce na wysokości tułowia. Ruchy Cymmerianina były rytmiczne i równe, co najwidoczniej wprawiało fechtmistrza w furiacką złość. Eubold siedział na taborecie pod ocienioną ścianą pałacu i wykrzykiwał komendy:

– Szybciej! Nie tak, chłopcze! Przyłóż się trochę! Masz w ręku szablę, nie dębową pałkę! Tajemnica prawidłowego posługiwania się tą bronią tkwi w jej lekkości i szybkości, z jaką można ponownie przyjąć pozycję do ciosu. Pamiętaj, by zadawać pchnięcia! Używaj szpica! Nie musisz pałętać się dookoła tej kukły jak wół z ołowianymi nogami!

Eubold zdawał się nie zauważać, że regularne cięcia Conana trafiają w całą powierzchnię wora, siano ściele się po dziedzińcu, a grubą skórę wołu pokrywają głębokie szpary. Młodzieniec z obnażonym torsem i przyklepionymi do czoła włosami nadal miarowo siekł kukłę. Jediną reakcją na połajanki Eubolda było zwolnienie tempa zadawania ciosów.

– Pamiętaj, że jeśli już musisz rąbać, zadawaj ciosy z całą siłą, na jaką cię stać! Zakrzywione ostrze szabli pozwala odrąbać za jednym zamachem rękę lub nogę, ale tylko wtedy, jeżeli szabla dosięgnie celu bez utraty szybkości – Eubold wymachiwał w powietrzu kantem dłoni. – Ciąć głęboko można tylko ruchem przypominającym piłowanie. Oczywiście, niewiele nauczysz się siekąc wór ze słomą. Nawet powieszony trup rąbie się inaczej, są za wiotkie i nie stawiają oporu. Nic nie może zastąpić żywego, ruchomego celu! – głos Eubolda stawał się coraz bardziej donośny i potoczny, jakby wygłaszał wykład przed znacznie większą publicznością. – Człowiek to jedynie krucha konstrukcja z mięśni i ścięgien,

bukłak pełen krwi, chłopcze! Kiedy naciera na ciebie taka kadź posoki i mięśni, dobrym ostrzem można zdziałać z nią cuda. Zręczny i przebiegły szermierz może nawet przeciąć ją w pół! – fechtmistrz założył ręce na piersi i nadal gadał, niemal nie zwracając uwagi na ruchy swego ucznia. – Jeżeli dopisze nam szczęście, po stłumieniu buntu baron zachowa przy życiu paru więźniów, chłopów lub młodych malkontentów z Akademii Świątynnej. Będziemy mogli na nich poćwiczyć! Wspaniale byłoby... A to co ma znaczyć, barbarzyńco?! Znowu powłóczył nogami?... Nie, ciągle źle! Jeszcze raz, silniej! Ee tam! – nauczyciel splunął. – Do diabła, młodziku, w ogóle nie zwracałeś uwagi na to, co mówię. Nic z tego nie wyjdzie! – Eubold wstał i odtrącił taboret kopniakiem. – Widzę, że będę musiał stanąć z tobą do walki. Tylko w ten sposób czegoś się nauczysz!

Ruszył w stronę Cymmerianina. Idąc zaciągnął rzemień hełmu pod brodą i wydobyl z pasa długie, skórzane rękawice.

– Pojedynek? – Conan zwrócił się w jego stronę, opuszczając luźno broń przy nodze. – Doskonale! Gdzie moja zbroja?

– Zbroja? – warknięcie Eubolda miało oznaczać rozbawienie. – Pewnie! Przydałaby się, byś przypadkiem nie odrąbał sobie stopy. Nie bój się, nie stanie ci się nic prócz tego, na co będę miał ochotę – fechtmistrz z metalicznym świstem wyszarpnął broń z pochwy. – Oto nemediańska szabla taka, jaką posługuje się jazda. Tym orężem można obronić się przed każdym hyboryskim ostrzem. – Eubold machnął przed sobą wąską, lekko zakrzywioną bronią. Conan wystawił przed siebie swoją szablę.

– Takie uzbrojenie wystarczyłoby naszym oddziałom do zajęcia Cymmerii. Oczywiście gdyby zamarzyły się nam odmrożenia i pieczeń ze śnieżnych lemingów! – podstarzały szermierz zaśmiał się pogardliwie. – Przede wszystkim, cięcia wyprowadzaj w ruchu, właśnie tak... iiiiijaa!

Fecht mistrz rzucił się naprzód z przeszywającym wrzaskiem i zamachnął się płasko szablą. Conan był zmuszony uskoczyć w bok i osłonić głowę własną bronią.

– Teraz na odlew, o tak!

Nauczyciel znieruchomiał na moment i wykorzystał biodro jako oś obrotu. Jego klinga przecięła ze świstem powietrze. Conan musiał cofnąć się jeszcze o krok.

– Pewnie, że nawet taki fajtłapa jak ty może przez cały, dzień uskakiwać przed ciosami. Dlatego też najbardziej przydaje się... szpic!

Kolejny wyskok fechtmistrza sprawił, że koniec ostrza śmignął jak grot włóczni ku brzuchowi Cymmerianina. Conan mógł obronić się tylko w jeden sposób: uskoczyć w prawo i zastawić się szablą z lewej. Dwa ostrza zderzyły się tam, gdzie przed chwilą znajdował się tułów barbarzyńcy.

– Aha! Sam widzisz, że opieszałość mogła kosztować cię życie! Jeszcze kilka cięć... tak, tak i tak!

Eubold zadyszał się od wysiłku fechtowania i mówienia naraz. Jego komentarze ustały, lecz ciosy szabli padały z nie zmienioną siłą.

Wyczerpanego po pełnym trudów dniu, półnagiego Conana, broniącego się przed człowiekiem w zbroi, ratowała przed ukąszeniem ostrza jedynie wrodzona, oszałamiająca szybkość ruchów. Barbarzyńca z niemal nadludzką zręcznością uskakiwał w bok i uchylał się przed ostrzem Eubolda, lecz i tak szczykowanie stali o stal nie cichło ani na chwilę. Cymmerianin coraz bardziej musiał polegać na własnej szabli, by obronić się przed atakami fechtmistrza.

Kowal i chłopcy stojący, którzy zebrali się na dziedzińcu, nie mieli wrażenia, że przyglądają się ćwiczebnyemu pojedynekowi. Fecht mistrz zmniejszał siłę niektórych śmiertelnie groźnych ciosów lub uderzał płazem, lecz nie można było z góry przewidzieć, kiedy tak zrobi.

Cymmerianin zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa lepiej niż przyglądający się walce służący. Nie zamierzał zaufać Euboldowi. Zbyt dobrze zapadł mu w pamięć widok fechtmistrza, rozmawiającego ze Svoretą przed rozpoczęciem lekcji.

Wydawało się, że Conan zaczął opadać z sił. Nagle jego ostrze zawisło w powietrzu zbyt nisko i odrobinę zbyt długo. Zdyszany Eubold natychmiast zauważył okazję do ataku. Nie zważając na wcześniejszy wykład o eleganckiej szermierce, ciał ze świstem wprost w szyję swojego ucznia.

Conan błyskawicznie odzyskał równowagę i ruchem świadczącym o oczekiwaniu ataku przeciwnika zastawił się gwałtownie przed cięciem Eubolda. Rozległ się ogłuszający łoskot stali. Klinga fechtmistrza złamała się tuż przy rękojeści i poszybowała w powietrzu, śląc na wszystkie strony jaskrawe odbłaski słońca.

Eubold na chwilę stracił ze zdumienia zdolność mowy, po czym ryknął chrapliwie:

– Ty ośle! To wytrawiane ostrze było warte dziesięciu takich jak ty!

Fechtmistrz cisnął rękojęścią i niemal trafił w skroń Cymmerianina.

Młodzieniec skoczył chwytając Eubolda za daszek hełmu. Odgiął głowę szermierza w tył i z rozmachem trzasnął go w twarz rękojęścią własnej szabli.

Zanim służący oderwali Conana od Eubolda, przeciwnik Cymmerianina nie nadawał się już do walki. Durwald, który zjawił się w czasie szarpaniny, nakazał dwóm służącym odnieść nieprzytomnego fechtmistrza. Przyglądający się walce mężczyźni obszernie odpowiadali na pytania dostojnika, chociaż ich relacje okazały się nieco zagmatwane. Wysłuchawszy ich Durwald nie wymierzył Conanowi żadnej kary. Zadowolony się solidną połajanką, marszałek odesłał barbarzyńcę do kwater służby.

Po wyaniu na siebie wiadra zimnej wody, Conan wrócił do kuchni. Wspólnie z paroma służącymi, których imion jeszcze nie znał, zjadł kolację. Poddani barona nie zdążyli jeszcze przyzwyczać się do obecności cudzoziemca, dlatego też pogawędkom przy kolacji daleko było do pełnej swobody i wesołości. Conan zauważył, że niejednokrotnie pod wpływem jego spojrzeń milkną szeptane wymiany zdań.

Kiedy służba udała się na spoczynek, Cymmerianin wstał z ławy i ruszył do swojej niszy. Powstrzymała go szczupła dłoń, która delikatnie spoczęła na jego ramieniu.

Conan odwrócił się i w słabym blasku świec ujrzał unoszącą ku niemu twarz Ludię. Schludny strój dziewczyny był przybrany sznurami paciorków. Zapewne usługiwała w nim przy stole barona. Conan chciał się cofnąć, lecz Ludia powstrzymała go. Bez słowa, nie spuszcżając z niego wzroku, przytuliła się i otarła o niego biodrami. Młodzieniec odpowiedział chwytając ją w objęcia. Po chwili dziewczyna poprowadziła go do swojej alkowy.

IV

KAPLICA W KRYPCIE

– Podstawą nauki o etykiecie jest stała świadomość własnej powagi. – Lothian, najstarszy z doradców barona Baldomera i mistrz ceremonii, pochylił siwą głowę, jak gdyby obawiał się patrzeć wprost na swojego ucznia. – Poczucie dostojenstwa musi być pierwszym i naczelnym instynktem każdego mieszkańca królestwa, pocżwszy od króla po najniższego sługę – starzec pogładził swą starannie ufryzowaną brodę. – Nie wiem, czy zdołam wytłumaczyć to zwykłemu barba... – urwał i nerwowo utkwiał wzrok w czujnych, stalowoniebieskich oczach siedzącego naprzeciw młodzieńca. – To znaczy, nie jestem pewny, czy cudzoziemiec, nawykły do, nazwijmy to, nieformalnego i słabo zorganizowanego systemu rządów, panującego w, hm, niezbyt cywilizowanym kraju w rodzaju Cymmerii, jest w stanie w pełni pojąć tę naczelną ideę...

Mistrz ceremonii opuścił wzrok na wypełniony czerwonym pismem zwój pergaminu, rozpostarty na stoliku obok. Szeroki, polerowany blat i niska otomana zajmowały większość powierzchni wąskiego pokoiku. Przez pionową strzelnicę w murze wpadało pasmo słonecznego blasku. Niegdyś było to duże okno, lecz zamurowano je niemal w całości, nadając mu postać strzelnicy.

– W Cymmerii rządzą wodzowie – pólężący na otomanie Conan poruszył się niespokojnie. Nie mógł się pozbyć wrażenia, że tonie w rozłożonych na niej grubych poduszkach. – To zwyczajni ludzie. Są wodzami dopóty, dopóki dobrze władają klanami.

– Ach, na tym właśnie polega różnica! – odzyskawszy pewność siebie, Lothian pochylił się do przodu. – W Nemedii, podobnie jak we wszystkich hyboryjskich królestwach, osoby szlchetnej krwi z zasady rządzą dobrze. Dzieje się tak z powodu wrodzonej wyższości tego stanu społecznego – starzec rozpostarł blade dłonie o cienkiej jak pergamin skórze, gestem wyrażającym oczywistość tego stwierdzenia. – Skoro zaś szlachcic nie może rządzić niedobrze, dlatego też stale dąży do umocnienia swojej pozycji i rangi – ujrzawszy, że Conan marszczy czoło, doradca barona z rezygnacją wzruszył ramionami. – Podobne idee nie rozpowszechniły się w twojej ojczyźnie, ponieważ organizacja waszego społeczeństwa nie rozwinęła się jeszcze w wystarczającym stopniu. Najwyższe warstwy twojej pry... rodzimej społeczności nie dojrzały jeszcze do tak wyrafinowanego sposobu sprawowania rządów.

– Ale najniższe nie pogrążają się w tak żalosalnej otchłani nędzy i nieszczęścia, jak tutaj – stwierdził bez ogródek Conan. – Mogę to zaświadczyć po

trzech dniach spędzonych w nemediańskim lochu.

Lothian zmarszczył brwi i przyglądał z szelestem zwój pergaminu na stoliku. W głębi duszy stary mędrzec uważał wyznaczone mu zadanie za niemiłe i szarpiające nerwy. Rola wychowawcy dzikusa irytowała go, ponieważ stanowiła niedorzeczne odwrócenie ustalonego ładu. Niepokój Lothiana nasilała odrażająco umięśniona sylwetka jego ucznia i ujawniony przezeń zwyczaj traktowania nauczycieli w obrzydliwie brutalny sposób. Doradca rzucił ukradkowe spojrzenie w stronę wejścia. Dzięki bogom, drzwi były uchylone! Odwrócił się do swojego podopiecznego i podjął lekcję, maskując swe odczucia oschłym, bakalarskim tonem:

– Podczas najbliższych dni zajmiemy się przeglądem rozmaitych aspektów etykiety: hierarchią rang szlachty, heraldyką, zasadami zachowania się na dworze i regułami określającymi miejsce zajmowane podczas publicznych uroczystości. Powinieneś wiedzieć, że wiele z tych zasad jest doskonale znana przeciętnemu Nemediańczykowi. Studiowanie etykiety stanowi ukoronowanie mądrości współczesnej nauki. Co więcej, poznanie podstawowych jej reguł jest niezbędne, byś mógł wypełniać funkcję strażnika syna barona. – Lothian uniósł na Conana spojrzenie szarych, starczych oczu, w których zamigotała ciekawość. – Wszak taka ma być twoja rola, czyż nie?

– Owszem – odpowiedział beznamiętnie Cymmerianin.

– Zapytałem, bowiem jest to dość niezwykła ranga. Oczywiście, szlachta wszystkich stopni od zarania dziejów otacza się służbą i strażą przyboczną, lecz to, iż będziesz strzegł wyłącznie Faviana, stawia cię w niezwyklej sytuacji – Lothian uniósł wzrok, jakby chciał rozwinąć ten temat, lecz po chwili wzruszył ramionami i podjął z powrotem nudny wykład: – Wokół monarchy skupia się funkcjonowanie całego królestwa. Państwo służy jego ochronie i stanowi instrument jego władzy. Oczywiście, w tak odległych od stolicy prowincjach jak nasza nigdy nie widuje się króla, lecz musimy o nim stale pamiętać, chociażby dlatego, iż monarcha zapobiega naturalnej skłonności lokalnej szlachty do uzurpowania sobie jego uprawnień.

Błądzące pod sufitem spojrzenie Cymmerianina skupiło się na Lothianie.

– To znaczy, że baronowie i Laslo wadzą się ze sobą?

– Cóż... – stary doradca odchrząknął. – Istnieje między nimi naturalne napięcie, lecz w ostatecznym rachunku służy ono dobru państwa. Wszak żaden poddany ani chłop pańszczyźniany nie może całym sercem miłować lokalnego władcy, surowego i wymagającego pana, który osobiście zajmuje się strzeżeniem ładu w prowincji. Wynikają stąd nieuniknione tarcia i niechęci. O wiele łatwiej ludowi kochać monarchę, panującego pośród bajecznego splendoru w wielkim, dalekim Belverusie. Dlatego też król Laslo stanowi dla zwykłych śmiertelników symbol doskonałości. Od czasu do czasu raczy nawet zająć się ich dobrem i wydaje edykty, uszczuplające nieco uprawnienia lokalnej szlachty. Oczywiście, baronowie przez cały czas starają się zyskać jak największą samodzielność. Łączą się w grupy, by ich głos na dworze królewskim był wyraźniej słyszany. Gdyby nie król, byłiby zajęci przede wszystkim walką ze sobą nawzajem w celu powiększenia swoich włości – Lothian uśmiechnął się z filozoficzną zadumą. – Skuteczność tego systemu sprawiła, że Nemedia stała się w ostatnich latach bogatym i spokojnym mocarstwem.

– Do czasu, gdy baronowie postanowią pozbyć się króla. – Conan szarpnął się wśród poduszek, po raz kolejny daremnie próbując podeprzeć się stopami. – Lub odwrotnie.

– To niemożliwe! Baronów zbyt silnie wiąże respekt dla szlachetnej krwi i wyjątkowej pozycji króla. – Lothian potrząsnął głową ze zniecierpliwieniem i ściągnął gęste, srebrzyste brwi. – Niebezpieczeństwo zagraża z innej strony. Dzięki wichrzycielstwu i przedstawianiu w fałszywym świetle postawy króla wobec miejscowych spraw oraz... hm, wskutek oporu wobec zdecydowanej postawy mojego pana w kwestiach zachowania ładu, w prowincji szerzy się bunt przeciwko rządowi barona Baldomera. Być może słyszałeś już o tym? – w spojrzeniu doradcy odmalowała się udawana obojętność.

– Doszło do mnie, że coś się dzieje, ale nie wiem dokładnie, co takiego – Conan wzruszył ramionami. – Większość tych, których oskarżano o bunt, zabierano najpierw do izby tortur. Gdy trafiali do naszej celi, nie byli w stanie wygłaszać płomiennych przemówień.

– Zapewne – Lothian pokiwał głową. – Lud nie uważa buntowników za bohaterów. Paru nieostrożnych, na poły szalonych wartogłówek, nie stwarza poważnego zagrożenia. Gdyby wierzyć radcy Svoretcie, każdy kłusownik zdobywa żywność dla

buntowników, a każdy plotkarz z szynku jest podstępny wicherzycielem. Svoretta chyba nie zdaje sobie sprawy, że szepcząc takie rzeczy do ucha podejrzliwego barona, wygłasza niebezpieczne prorocтва. Trudno! – mędrzec z irytacją machnął dłonią, na chwilę całkowicie pogrążając się we własnych myślach. Słyszac za drzwiami szcęk naczyń, starzec przypomniał sobie o potrzebie dyskrecji. – W każdym razie buntownicy zdają się wierzyć, że jeśli obalą tyrańskiego w ich przekonaniu władcę, jakiś cudem zdołają zaskarbić sobie łaskę monarchy i utrzymać władzę nad prowincją Dinander – podjął na nowo Lothian i westchnął z politowaniem. – To oczywiście mrzonki. Nic nie zdołaloby ścignąć tu szybciej królewskiej armii. Takie fantazje są jednak niebezpieczne, ponieważ osłabiają przekonanie ludu o wielkości Einarsonów i nadnaturalnych gwarancjach ich władzy.

Conan podparł się łokciem o poręcz otomany.

– Zatem to prawda, że panowanie Einarsonów opiera się na jakimś dawnym czarze? Słyszałem, jak wspominał o tym Baldomer.

– Krążą takie opowieści – Lothian nieznacznie skinął głową, nie odrywając wzroku od wejścia. – Mało ważne, czy tkwi w nich ziarno prawdy, czy są to tylko wykorzystywane przez ród barona przesady – mędrzec zmierzył Conana nieprzeniknionym spojrzeniem. – Na miejscu mojego pana nie ufałbym zbyt, że wiara ludu w legendę zapewni mu utrzymanie władzy. Ważniejsza jest rozsądna polityka.

– To znaczy, pewne ramię i dobry miecz?

Conan klepnął się po ramieniu, by rozmasować mięśnie. Jego nauczyciel rzucił mu znieczierpliwione spojrzenie.

– Mylisz się, chłopcze! Zbyt rychnie sięganie po miecz gubi człowieka szybciej niż cokolwiek innego – z niesmakiem przyrzwał się potężnej budowie Cymmerianina. – Dobrze by było, gdyby nieco zastanowienia i nagromadzonych bogactw poświęcono zaspokajaniu potrzeb mieszkańców tej baronii, nie zaś wynajmowaniu nowych wojowników! – Lothian pochylił się nad zwojem pergaminu. Jego zadanie okazywało się całkiem znośne. Młody cudzoziemiec wydawał się potulny, a nawet dość rozgarnięty. Starzec odchrząknął; – Do rzeczy! Podczas przemarszu ulicznego królewskiej świcie towarzyszy asysta honorowa w liczbie co najmniej siedmiu pieszych lub pięciu konnych. Gdy królowi towarzyszy baron lub rycerz, straż wasala ustępuje pierwszeństwa straży suwerena... Podczas gdy uczony doradca kontynuował wykład, Conan patrzył na wolno przesuwającą się smugę słonecznego blasku. Zaczął rozmyślać o Ludii. Wyściełana otomana przypominała mu nieco gładką skórę dziewczyny, chociaż obiciu brakowało tej zachwycającej jedwabistości. Wizja następnych schadzek wystarczała, by zniknęła chęć ucieczki z pałacu. Ostatecznie, dlaczego nie miałyby tu pobyć przez jakiś czas?

Mimo to zdawał sobie sprawę z potrzeby zachowania czujności i przeniknięcia zawiłych reguł, rządzących dworem Baldomera. Najbardziej użyteczna pod tym względem była Ludia. Ta prosta, pełna werwy dziewczyna natychmiast przypadła mu do gustu. Jej pozycja wśród służby była dość wysoka. Ludia wiedziała wszystko o obyczajach na dworze barona. A jej znajomość miłosnych sztuczek, spotykana tylko wśród mieszkanek Południa... Conan odchylił się na oparcie, pogrążając się całkowicie w błogich wspomnieniach pieszczot Ludii. Jego myśli bujały w miękkich, zalanych ciepłym, słonecznym blaskiem obłokach...

Nagle poczuł mniej subtelne dotknięcie. Natychmiast poderwał się i wyrzucił przed siebie dłoń, zaciskając ją na nadgarstku domniemanego nieprzyjaciela. Dopiero po chwili jego spojrzenie skupiło się na górującej nad nim postaci.

Mrugając, Conan spostrzegł, że w dłoni stojącego naprzeciw niego mężczyzny tkwi nie oręż, lecz gęsie pióro. Uniósłszy głowę, ujrzał nad sobą przestraszone i pełne bólu oblicze mądrego Lothiana. Natychmiast rozluźnił uścisk na chudym nadgarstku starca, mając nadzieję, że nie połamał jego cienkich kości. Cymmerianin wyprostował się zakłopotany.

Mędrzec cofnął się, trąc obolałą rękę i odzyskując nadwerżoną godność.

– Wiedziałem, że będziesz zasypiać w czasie lekcji! No, hultaju, możesz być pewien, że jutro porządnie cię przepytam! Potem powtórzę tę część dzisiejszej lekcji, którą przespałeś. – Machnął zdrową ręką. – No, znikaj już!

Conan zostawił masującego nadgarstek nauczyciela i ruszył na parter pałacu. Schodząc po wydeptanych kręconych schodach, zadumał się nad odebraną lekcją. Mimo, iż pobieranie nauk u Lothiana nie łączyło się z wysiłkiem ani groźbą sińców, wydawało się to Cymmerianinowi najcięższym z nałożonych na niego obowiązków. Brednie niewarte funta kłaków!

Od czasu, gdy szkolenie w posługiwaniu się bronią przejął Durwald, mozolne

lekcje szermierki stały się całkiem interesujące. Z kolei nadzór kowala Argi sprawił, że Conanowi łatwo było znieść naukę konnej jazdy. Po pierwszych pełnych zamętu dniach, młodzieniec z Północy zaczął czuć się dobrze wśród Nemedianczyków, mimo ich próżności i przywiązania do cywilizowanych obyczajów. Był gotów pozostać tu przez pewien czas, lecz pod warunkiem, że znajdzie sobie dogodną drogę ucieczki i zaopatrzy się w zapasy na taką ewentualność. Postanowiwszy to Cymmerianin rozejrzał się ostrożnie przed wejściem do holu. Zakładał, że każdy jego krok jest obserwowany.

Powędrował do kuchni, pomógł przygotować jedzenie dla służby, po czym sam spożył jego niemałą część. Pozostali służący pogodzili się już z obecnością Conana, a nawet go polubili. Odnosiło się to zwłaszcza do głównego kucharza, tłustego, sprośnego Veldy, a także Glina, sprytnego chłopca o spiczastej czaszce oraz Lokiego, nierozgarniętego pomocnika z kuchni, którego czoło było spłaszczone po kopnięciu przez muła w dzieciństwie.

Wilczy apetyt Conana nie groził nikomu pozostaniem z pustym żołądkiem, ponieważ w pałacowej kuchni zawsze było pełno jadła. Przygotowywane potrawy i tak były marnowane w zawrotnych ilościach przez mieszkającą w pałacu szlachtę.

Bezpośredniość Ludii sprawiła, że chmurny Cymmerianin ożywił się przy wspólnych posiłkach. Dziewczyna nieustannie przekomarzała się z nim, zaś Conan czarował służących opowieściami o bohaterskich wyczynach swoich ziomeków i posępnymi legendami o wilkołakach i trollach.

Tego wieczora, gdy wszyscy pokładli się spać, młodzieniec wślizgnął się do alkowy Ludii. Wkrótce spleceni w uścisku kochankowie zaczęli rozmawiać szeptem. W pewnej chwili dziewczyna zwierzyła się Conanowi z najgłębiej skrywanych ambicji:

– Nawet w podzielonej na stany Nemedii od czasu do czasu zdarza się, że dziewczyna niskiego urodzenia wpada w oko wysoko postawionemu mężczyźnie i zostaje jego żoną. Tutaj władzę piastują wyłącznie mężczyźni, jednakże piękne i silne duchem kobiety i tu mogą zająć wysoko, jak chociażby Heldra.

– Istotnie, droga stoi otworem – mruknął Conan – dopóki nie skończy się sztyletem w plecach lub trucizną w brzuchu.

– Usługuję przy stole baronowi i ostatnio zauważyłam, że panicz Favian zerka na mnie. To popędliwy chłopak, ale niedługo osiągnie wiek, pozwalający na ożenek.

– Ostrzegam cię przed zadawaniem się z Favianem – burknął Cymmerianin, przeciągając się na wąskim łóżku. – Brak mu opanowania, a jak się zezłości, bywa gwałtowny.

– Dokładnie odwrotnie niż ty, prawda, Conanie? – rzekła ironicznie Ludia. – Pamiętaj, że szlachty nie można mierzyć tą samą miarą, co zwykłych śmiertelników. Cięży na nich brzemię rangi i odpowiedzialności. Favian szarpie się jedynie w narzuconych mu przez ojca korbach, jak każdy syn w podobnej sytuacji.

– Cóż za głęboka myśl! Skoro koniecznie chcesz zająć wysoko, dlaczego nie zwrócisz na siebie oka samego barona? – w stłumionym głosie barbarzyńcy pobrzmiwała cyniczna drwina. – Nie wahaj się, wyjdź za staruszka i zostań macochą Faviana!

– Och, za nic, Conanie! – zaprotestowała Ludia i wróciła do poufnego tonu: – Wszystkim dobrze wiadomo, że Baldomerowi kobiety nie są potrzebne. Podczas ostatniej wojny na brythuńskim pograniczu, tuż przed urodzeniem Faviana, baron odniósł dwie poważne rany: twarzy i znacznie niżej. Tutaj! – dłoń Ludii powędrowała w okolice, które miała na myśli. To dlatego baron tak chucha na Faviana. Jego syn to ostatni z Einarsonów. I tak wiem, że żartowałeś. Nie chce mi się wierzyć, że coś takiego mogło ci przyjść do głowy. Miałabym uwieść barona? Za nic! – wymierzyła młodzieńcowi żartobliwy policzek. – Baldomer jest stary, szalony i nawet w połowie nie tak przystojny jak Favian – po uderzeniu nastąpił pocałunek w to samo miejsce. – Synalek barona jest równie przystojny jak ty... może nawet przystojniejszy, sama nie mogę się zdecydować! Nad ranem oszołomiony od braku snu i rozkosznych zmagañ Conan wstał z ciepłego łóżka Ludii. Nie chcąc budzić dziewczyny jak najciszej nałożył ubranie. Wyjrzał za zasłonę i na palcach ruszył przez pogrążoną w mroku jadalnię służby.

Nie zamierzał jeszcze zasnąć na wypchanym sianem i konopiami materacu w swojej niszy. Nie po to porzucił miękkie łóżko Nemedianki zasłane lnem i miękkimi futrami oraz jej wonne, ciepłe ciało.

Przeszedł przez kuchnię oświetloną słabymi odblaskami z przygaszonych

palenisk i po omacku znalazł drogę do znajdującego się za nią pokoju. Szara smuga światła padała pod półotwartymi drzwiami na korytarz. Gdy Conan wytknął ostrożnie głowę przez szparę, dojrzał strażnika pełniącego wartę pod tylnym wejściem pałacu.

Guardzista, stary wyga, pełnił służbę w pełnej zbroi. Conan wiedział, że ciężki ekwipunek nie pozwoli strażnikowi długo zachować tej samej pozycji. Cymmerianin wycofał się do kuchni i czekał.

Istotnie, niedługo potem usłyszał na korytarzu szuranie skórzanych podeszew. Po odgłosie kroków można było stwierdzić, że wartownik minął kuchnię, zawrócił i przeszedł obok niej ponownie. W tym momencie Conan wyszedł na korytarz. Zanim strażnik zdążył skończyć obchód i zawrócić ku wyjściu, młodzieniec przekradł się za jego plecami na drugą stronę korytarza.

Cymmerianin powoli, bezszelestnie ruszył obok pogrążonej w stygijskich ciemnościach spiżarni. Wykorzystywał umiejętności nabyte podczas nocnych polowań na pantery i gronostaje w puszczech Cymmerii. Tym razem marzył jednak o znacznie cenniejszej zdobyczy. Olbrzymich skarbach, gromadzonych, jak wiadomo, przez wszystkich możnowładców w tajemnych zakamarkach ich rezydencji. Conan wiedział o tym z legend, w które całkowicie wierzył. Nadzieja na zdobycie chociaż części bajecznego majątku sprawiła, że potulnie znosił niedogodności służby w pałacu.

Młody barbarzyńca chciał poza tym znaleźć drogę, pozwalającą w razie potrzeby na szybką i bezpieczną ucieczkę. Nie znalazł jeszcze nawet śladu takiej trasy, chociaż poprzedniej nocy wdrapał się na dach najwyższej wieży pałacu. Podczas pierwszej nocnej wyprawy miał okazję stwierdzić, jak czujnie po zapadnięciu ciemności strzeżona jest twierdza barona. Mimo to nie rezygnował z szukania drogi ucieczki.

Conan odnalazł po omacku widziane wcześniej schody i ruszył w górę do nie zbadanej jeszcze części pałacu. Już po pokonaniu paru stopni usłyszał skrzypienie drzwi. U szczytu schodów pojawiła się rozszerzająca się szybko smuga światła. Cymmerianin zniknął jak duch za belą surowego płótna.

Źródłem światła okazały się trzy świece ze szkarłatnego wosku, zatknięte w srebrnym kandelabrze. Conan był zmuszony schylić się, by uniknąć zauważenia, lecz odgłos stóp na schodach świadczył, że osoba niosąca świecznik jest sama. Gdy minęła Cymmerianina, ten zaryzykował wystawienie głowy zza beli płótna. W blasku świec dojrzał profil pysznego, lecz naznaczonego przez wojnę oblicza Baldomera.

Schodząc, baron zamknął za sobą drzwi na górę. Conan ruszył za nim ukradkiem, przyczajając się w cieniach rzucanych przez świece. Cymmerianin poczuł ogromną ciekawość, na myśl, co oznacza obecność arystokraty w tej części rezydencji o tak niezwyklej godzinie. Możliwość miał na sobie długą, białą koszulę nocną, a na jego piersi kołysał się ciężki, lśniący amulet w kształcie gwiazdy o sześciu ostrych jak sztylety promieniach.

Nocny wędrowiec szedł pewnie, najwyraźniej dokładnie znając cel swej drogi. Conan ze zdziwieniem zauważył, że baron wchodzi do jednego z pałacowych magazynów. W blasku świec nie było widać drugiego wyjścia z tego pomieszczenia o łukowatym sklepieniu. Czyżby Baldomer zamierzał sprawdzić stan skarbcza, ukrytego może pod ciężkimi, kamiennymi płytami posadzki?

Baron doszedł wprost do tylnej ściany zagraconej komnaty. Postawił kandelabr na skrzyni i stanął przy pokrytym kurzem drewnianym warsztacie tkackim. Z krosna zwisał nie ukończony gobelin, przypominający sieć gigantycznego pajaka. Szlachcic zaparł się stopami o posadzkę i odepchnął krosno w bok. Za nim ukazał się niski, łukowato sklepiony otwór w ścianie, zagrodzony dodatkowo żelazną kratą.

Baldomer pociągnął za metalową sztabę. Conan nie dostrzegł, by baron posługiwał się kluczem. Krata otworzyła się z przeszywającym skrzypieniem zardzewiałych zawiasów, odbijającym się donośnym echem w pustym pomieszczeniu. Stary arystokrata znów ujął w dłoń świecznik, pochylił się i przeszedł przez niskie wejście. Blask świec natychmiast zaczął przygasać. Dopiero gdy zapanowały niemal zupełne ciemności, Cymmerianin odważył się ruszyć naprzód.

Niemal spadł ze znajdujących się za kratą stromych, nierównych stopni, lecz w porę zdolał zaprzeć się dłońmi o mury wąskiego przejścia. Szybko zszedł na dół, wypatrując znikającego w oddali blasku świec.

Schody prowadziły do krypty z otwartymi niszami grzebalnymi po obydwóch stronach. Odblask płomyków oddalających się świec padał na mokre, oślizgłe kamienie. Spoiny między głazami pokryte były naroślami saletry. Conan obawiał

się, że baron może się w każdej chwili obejrzyć i dostrzec intruza posuwającego się prostym, wąskim korytarzem. Na szczęście przed niektórymi niszami stały w nierównych odstępach kamienne popiersia na niskich kolumnach, wystarczająco duże, by się za nimi ukryć. Cymmerianin uznał, że są to groby dawnych władców Dinander. Podstawy popiersi pokryte były wyrzniętymi runami i heraldycznymi symbolami. Przy każdym złożono rdzewiejący miecz.

Bliskość tych relikwów przeszłości sprawiła, że Conan poczuł niepokój. Starał się ich nie dotykać, wiedziony prymitywnym lękiem przed grobowcami i tym, co mogło się w nich zachować. Chociaż niektóre z rękojeści mogły być wykute ze złota lub srebra, Cymmerianin liczył na inny skarb, niż znaleziony na cmentarzysku. Mimo odrazy, za każdym razem, gdy wyprzedzający go mężczyzna unosił świecznik, Conan z konieczności przyciskał się do lodowatych popiersi.

Skradanie się prostym jak strzała korytarzem trwało tak długo, iż Conan zaczął wątpić czy znajduje się jeszcze pod pałacem, a nawet na terenie posiadłości barona. Tunel zdawał się ciągnąć daleko poza fundamenty budowli. Wreszcie Baldomer dotarł do celu. Ogniki świec znieruchomiały. Baron postawił kandelabr na olbrzymim sarkofagu, ustawionym w poprzek korytarza pod przegradzającym go murem.

Po chwili stary arystokrata przyklęknął tyłem do Conana i spośród przedmiotów leżących na wieku grobowca podniósł coś, co z dala wyglądało na niemal doszczętnie przeżarty przez rdzę wielki, prosty miecz. Baldomer z wyraźną czcią oparł go o ścianę za marmurową skrzynią. Miecz miał podwójny jelec w kształcie krzyża, dzięki czemu cała rękojeść wyglądała jak gwiazda przypominając amulet na szyi barona. Najprawdopodobniej rękojeść wiekowej broni stanowiła wzór dla talizmanu arystokraty.

Baron umieścił kandelabr przed mieczem tak, iż jelec broni był widoczny nad łukowatymi ramionami srebrnego świecznika. Migoczące płomyki oświetlały kunsztownie wykonaną, lecz strawioną przez czas rękojeść, inkrustowaną wciąż jaskrawymi klejnotami.

Gdy płomienie świec padły na zrudziałą głownię miecza, w korytarzu zrobiło się jaśniej. Conan ujrzał, że broń zalsniła własnym światłem. Pełgające po starym metalu odblaski sprawiały niesamowite, hipnotyzujące wrażenie. Przez chwilę Cymmerianin nie wiedział, czy broń wykuto wczoraj, czy przed wiekami, czy przeżarła ją rdza, czy była wypolerowana jak lustro. Kilkakrotnie zamrugał, by pozbyć się niezwykłego wrażenia.

Baldomer obciągnął koszulę na gołe kolana i przyklęknął na wprost grobowca jak przed ołtarzem. Conan podkrał się bliżej, by mieć lepszy widok. Przycisnął się za przedostatnim postumentem, parę kroków od granicy blasku.

— Święty mieczu Einara! — przemówił Baldomer modlitewnym tonem, wywołującym pogłós w ciasnej przestrzeni. — Ostrze ojca wszech mych przodków, uciekam się wraz z mym rodem pod twoją obronę! Wciąż wracamy myślą do legendarnych czasów, gdy dzierżąca cię dłoń należała do króla. Wciąż pamiętamy te dni, wciąż przestrzegamy dawnych obyczajów. Twój sługa nigdy nie dopuści, by podniosło się nań bezczelne oko, by język wyrzekł zdradzieckie słowo, by dłoń zwlekała z wypełnieniem rozkazu. Kto tak uczyni, słusznie padnie z ręki Einarowych synów! O, mieczu ojców moich, dzięki twej poręce władamy Dinander! Błagam cię, miej nas w swej bacznej opiece! Strzeż swego rodu, udziel naszym duszom swej stalowej siły! Stój przy nas, pokieruj nami w godzinie dania świadectwa naszym przywilejom, kiedy jak przed wiekami przyjdzie nam przypieczętować je ciałem i krwią!

Baron posługiwał się językiem staronemediańskim. Rytualna mowa była pełna niejasnych aluzji, lecz Conan pojął jej zasadniczy sens. W miarę tej zapalczącej, groźnie brzmiącej przemowy, pradawny miecz zdawał się rozpalać coraz jaśniejszym blaskiem. Tam, gdzie wcześniej odblask świec pełgał po przerdzewiałym, przypominającym wąża gałązkę ostrzu, zabłysła świeżo wypolerowana stal. Niezaprzeczalny dowód magii sprawił, że Conan poczuł nagły niepokój. Cymmerianin obejrzał się nerwowo przez ramię, czy nikt nie czai się w zalegających w krypcie cieniach.

Wtem przyszła mu do głowy kolejna myśl: świece dopalały się. Baron musiał wkrótce skończyć nabożeństwo i wrócić tym samym korytarzem. Nawet gdyby Conanowi udało się ukryć za którymś z popiersi j ruszyć śladem Baldomera, po dotarciu na górę stwierdziłby niewątpliwie, że wyjście ponownie zastawiono ciężkim krosnem.

Myśl, że mógłby zostać uwięziony w pełnej nieboszczyków, zaczarowanej krypcie sprawiła, że Cymmerianin zadygotał. Oglądając się co chwila na klęczącego w

modlitewnym uniesieniu szlachcica, ruszył z powrotem. Gdy znalazł się w bezpiecznej odległości, przystanął. Właśnie w tej chwili baron skończył osobliwy ceremoniał. W chwilę później odłożył miecz swoich przodków na dawne miejsce.

Blask świec przygasał coraz bardziej. Zadowolony, że niezwykły obrzęd dobiegł końca, Cymmerianin po omacku pokonał resztę podziemnego korytarza oraz pogrążony w mroku skład. Niedługo potem znalazł się w swoim łóżku w kwaterach służby.

Conan nie uznał wyprawy do podziemi za straconą. Gdy czaił się przy końcu prastarego korytarza, dostrzegł, że za ostatnim grobowcem w ścianie znajduje się ukryte wyjście. Starannie wykonana, kamienna płyta niemal idealnie pasowała do wnęki w murze, lecz przez szczelinę przy progu do krypty wpadał powiew świeżego powietrza niosącego jaśminową woń letniej nocy.

INTERLUDIUM POŻOGA NA RÓWNINACH

Nad Varakiel wznosiły się słupy dymu, przypominające niebotyczne pnie drzew. Pstra armia sunęła naprzód pod posępnyimi, żółtawymi niebiosami. Nierówne szeregi przedzierały się przez zagajniki i żywopłoty, deptały pola, brnęły przez płytkie rowy odwadniające.

Ludzka zbieraninę tworzyli krzepcy chłopci i rumiane jak pieczone jabłka wieśniaczki, wszyscy odziani w codzienne zgrzebne stroje, maszerowali jednakże karnie niczym wyćwiczone oddziały. Cepcy i widły dzierżyli pewnie jak broń. Ich twarze były pozbawione wszelkiego wyrazu – jak oblicza doświadczonych wojowników. Pola i zagrody zostawili daleko za sobą, najczęściej puszczane z dymem.

Grupy maszerujących wieśniaków zatrzymywały się tam, gdzie na ich drodze stawały zagrody i stogi. Chłopci podkładali ogień pod ludzkie obejścia i zaczajali się, tworząc krąg. Gdy pod wpływem nieznośnego żaru szczury, koty i inne zwierzęta pierzchały z ukrycia, wyczekujący chłopci wyłapywali je i zjadali na surowo. Wieśniacy zatracali wówczas wszelkie pozory człowieczeństwa. Często dwóch czy trzech naraz rozszarpywało zębami żywą jeszcze zdobycz.

Po pojmaniu kryjących się ludzi, po pięciu lub sześciu napastników rzucało się na ofiarę i wpijało zęby w jej kostki i nadgarstki. Przybysze nie pożerali jednak schwytanych rodaków. Zadowalali się jednym, bezwzględnyim ukaszeniem. Po paru krzykach bólu i zgrozy ofiary padały bezwładnie na ziemię, by niebawem dźwignąć się na chwiejnych nogach i ociężałe podążyć za niedawnymi prześladowcami, a obecnymi towarzyszami. Po drodze wyszukiwali sobie broń, by stać się pełnowartościowymi członkami stale rosnącej, nieustannie dążącej przed siebie hordy.

Napierająca horda pokonywała miarowo trzęsawiska i równiny. Działo się to bez bicia w bębny, grania trąb i galopu konnych gońców. Nieugięci zdobywcy posuwali się pozornie bez ładu i składu. Jedynie rydwan, pędzący z łoskotem pośród nich, stanowił dowód, że ktoś kieruje ruchami tej zbieraniny.

Toporny pojazd zrobiono z zwykłego wozu. Zdobiły go obecnie lśniąca metalowe okucia, obicia w krzykliwych barwach i tym podobne tandetne, odebrane wieśniakom ozdoby. Do ciężkich dyszli zaprzężono trzy krzepkie konie pociągowe, zdrowe i pełne werwy, chociaż niedobre co do wielkości i maści.

W tym osobliwym rydwanie jechały trzy osoby. Zwalisty woźnica nosił skórzany kowalski fartuch. Muskularne ramiona i nie ogoloną szczękę mężczyzny nadal znaczyły plamy sadzy. Obok niego jechał równie krzepki, czarnobrody pomocnik. Sądząc po oblekających go od stóp do głów rzadkich, lecz wyraźnie źle wyprawionych futrach zwierząt, człowiek ten trudnił się niegdyś kłusowaniem na bagnach. Milcząca dwójka o pozbawionych wyrazu twarzach stała na przedzie, balansując na jedynej osi pojazdu.

Trzeci pasażer leżał za ich plecami, rozparty wygodnie na stercie poduszek. Powożąca dwójka nie musiała liczyć się z jego ciężarem, bowiem był to jeszcze chłopiec. Na ramiona zarzucił sobie wyszywany złotą nicią purpurowy szal, zaś na skroniach nosił królewski złoty diadem. Był to nikt inny, jak wychowany na bagnach Lar. Po powstaniu z łoża boleści chłopiec natychmiast przystąpił do gromadzenia niesamowitej wieśniaczej zbieraniny. Na twarzy Lara, w odróżnieniu od wypełniających jego polecenia chłopów, malowało się coś, co można było nazwać ludzkim uczuciem. Otóż chłopiec wodził po roztaczających się wokoło scenach wzrokiem pełnym bezgranicznego, władczego znużenia.

Mijana przez zaprząg chłopska armia nie reagowała na ten widok powitalnymi

okrzykami ani nawet spojrzeniami świadczącymi o rozpoznaniu pasażera. Przywódca hordy i jego podwładni realizowali wspólny cel z niezachwianą, beznamietną pewnością.

Rydwan przetoczył się z chlupotem przez płytki strumień i wjechał w zagajnik wiązów i wawrzynów. Kolejny zniknęły stopniowo w coraz gęstszych zaroślach. Woźnica zatrzymał wreszcie trójkę koni przed chatynką z omszałych głązów.

Horda dotarła tu już wcześniej, o czym świadczyły wyważone drzwi i płomienie, przebijające się coraz śmieiej przez pozieleniałą strzechę. Kowal i kłusownik wysiedli z rydwanu i stanęli obok. Młody, samozwańczy władca przeciągnął się na stercie poduszek, po czym wstał. W tej samej chwili dwaj uzbrojeni wieśniacy wywlekli z chaty żylastego, starego człowieka ze zmierzwionymi siwymi włosami i w szamańskim naszyjniku. W oczach starca malowało się dzikie przerażenie.

– Nie zarażajcie go! – powiedział Lar przenikliwym głosem, gdy chłopci unieśli nadgarstki starca ku swoim szeroko otwartym ustom. – Najpierw go przesłucham.

Chłopiec swobodnie zeskoczył z rydwanu i ruszył w stronę jeńca. Dwaj podwładni Lara ustawili się tuż za plecami starego mężczyzny.

– I co, czarowniku? Skończyły się twoje żalosne rządy w tych okolicach! Powróciła starsza i potężniejsza magia, by objąć władanie nad tobą i twoimi ziómkami! – piskliwy głos chłopca sprawiał, że złowieszcze słowa wydawały się nierzeczywiste. Lar niecierpliwie skinął palcem. Jego pacholkiwie zmusili starca do przyklęknięcia, tak iż twarz jeńca znalazła się na tej samej wysokości co oblicze chłopca.

– Powiedz mi, staruchu, czy zdążyłeś rozesłać wieści do swoich rozproszonych po świecie braci? – Lar rzucił okiem na puste, wysłane słomą klatki pod ścianą chaty. – Widzę, że wypuściłeś gołębie... Bez wątplenia z wiadomością o zbliżaniu się moich uczniów. Co przekazałeś o nowej wierze, która szerzy się teraz na równinach? Czy twoją gildia okaże się na tyle niemądra, by spróbować stawić mi czoło?

Starzec przez cały czas zaciskał poźółkłe zęby tak silnie, że zbiełwały mu wargi. Na jego twarzy malował się grymas przerażenia. W spoglądających z trwogą oczach nie było widać ani śladu potężnych mocy. Mimo to pojmany czarownik milczał.

– Dosyć! I tak nic nie powie – Lar spojrział na pomocników i wsunął dłoń pod swą wystawną szatę. – Tnijcie!

Kłusownik z pozbawioną wyrazu twarzą wyciągnął spod futer krótkie, lśniące ostrze i dźgnął starca w bok. Jeniec wydał urwany krzyk bólu i zaczął się miotać w uścisku przytrzymujących go chłopów.

Gdy starzec otworzył usta do krzyku, Lar wyciągnął rękę spod szaty i przystawił ją czarownikowi do twarzy. Zrobił to błyskawicznym ruchem, wydawało się jednak, że w pomarszczone, starcze usta wrzucił coś małego i czarnego, zdającego się żyć własnym życiem. Przypominający giętką kijankę kształt natychmiast zniknął za nierówną palisadą zębów czarownika.

Starzec od razu zapomniał o bólu i zacisnął wargi. Jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia. Lar powoli opuścił dłoń. Kowal chwycił jeńca pod brodę, by uniemożliwić mu otwarcie ust.

Samozwańczy królewicz utkwiał baczne spojrzenie w twarzy czarownika. Chociaż starzec nie mógł się odezwać, jego mina była wystarczająco wymowna. Zaskoczenie ustąpiło miejsca przerażeniu, by tuż potem przejść w panikę i wreszcie w potworną mękę. Z wyblakłych oczu popłynęły łzy. Po chwili starzec przewrócił gałki oczne w górę, jak gdyby chciał ujrzyć gwałt, popełniany wewnątrz jego posiwiastej głowy przez koszmarnego intruza.

Czarownik miotał się w uścisku prześladowców tak silnie, iż piętami zdarł porastający podwórze mech. Ponieważ kowal zgniatał jego usta jak w kleszczach, starzec wydawał jedynie zduszone, nosowe stęknięcia. Jęki czarownika stopniowo osłabły, wrywał się wieśniakom z coraz mniejszą energią. W końcu opadł z sił i zwiesił głowę na piersi, z trudem sapiąc przez nos.

W chwilę później Lar niecierpliwie machnął ręką. Kowal zdjął rękę z twarzy jeńca. Samozwaniec nachylił się do czarownika, przysuwając ucho do jego uchylonych warg. Z ust starca dobywało się jedynie ciche syczenie, najprawdopodobniej skutek ściśnięcia krtani, jednak Lar przysłuchiwał się temu bardzo cierpliwie.

Chłopiec wyprostował się wreszcie z uśmiechem. Sięgnął do ust starca i wyjął z nich coś, co wsunął pod opończę na piersiach, po czym ruszył w stronę rydwanu. Swoim pacholkiem, którzy cisnęli konającego czarownika na ziemię, wydał tylko

jeden rozkaz:

– Obserwujcie drogi!

V

MIECZ I PEJ CZ

– Na świętą brodę Mitry, chłopcze, gdzie dorobiłeś się takich muskułów? – zbrojmistrz Dru zdjął z nagiego torsu Conana największy napierśnik i odwiesił go na kołek w dębowej szafce. – Nic nie będzie na niego pasować! – Odwrócił się w stronę Baldomera. Odziany w czarno-złoty strój baron stał z boku z ramionami skrzyżowanymi na piersiach. Surowe oblicze arystokraty rozjaśniał ulotny uśmiech.

– Panie, nie zdołam przerobić nic z moich zapasów – rzekł Dru. – Będę musiał wykuć nowy pancerz.

– Cymmerianie wyrastają na gigantów – Baldomer ścisnął mięśnie na barku Conana. Młodzieniec znosił przez chwilę jego dotyk, po czym wywinął mu się z niezadowoleniem. Jego gładką, rozłożystą pierś, niemalże pozbawioną owłosienia, pokrywały świeżo wygojone pręgi po chłoście. Na szyi widać było blizny po okowach. Baron przyjrzał się barbarzyńcy z uznaniem. – Niepohamowana, północna żywotność... Widać ją również w moim synu, lecz nie w takim stopniu, jak w tym chłopaku.

– Może sam sobie wykuć napierśnik – stwierdził rzeczowo kowal Arga. – Conan powiedział mi, że jego ojciec parał się tym samym rzemiosłem, co ja. Jego naród używa małych pieców, ale wyrabia spore, hartowane na gorąco ostrza – Arga nie podnosił wzroku. Wyraźnie obawiał się przechwalać swoją wiedzą przed baronem. – Do pracy miechami trzeba mieć silne, wytrzymałe ramiona...

– Pewnie stąd chłopak dorobił się takich mięśni – Baldomer spojrzał z rozbawieniem na milczącego Conana. – Cóż, potrzebny mi jest do poważniejszych zadań niż harówka w kuźni. Ile czasu zajmie ci wykonanie nowej zbroi? – zwrócił się, do zbrojmistrza.

– Przynajmniej tydzień, panie.

– Hm... – Baron zmarszczył brew. – Może zdołasz poprawić jeden z pancerzy Faviana?

– Być może, panie – przytaknął Dru. – Wszelako panicz jest bardziej rozłożysty... niżej.

– Chodźcie!

Baldomer ruszył do drzwi zbrojowni, nie przejmując się uwagą zbrojmistrza. Trzej mężczyźni podążyli za nim. Conan siedł na końcu wciągając kaftan przez głowę.

Stary arystokrata przeciął spiesznym krokiem hol wejściowy i ruszył głównymi schodami. Conan korzystając z okazji, rozglądał się na wszystkie strony. Dostojne alabastrowe kolumny zdawały się pisać bez końca od podnóża schodów, szkarłatno-złote gobeliny błyszcząły w popołudniowym słonecznym świetle wpadającym przez okna umieszczone wysoko we frontowej ścianie pałacu. W holu znajdowali się jedynie pełniący straż przy wejściu żołnierze z Żelaznej Gwardii, patrzący przed siebie nieruchomym wzrokiem.

Baldomer minął szybko półpiętro i wszedł w korytarz znany Conanowi z wcześniejszych wędrówek. Baron zatrzymał się przed wypolerowanymi czarnymi drzwiami i zdecydowanie zastukał dwa razy. Nie czekając na odpowiedź, nacisnął klamkę i wszedł do środka. Pozostali podążyli za nim.

Wyposażenie niskiej, lecz przestronnej komnaty stanowiły kunsztownie rzeźbione meble, między innymi wielkie łoża z pościelą w wielkim nieładzie. Na ścianach wisiały draperie w jaskrawych barwach i jeździecki ekwipunek. Na skinienie barona, Arga rozsunał ciężkie zasłony. Przez zakurzone okna do środka wpadła fala blasku.

Baldomer podszedł do lakierowanej, czarnej szafy stojącej naprzeciw łoża i otworzył na oścież jej drzwi. Spomiędzy fałdów wielobarwnych strojów dobyteła się zastała woń potu i talku.

– Hm... Wiem, że jest tu parę kolczug. Któraś z nich powinna się nadać.

Zaczął przegarniać szaty. Po chwili wahania Dru począł przeszukiwać stroje z przeciwnego końca. Po chwili zbrojmistrz wydobył spiżowy pancerz. Widniało na nim mnóstwo rys i płytkich wgnieceń. Rzemienie były wystrzępione i wytarte. Zakładana pod spód skórzana koszula znajdowała się w nie lepszym stanie.

– Stara zbroja ćwiczebna panicza Faviana... Obawiam się, że nic się nie da z

nią zrobić, panie.

– Istotnie, jest do niczego – Baldomer w zamyśleniu pogładził dłonią wykwinny, szkarłatny rękaw półprzejrystej kobiecej szaty. Wyszarpnął ją w końcu spośród innych strojów, zmiął i cisnął na podłogę. – Szukaj dalej!

Zrezygnowawszy z porządnej, lecz zbyt małej kolczugi, baron wyciągnął z garderoby okazałą sztukę zbroi. Był to obszyty czarną skórą stalowy pancerz, podobny do noszonych przez członków Żelaznej Gwardii, lecz o wiele staranniej wykonany. Do tego dochodził hełm nabijany srebrnymi ćwiekami.

– Jak myślisz, będzie odpowiedni? – zapytał Baldomer zbrojmistrza, przytrzymując pancerz przed piersią Cymmerianina.

– Pasowałyby nieźle po paru przeróbkach, ale to przecież nowa galowa zbroja panicza Faviana. Z rozkazu pana barona wykonałem ją zeszłej jesieni na zjazd szlachty – w skierowanym ku Baldomerowi spojrzeniu zbrojmistrza malowała się troska i niepewność. – Wątpię, czy twój syn ma inny, równie świetny pancerz.

– Inne względy są ważniejsze – baron nawet na niego nie spojrział. – Upoważniam cię do przerobienia dla Faviana zbroi ze zwykłego wyposażenia gwardzistów. Pamiętaj, że strój ma być pikowany w ramionach, by mój syn bardziej przypominał sylwetką tego chłopca. Masz, przymierz! – polecił Conanowi.

– Panie, czy strażnik musi nosić tak świetny strój? – zaprotestował Dru, gdy Cymmerianin zaczął nakładać masywny napierśnik.

– Nie zadawaj lepiej takich pytań, zbrojmistrzu – baron uciszył go spojrzeniem pełnym nieugiętej mocy. – Nakazuję ci także, byś nikomu o tym nie wspominał. Zrozumiano?

– Tak, panie – skruszony Dru cofnął się o krok.

– Bardzo dobrze. Unieś ramiona, chłopcze. Tak, trzeba będzie podłużyć rzemienie, lecz sam napierśnik pasuje. A to co?

Baron odwrócił się, gdyż drzwi komnaty otworzyły się z łoskotem. Arga i Dru zasłonili swojego pana, gotowi do obrony. Gdy ujrzeli, że intruzem jest Favian, cofnęli się z niewyraźnymi minami.

Favian miał na sobie wysokie buty i skórzany strój jeździecki. Zgodnie z ojcowskim zarządzeniem zgolił wasy, przez co jego podobieństwo do Conana stało się wyraźniejsze. Młody arystokrata przez chwilę spoglądał zdumiony na barona i towarzyszących mu mężczyzn. Potem jego oczy zwęziły się, a na szerokie, przystojne oblicze wypłynął rumieniec gniewu.

– Nowy dyshonor, ojcze! Nie dość, że odbierasz mi twarz i imię, to jeszcze uważasz za konieczne grzebać w mojej szafie? Zdołasz to usprawiedliwić?

Rzucił baronowi harde spojrzenie i z hałasem odwiesił na stojak przy wejściu myśliwski łuk. Baldomer zaczerwienił się przez moment, po czym na jego obliczu pojawił się lodowaty wyraz.

– Skłoniły mnie do tego wyłącznie względy bezpieczeństwa, Favianie, nic więcej. Poza tym nie muszę ci się z niczego tłumaczyć – kontynuował bardziej zapalczywym tonem. – Pamiętaj, że każda moja decyzja ma na celu dobro twoje i baronii.

– Uważasz, że to upoważnia cię do wtrącania się w moje sprawy? – Favian przeszedł na środek komnaty. – Oddałeś barbarzyńskiemu chłystkowi moją najlepszą zbroję. Niedługo pewnie mnie każesz nosić jego cuchnące, psie skóry. Nie liczę, że się z tym pogodzę!

Ruszył w stronę garderoby, chcąc ją zamknąć. Baron zagroził mu drogę.

– Nie tobie decydować, z czym się pogodzisz, a z czym nie! Pamiętaj, że cokolwiek masz, zawdzięczasz tylko mnie. Mogę cię pozbawić wszystkiego, jeżeli okaże się, że na to nie zasługujesz.

– Ojcze, tego już za wiele! – Favian odwrócił się od stojącego nieruchomo barona i zbliżył się do Conana. – Hej, ty, ściągaj moją zbroję z tego zawszonego grzbietu!

Conan obejrzał się na barona, oczekując z jego strony pozwolenia na sprzeciwienie się Favianowi. Syn Baldomera pchnął Cymmerianina z całej siły, lecz barbarzyńca nawet nie drgnął. Potomek arystokraty pchnął jeszcze raz, silniej, z rozmysłem starając się sprowokować Conana.

Nagle młody szlachcic wyciągnął zza pasa pejcę i zamierzył się do ciosu w twarz Cymmerianina. Barbarzyńca błyskawicznie uniósł ramię i schwycił za koniec bata. Wyszarpnął go Favianowi z dłoni, po czym cisnął w przeciwległy kąt komnaty.

– Och, prostaku, jak śmiesz! Nędzny rabie! Pamiętaj, tym razem jestem trzeźwy i uzbrojony!

Odgłos wyciąganego z pochwy rapiera rozległ się w komnacie jak syk węża. Tym samym ruchem Favian zamierzył się do cięcia w niczym nie chronione nogi Cymmerianina, lecz Conan z piorunującą szybkością odskoczył w tył. Uniknął jeszcze dwóch zamaszystych ciosów, po czym przeskoczył łoże, by odsadzić się od prześladowcy.

– Przestańcie! – wypowiedziany półgłosem rozkaz Baldomera był skierowany nie do walczących, lecz dwóch sług, którzy położyli dłonie na rękojeściach sztyletów. Baron zdjął ze ściany pochwę z mieczem i rzucił oręż Conanowi. – Łap, strażniku! I broń się!

Cymmerianin gładko chwycił rękojeść i zdążył zastawić się przed ciosem Faviana, wyprowadzonym jeszcze w chwili, gdy barbarzyńca przeskakiwał łoże.

– Pokaż mu synu, co jesteś wart! – zawołał Baldomer z napięciem.

Cios Faviana zdarł pochwę z miecza. Kunsztownie zdobiona osłona upadła z łoskotem na podłogę. Nastąpiła błyskawiczna wymiana ogłuszająco głośnych uderzeń. W ciasnej przestrzeni łatwiej było parować ciosy niż wykonywać uniki. Conan stwierdził, że jego ciężki miecz jest stary i wyszczerbiony. Z pewnością przez wiele lat stanowił jedynie dekorację. Nawinięty na rękojeść rzemień był wyschnięty i źle przylegał do dłoni.

– Favian, walcz z wyczuciem! Oszczędzaj siły! – pouczał syna Baldomer. – Cymmerianie są wytrzymali. Zmęcz go i czekaj na okazję do zadania ciosu!

Conanowi najbardziej przeszkadzał niedopasowany napierśnik, pozbawiający go tchu i wpijający mu się pod pachy. Młodzieniec z Północy miał ograniczoną swobodę ruchów, lecz bez trudu radził sobie z atakami napastnika.

Favian szybko przekonał się, że nie warto atakować uzbrojonego i odzianego w zbroję przeciwnika. Syn barona coraz rzadziej angażował się w wymianę cięć, polegając głównie na sztychach i groźnych zwodach. Ani razu jednak nie zdołał osiągnąć kunsztownie wykutego pancerza.

– O to chodzi, synu! Nie trać głowy, zmęcz go porządnie! – zawołał Baldomer.

Cymmerianin musiał bronić się tak, by nie zabić ani nawet nie zranić przeciwnika. Obydwaj walczący mężczyźni wpadali na stoły i krzesła. Meble przewracały się i roztrzaskiwały pod impetem ich ciał. W pewnej chwili Conan zahaczył swoim ostrzem o rapier Faviana i wyszarpnął broń z ręki przeciwnika. W tym momencie dojrzał w jego oczach nie maskowany strach.

Zachęty Baldomera ucichły. Favian dał znak do zaprzestania walki. Na twarzy młodzieńca malowało się nerwowe rozbawienie. Conan opuścił miecz.

– Widzę, barbarzyńco, że lekcje szermierki wielce ci się przydały – dysząc ciężko, młody arystokrata schował broń. Gdy syn barona wyciągnął rękę w stronę Conana, ten przez moment był gotów podjąć walkę na nowo, okazało się jednak, że Favian chciał go tylko poklepać po ramieniu.

– Powinienem być dobrać ci się do skóry dwa tygodnie temu, chociaż biedny, stary Eubold i wtedy nie zdołał sobie z tobą poradzić – rzucił Cymmerianinowi smętny uśmiech. – Pomyślnie przeszedłeś próbę. Skoro muszę mieć strażnika, dobrze, że będzie nim ktoś tak zręczny.

Favian powiódł wyzywającym wzrokiem po pozostałych. Nikt nie ośmielił się zaprzeczyć, iż syn barona nie walczył serio. Zakłopotany Dru przystąpił do ustawiania mebli na swoich miejscach. Arga wyjął miecz z dłoni milczącego Conana, schował go do pochwy i zawiesił na ścianie. Baron spokojnie wydał służącemu ostatecznie dyspozycje i wyszedł bez pożegnania. Jego twarz miała nieprzenikniony wyraz.

Conan zdjął pancerz i podał go Ardze. Gdy zbierał się do wyjścia wraz ze zbrojmistrzem i kowalem, zatrzymał go Favian.

– Skoro skrzyżowaliśmy ostrza, Cymmerianinie, co powiedziałaś na wspólną pijatykę? – syn barona wyciągnął z szafki kamionkową butelkę oraz dwa srebrne puchary. Wyciągnął ją w stronę Conana i dodał:

– Prawdę mówiąc, uważam picie za szlachetniejszą rozrywkę. Wolę stracić głowę od wina niż stali!

Znacznie później tego samego popołudnia Conan kończył opowiadać Favianowi o nieudanej ucieczce z więzienia. Język Cymmerianina był już dobrze naoliwiony trunkiem, kaftan poplamiony, a gesty wielce wymowne.

– Kiedy wywlekali mnie z tej nory, spodziewałem się szubienicy, a nie szlacheckiego pałacu! Większe szczęście nie mogło pewnie spotkać cudzoziemca w waszym szalonym kraju... chociaż pewnie masz przez to kłopoty – wychylił zawartość kubka do dna i odstawił go z łoskotem na blat. – Nie moja wina, że do tego doszło.

– Ee tam! Nie przejmuj się tym, Conanie! – panicz łaskawie machnął dłonią okazując swojemu towarzyszowi sympatię zdumiewającą w porównaniu z wcześniejszym zachowaniem. – Nie mogę cię winić, że jesteś do mnie podobny ani za to, że w niewłaściwym czasie trafiłeś do lochu mojego ojca. Żaden rozsądny człowiek nie może mieć o to do ciebie pretensji. Tak przy okazji, dlaczego zostałeś uwięziony?

– Przysięgam, że byłem niewinny – Conan potrząsnął ociężałą głową. – Zaczepiła mnie straż miejska i wywiązała się z tego bitka.

– Nie zadawałeś się z buntownikami? Nie byłeś przypadkiem wichrzycielem? – młody arystokrata utkwiał w barbarzyńcy przenikliwe spojrzenie.

– Nic podobnego! Owszem, rozbiłem parę głów, kiedy mnie pojmano, ale to wszystko przez grubiaństwo waszych strażników.

– Tak, stróże porządku są ostatnio nerwowi, bo buntownicy podnoszą głowy. Poza tym czciciele węży stają się podobno coraz śmielsi. Tak czy owak, władaniu naszego rodu właściwie nic nie zagraża, jednak im ostrzejsze środki podejmuje się przy pierwszych oznakach niepokoju, tym mniejsze są później kłopoty. – Favian niepewną dłonią nalał złotego trunku Conanowi i, znacznie oszczędniej, sobie. – Svoretta twierdzi, że rozruchy wywołują chłopi, którzy chcą wymigać się od danin i dziesięcin. – Gdy młody arystokrata uniósł puchar w smugę gasnącego światła dnia, zamigotały zdobiące go czerwone kryształy. – Mógłbym zabłysnąć dzięki ostatnim niepokojom, przyjacielu. Gdyby ojciec pozwolił mi powieść w głąb prowincji oddział konnicy, pokazałbym tym ciemnym rzepojadom, jaka jest cena wichrzycielstwa! Skończyłyby się bunty! Jeszcze lepiej byłoby, gdyby pozwolił mi użyć rydwanu! Zajechałbym nim do samego Helheimu!

– Nie widać, by wieśniacy rwali się do buntu. – Conan spojrział w twarz Faviana przez mgiełkę zasnuwającą jego pole widzenia. – Chłopi w lochu nie wyglądali na groźnych. Być może lepsze skutki przyniosłoby okazanie łaski...

– Chłopi? Groźni? Oczywiście, że nie! – syn barona roześmiał się z pijackim cynizmem. – Gdyby byli groźni, nie byłiby chłopami. Sama ich potulność wystarcza, byśmy my, Einarsonowie, mogli sprawować władzę. Nie ma tu miejsca na wymyślnie teorie Lothiana. Liczy się tylko zdecydowanie i surowość – młody szlachcic wypił jednym haustem zawartość pucharu i spojrział sardonicznie na Conana. – Od czasów pierwszego władcy z naszego rodu, dostojnego Einara, mego praszczura, czy kogokolwiek, kto założył dynastię, od czasu, gdy sięgnął on po miecz i nauczył się nim rąbać, by wywyżżyć się nad innych, od tego dnia miecz stanowi główną ostoję szlachectwa. Nasza władza opiera się wyłącznie na ostrej stali i bezwzględności. Musimy stale korzystać z tych darów i naginać innych do wcielania w życie naszej woli. Jeżeli o tym zapomnimy, niechybnie popadniemy w srogie tarapaty! – uniesiony własną retoryką, Favian wstał ze stołka i podniósł leżący na łożu rapier. Zdjął pochwę, odrzucił ją na zmiętą pościel, ujął broń w połowie ostrza i wyciągnął ją przed siebie. – Niezwykła jest świadomość, że to oto okrutne narzędzie stanowi najwyższy wyraz ludzkiej woli, ster ludzkiego przeznaczenia! Wszelako właśnie ten oręż i tylko on zapewnia rządy nad prowincją Dinander i podtrzymuje skromną chwałę Einarsonów!

– Tylko miecz? – Conan poczuł się zmuszony przerwać Favianowi, nim młodzieniec nabierze ochoty do kolejnej walki. – A co z płynącą w waszych żyłach błękitną krwią i chroniącymi wasz ród pradawnymi czarami? – zapytał, spoglądając ku swojemu gospodarzowi zza wzniesionego pucharu.

– Czarami? – Favian zerknął na niego podejrzliwie i odrzucił rapier. – Skąd się o tym dowiedziałeś?

– Wiem tyle, ile powiedział mi twój ojciec – mruknął Conan. – Doszły mnie również plotki krążące wśród służby.

– Tak, rzeczywiście, języki w pałacu nie próżnują. – Zadumany szlachcic obrócił puchar w dłoniach. – Cóż, Conanie, niebawem osiągnę wiek, w którym zostanę wprowadzony w tajemnice dziedzictwa mojego rodu. Wtedy dowiem się, czy klątwa Einara jest tylko postrachem łatwowiernych głupców, czy jest w niej zawarta prawdziwa moc – utkwiał w towarzyszu pijatyki pełne namysłu spojrzenie. – Ty Conanie, jednakże, nigdy się tego nie dowiesz, jeżeli będziesz miał szczęście i dobrze wypełniał obowiązki strażnika – Favian zakorkował flaszkę i zebrał puchar z zachłapanego winem stołu. – No, druhu, muszę przygotować się do kolacji. Ty również. Na pewno jeszcze nieraz sobie pogawędzimy. Oby nadal sprzyjało ci szczęście, jeżeli mój ojciec uprze się, by ciągnąć tę maskaradę.

Conan wyszedł z komnaty, otępiały od szumiącego w głowie trunku. Znalezienie drogi na dół kosztowało go wiele wysiłku. Napełnienie brzucha w kwaterach służby

nie pomogło odzyskać jasności umysłu.

Ludia nie pojawiła się. Conan tym razem nie brał udziału w rozmowach w kuchni. Siedział w milczeniu, rozmyślając nad tym, czego dowiedział się o Favianie. Młody szlachcic miał niestały charakter, równie złożony jak ojciec. W ostatecznym rozrachunku mógł być również odrobinę szalony. Na ocenę Conana wpływała jeszcze jedna rzecz: podobnie jak Baldomer, Cymmerianin zdawał sobie sprawę, że Favian jest tchórzem.

Gdy Conan kończył posiłek, przez jadalnię służby przeszła Ludia. Nie przywitała się z Conanem. Patrzyła przed siebie udając, że go nie zauważyła. Dla oszołomionego winem młodzieńca, była to kropla przepełniająca czarę gorzkości. Wstał i poszedł do swojego łóżka, przeklinając niemrawo wszystkich cywilizowanych mężczyzn i kobiety oraz ich wariackie, nieprzewidywalne nastroje.

Późną nocą z otchłani ciężkiego snu wyrwały Conana dziwne odgłosy, dochodzące z jadalni służby. Szuranie kroków i tłumione szlochanie sprawiło, że Cymmerianin szybko stoczył się z łóżka i rozsunał zasłony. W słabym blasku świec dostrzegł znikającą w alkwie sylwetkę Ludii.

W jednej chwili znalazł się w drugim końcu izby. Wszedł do pogrążonej w ciemności niszy i przystanął nad łóżkiem, w którym płakała skulona kobieta.

– Ludia... co się stało, dziewczyno? Kto cię skrzywdził?

– Nie, Conanie. Odejdź, nie martw się o mnie, proszę! Jej słowa przerywało coraz głośniejsze szlochanie. Cymmerianin przyklęknął i otoczył ją ramieniem.

– Co się stało, kochana? Możesz mi powiedzieć... Cromie! – gdy przesunął dłoń po rozpalonych, obrzmiałych pręgach na grzbiecie Ludii, dziewczyna zajęczała z bólu. Conan ostrożnie sprawdził, jak bardzo była zmaltretowana. Na opuszkach palców poczuł krew.

– Trzeba opatrzeć te rany. Chodź ze mną – przyłożył drugą dłoń do zażawionego policzka Ludii. – Powiedz, kto ci to zrobił, dziewczyno?

Przez długą chwilę Ludia szlochała w milczeniu. Gdy Conan otwierał usta, by ją pocieszyć, dotarło do niego stukanie okutych butów w przyległej kuchni.

Ciężkie kroki zbliżyły się do alkowy. Towarzyszyło im szuranie o posadzkę grubego drzewca.

– Pokojowa Ludia śpi tutaj? – rozległo się beznamietne pytanie nawykłego do rozkazywania człowieka.

– Tak jest, to jej łóżko – zabrzmiał młodszy męski głos. Conan odchylił zasłonę i zobaczył, że przed alkwą stoi dwóch członków Żelaznej Gwardii. Jeden z nich trzymał pikę, zaś drugi świecę o chyboczącym płomieniu. Zza zasłon nisz sypialnych wyglądały twarze innych służących, lecz wszyscy milczeli.

– Dziewka pójdzie z nami – rozkazał strażnik z piką.

– Nie może, źle się czuje – Conan wyszedł z alkowy i opuścił zasłonę, by uniemożliwić mężczyznom gapienie się na Ludię.

– Musi pójść z nami, taki jest rozkaz pana barona. Odsuń się!

Conan nie ruszył się z miejsca. Pikinier rozstawił nogi i pochylił oręż o haczykowsatę grocie. Drugi z gwardzistów postawił świecznik na stole i sięgnął do szabli.

W tym momencie wyszła Ludia. Conan usiłował ją powstrzymać, lecz zataczająca się dziewczyna minęła go i stanęła między strażnikami. Była blada jak płótno, nie odzywała się. Zdażyła włożyć pantofle i futrzany płaszcz. Strój nie osłaniał jej dokładnie. Widać było gołe udo pokryte czerwonymi pręgami. Gdy Conan dojrzał te szramy podkreślone migoczącym blaskiem świecy, wściekłość zaczęła palić go jak ukąszenia roju szerszeni. Trunek całkowicie wywietrzył mu z głowy.

Gwardziści ustawili się z obu stron dziewczyny i ruszyli wraz z nią. Gdy strażnik z piką usłyszał, że Conan podąża za nimi, odwrócił się i ponownie pochylił broń. Barbarzyńca przystanął w progu i popatrzył na niego bez zmrużenia oka. Po chwili milczącego pojedynku woli, strażnik odwrócił się i pospieszył za Ludią oraz oddalającym się towarzyszem ze świecą.

Cymmerianin nie odstępował ich na krok. Schodami dla służby wspięli się do reprezentacyjnego skrzydła, które Cymmerianin poznał tego popołudnia. Kilko drzwi stało tu otworem. Ludia zdołała się nieco uspokoić. Strażnicy wprowadzili dziewczynę do komnaty Faviana.

Pikinier odwrócił się i zastawił drzewcem wejście, nie zdołał jednak odgonić Conana od drzwi. Cymmerianin widział nad ramieniem strażnika całe wnętrze komnaty. Na skraju rozgrzebanego łoża siedział na poły rozebrany Favian. Miał na sobie wymiętą koszulę nocną i jeździeckie buty. Głowę trzymał zwieszoną, a łokcie wspierał na kolanach. Baldomer stał na środku komnaty w naprędcie

narzuconym, paradnym stroju. Włosy sterczały mu w nieładzie. Sztywna poza oraz rytmiczne stukanie kłykciami o udo zdradzały gniew barona. U jego boku w idealnym dla szpiega ciemnym ubiorze stał Svoretta.

Gdy strażnik wypchnął Ludię przed siebie, dziewczyna przypadła na kolano, w geście szacunku lub z braku sił. Drugi gwardzista stanął sztywno za jej plecami. Baldomer nachylił się i chwycił w garść włosy na karku dziewczyny. Przechylił jej głowę do światła, utkwilił wzrok w jej zalanej łzami twarzy. Powoli rozwarł uścisk dłoni. Ludia spuściła wzrok.

– A więc to ta dziewczka! Zwyczajna kuchta! Co tutaj robiła?

Favian uniósł głowę i rzekł bełkotliwym z przepicia głosem:

– Powiedziała, że chętnie ze mną poswawoli, jak one wszystkie, ale mnie nie zadowoliła. Zaiste, jak na zwykłego garkotłuka, wbiła sobie do głowy niestworzone rzeczy – popatrzył z góry na struchlałą dziewczynę. Na jego twarzy wykwitł pijacki uśmieszek. – Potem odpowiadała mi bezczelnie, dlatego wygarbowałem jej skórę. Nie widzę w tym nic niezwykłego, ojcze.

Baldomer obrócił się z rozdrażnieniem do siedzącego na łożu syna.

– Favianie, czy muszę tłumaczyć ci, dlaczego jestem zdenerwowany? Dlaczego nie życzę sobie, byś ścigał rozebrane dziewczki po korytarzach pałacu? Przypominam ci, że to mój dom, a nie zamorański zamtuz! Mieszkała tutaj twoja matka! – baron przeszedł sztywno parę kroków, zawrócił do łoża, nachylił się nad synem i krzyknął: – Jeżeli musisz równie haniebnie zaspokajać swoje chucie, nakazuję ci zachować przy tym chociaż odrobinę dyskrecji! Podobne widowiska są skandaliczne, wulgarne i fatalne dla moralności wszystkich domowników!

– Dobrze, ojcze. Skoro postanowiłeś robić o to tyle hałasu, przepraszam – Favian potrząsnął z rozdrażnieniem głową. – Możemy dać już spokój tej sprawie?

– Spokój?! Doskonale! – Baldomer wyprostował się. – Od tej pory znajdujesz się pod surową kontrolą. Poza tym dziewczyna nie może tu zostać. Trzeba będzie ją zabić.

– Ojcze! – protest Faviana podbarwiła irytacja i odrobina niesmaku. – Dlaczego po prostu jej nie odeślesz?

– Nie można dopuścić do spoufalania się służby ze szlachtą. To łamie wszelkie zasady etykiety – zdoławszy skupić na sobie uwagę syna, baron nieco ochłonał. Machnięciem dłoni uciszył Ludię, która zaczęła szlochać na nowo. – Co będzie, jeżeli dziewczka wróci za rok z dzieciakiem na rękę, twierdząc, że jesteś jego ojcem, i zacznie domagać się części twego dziedzictwa?

– Ojcze, dlaczego mielibyśmy martwić się tym właśnie teraz? – znudzony awanturą Favian wstał i uniósł ręce w geście rezygnacji. – Dobrze, zabijcie ją, skoro wam na tym zależy, tylko już dajcie mi spokój!

Kłótnię Einarsonów przerwał wepchnięty siłą do komnaty strażnik.

– Panie! Ten człowiek... przyszedł za nami z kwater służby... – wystękał.

Gwardzista mówił z przerwami, ponieważ usiłował wyszarpnąć Conanowi drzewce swej piki. Nim zdołał powiedzieć coś jeszcze, Cymmerianin podstawił mu nogę i napał na broń. Lękający się wypuścić oręż z dłoni gwardzista runął na posadzkę. Jego towarzysz wyciągnął szablę i zagroził drogę Conanowi, który przestąpił leżącego mężczyznę.

– Chłopcze, opanuj się! – warknął Baldomer.

Conan z wysiłkiem zmusił się do zatrzymania i opuścił zaciśnięte pięści do boków. Przewrócony strażnik dźwignął się z ziemi i wraz z drugim gwardzistą wymierzył broń w gardło młodzieńca z Północy.

– Dostojny panie! – wymówienie tego tytułu przyszło mu wyjątkowo opornie. – Zaręczam, że dziewczyna nie miała złych zamiarów – z przelotnym zdziwieniem stwierdził, że jego głos ochrypł ze wzburzenia. – Daruj jej, dosyć wycierpiała!

– Dlaczego miałyby obchodzić cię ta sprawa... – zaczął mówić baron, lecz Svoretta nie pozwolił mu skończyć:

– Panie, natychmiast po przybyciu do pałacu barbarzyńca nawiązał z tą dziewczką wielce zażyłą znajomość! – chwilą milczenia podkreślił zawartą w tych słowach sugestię. – Twierdzę, iż uknuto spisek by wpłynąć na panicza Faviana, by go szantażować lub by zaślepiony wdziękami dziewczyny, zwrócił się przeciw tobie!

Przez długą chwilę słychać było wyłącznie żalospny płacz Ludii. Favian uniósł wzrok na mierzącego go wrogiem spojrzeniem Conana.

– A ja dzisiaj starałem się zawrzeć z nim pokój! – potrząsnął z gniewem głową. – A ten podstępny dzikus chciał wpuścić swoją współpracowniczkę do mojego łoża! Masz rację, ojcze, dziewczyna musi zginąć! Gdybym wiedział o jej knowaniach, wychłostałbym ją podwójnie! Nie, potrójnie!

Młodemu arystokracie nie dane było skończyć. Tym razem przeszkodził mu szelest wyszywanej kotary w głębi komnaty. Przez ukryte za zasłoną drzwi weszła młoda kobieta o rudych włosach, bladej twarzy i szerokich kościach policzkowych. Mimo, że przystanęła w półcieniu, widać było, iż jest uderzająco piękna. Jej szczupłą sylwetkę otulała szata z zielonego atlasu. Kobieta podtrzymywała ją dłonią przy szyi.

– Ojczy, jak możesz dręczyć to biedne dziecko? Baron gestem dał znak dziewczynie, by nie podchodziła bliżej.

Calisso, nie wtrącaj się. To sprawa między ojcem i synem.

– Na pewno nie! – bosonoga dziewczyna okrążyła łoże i przystanęła obok Faviana. – Przed chwilą sam powiedziałeś, że dotyczy to całego domostwa. Cóż, ponieważ moja matka za życia rządziła w tym domu, ja również chcę mieć coś do powiedzenia – szata Calissy rozchyliła się nieco pod szyją, ukazując alabastrowe łuki ramion. Dziewczyna nie starała się ich ukryć. – Po prostu odeślij służącą do rodziny. Na pewno jakąś ma!

Baldomer patrzył na córkę z konsternacją, pomieszana z pobłażliwością. Svoretta odpowiedział za niego:

– Pani, obawiam się, że nie jest to takie proste. Szkoda już się stała. W tej sytuacji musimy zająć twarde stanowisko...

– Bzdury, panie radco! Twoi szpiedzy w pałacu powinni dostarczać ci lepszych wieści – Calissa zwróciła się w stronę ojca. – Ludia jest lubiana przez wszystkich domowników. Jeżeli każesz zabić ją za to nieszczęsne zdarzenie, od tej pory będziesz musiał zmagać się z szemraniami i bojaźnią całej służby. Co więcej, narażasz się na niechęć tego imponującego młodzieńca, kimkolwiek jest.

Calissa wskazała gestem Conana. Barbarzyńca stał na ugiętych nogach i czujnie patrzył na dwóch tarasujących mu drogę gwardzistów. Sądząc po ich pełnych napięcia pozach i spotniałych twarzach, żołnierze nie byli pewni swojej przewagi.

– Och, proszę, ojczy, to tylko kolejny z niedowarzonych wybryków mojego brata... – Calissa położyła dłoń na ramieniu Faviana, który strząsnął ją ze zniecierpliwieniem – ...nie ma sensu wywoływać dalszych cierpień. – Calissa podeszła do skulonej dziewczyny, uklękła przy niej i otoczyła ją opiekuńczo ramieniem. – Ludia, skąd pochodzisz?

– Z Varakiel – urywany głos służącej był ledwie słyszalny. – Z bagien na północnym wschodzie.

– Masz tam rodzinę? Chcesz do nich wrócić?

Ludia chwyciła dłoń Calissy i oblała ją łzami.

– Och, tak, pani, proszę!

Starsza dziewczyna pomogła jej podnieść się z podłogi.

– Chodź, zajmę się twoimi ranami. Niedługo odeślemy cię do domu, dziecko.

Poprowadziła nieszczęsną służącą w stronę zasłoniętych drzwi.

– Ludia! – zawołał Conan.

– Panie, co mam zrobić z tym niepoprawnym osłem? – zagłuszył go gardłowy głos Svoretty. – Ostrzegalem, że będą z nim same kłopoty.

Baron zwrócił chłodne spojrzenie ku Cymmerianinowi.

– Naucz się nie posuwać za daleko, barbarzyńco, zanim każę cię zamknąć w stalowej klatce! – zwrócił wzrok ku wychodzącym kobietom. – I zapomnij o dziewczynie. Już jej nie zobaczysz.

VI

NEKTAR I TRUCIZNA

Conan spotkał jednak Ludię, zanim dziewczyna została wywieziona w rodzinne strony. Tak się złożyło, że następnego dnia o świcie pracy w stajni doglądał Arga. Kowal wydając polecenia starszemu stajennemu, który miał pojechać z dziewczyną, udał, że nie zauważa młodego barbarzyńcy, który podszedł do dziewczyny, zwiniętej na wymoszczonym słomą wozie.

– Ludia! Dziewczyno, poradzisz sobie? Powiedz tylko słowo, a porozwalam łąby tym szlacheckim pacholkom i uciekniemy stąd razem!

Cymmerianin długo i daremnie czekał na odpowiedź Ludii, przyglądając się jej pobladłej, pozbawionej wyrazu twarzy. Na drzewach za murem posiadłości zaśpiewały budzące się ptaki.

– Ludia, nie rozpaczaj! – Conan gorączkowo szukał słów, którymi mógłby ukoić duchowe rany milczącej dziewczyny. – Twoje marzenia okazały się daremne, bo ci

głupcy okazali się ciebie niegodni! Dobrze, że opuszczasz ten podły pałac, dziewczyno. Będiesz o wiele szczęśliwsza w...

– Przestań! – Ludia obrzuciła go nagle gniewnym spojrzeniem przekrwionych oczu. Nie potrzebuję już szlachciców ani ich sługusów! – sarkazm dziewczyny wyraźnie obejmował również Conana. – Ale jeszcze mnie tu zobaczycie!

W Nemedii można zyskać wielkość na wiele sposobów! – Zupełnie niepojęta dla Cymmerianina nuta w głosie Ludii mogła być histerią, lub czymś jeszcze gorszym. Dziewczyna zmierzyła Conana oziębłym, nieruchomym wzrokiem. – W tym nieszczęsnym kraju wrze bunt. Odjeżdżam z Dinander, ale wrócę tu jeszcze, z pochodnią i mieczem, by oczyścić ten ropiejący wrzód!

Ludia zacisnęła dłoń na skraju okrywającego ją szala. Conan popatrzył z przerażeniem na swoją niedawną kochankę, starając się nie ujawnić gnębiącej go obawy o dziewczynę.

– Zostań przez jakiś czas u rodziny...

W tym momencie Arga ruszył w ich stronę z przeciwnego końca dziedzińca wołając do strażników, by otworzyli bramę. Conan w geście pożegnania położył dłoń na szczupłych palcach Ludii, po czym zniknął w cieniu kuźni. Gdy stajenny ujął lejce i wóz potoczył się naprzód, Cymmerianin rzekł stłumionym głosem:

– Niech Crom cię uleczy, szalona dziewczyno! Bolesne rozstanie z Ludią nie na długo przygnębiło Conana. Wraz z innymi domownikami pozwolił się wciągnąć w przygotowania do wielkiej uczy. Przebiegały one tym bardziej gorączkowo, że bal wydawano na pożegnanie barona przed wyruszeniem na objazd prowincji Dinander. Conan spędził wiele godzin na noszeniu w górę i w dół po schodach krzesel i kozłów, rozwijaniu i trzepaniu ciężkich od złotych nici gobelinów oraz zajęciach mniej przystojących jego godności i sile, jak czyszczenie nocników i obieranie warzyw. Następnego dnia od ognia na kuchennych paleniskach, w podziemiach pałacu było gorąco jak w piekle. Potrawy bulgotały we wszystkich spiżowych garach naraz. Po południu oszałamiające aromaty przypraw, owoców i wywarów stały się tak silne, że mogły doprowadzić do szaleństwa ludzi dużo bardziej cywilizowanych od Cymmerianina.

Wieczorem młodzieniec z Północy kręcił się po kuchni ściągając plastry wędlin, gdy tylko kucharz Velda odwrócił głowę.

W pewnej chwili do barbarzyńcy podszedł radca Svoretta i kazał mu nałożyć świeżo przerobioną zbroję, po czym czekać na rozkazy. Conan miał trzymać się z dala od uczestników balu, o ile nie otrzyma innych poleceń. Gdy słońce schowało się pod zachodnim horyzontem, Conan ukradkiem wszedł na piętro pałacu. Nie był już w stanie wytrzymać w ciasnej, dusznej niszy w sypialni służby. Nie mógł się tam zająć niczym innym oprócz rozpamiętywania schadzek z Ludią i wątpliwościami, czy nie spędził już za wiele czasu w tym domu szaleńców. W końcu doszedł do wniosku, że musi zacząć działać.

Świąteczną atmosferę w pałacu widać było na ruchliwych korytarzach i na schodach, gdzie unosił się zapach wina i odbijały się hałaśliwe rozmowy biesiadników. Omijając większe komnaty, Conan zamierzał dotrzeć do położonego na uboczu półpiętra, skąd mógłby niepostrzeżenie przyglądać się balowi. Był pewien, że w wypolerowanym czarno-złotym hełmie i pancerzu bez trudu ujdzie za strażnika.

Minawszy po cichu parę kochanków, którzy zaszyli się w pograżonej w ciemnościach, przechodniej komnacie, Conan wysliznął się na wewnętrzną galerię. Zgodnie z jego oczekiwaniami było tu prawie pusto. Gdy podszedł do poręczy, uderzyła go fala gorąca i dymu. Główną komnatę na dole oświetlały setki świec i lamp oliwnych. Goście zasiadali przy ciasno ustawionych stołach z czerwonymi obrusami. Większość z nich wyglądała na kupców i właścicieli posiadłości ziemskich, w asyście najwyższych rangą służących. Goście sprawiali wrażenie dziwnie podnieconych. Wodzili dookoła szeroko otwartymi oczami, kręcili się po sali, hałaśliwie plotkując i nadużywając wina. Zaproszone osobistości wyższej rangi – szlachta i oficerowie straży – gromadzili się raczej w pobliżu schodów i drzwi prowadzących do komnat barona.

Od obydwóch grup biesiadników wyraźnie odróżniali się członkowie Żelaznej Gwardii w galowym rynsztunku. Było ich niemal tyłu, co gości. Gwardziści stali wyprężeni w równych odstępach pod ścianami i schodami, a nieco rzadziej na galerii. Ponieważ ogłoszono dla nich stan najwyższego pogotowia, byli w kompletnych zbrojach, uzbrojeni w ciężkie halabardy i szable.

Conan z nieprzyjemnym uczuciem zdał sobie sprawę, że chociaż miał na sobie stalowy pancerz, nie dano mu żadnej broni, nawet zwykłego noża. Na domiar złego

zaczynało mu być gorąco. W tej części galerii panował wyjątkowy zaduch. Mimo szerokich szczelin, przyłbica hełmu Cymmerianina utrudniała mu zarówno patrzenie, jak i oddychanie. Uniósł ją z irytacją, lecz natychmiast tego pożałował.

– Witajże, wasza miłość! – rozległ się z bliska młody, prostacki głos. – Widzę, że wolałeś dołączyć do nas, gotowych do bitki i wypitki szaławilów!

Stała się rzecz nieunikniona, Conana wzięto za człowieka, którego miał udawać. Udając, że nie usłyszał powitania, Cymmerianin odwrócił się i sięgnął do wizjera, by go opuścić. Nim zdołał to uczynić, za nadgarstek chwyciła go jakaś wypielegnowana ręka.

– Paniczu Favianie, jakie to szczęście, że cię spotykam – mordercze spojrzenie Conana sprawiło, że mówiący natychmiast cofnął dłoń, lecz nadal błagalnie spoglądał Cymmerianinowi w twarz. – Jestem Ralfic... pamiętasz mnie, panie? Setnie się ubawiliśmy we dworze mojego ojca. Zeszłego lata, na południu prowincji... nie przypominasz sobie, wasza miłość?

Conan popatrzył z wściekłością na niezgrabnego wyrostka. Młodzieniec był niemal w tym samym wieku, co barbarzyńca. Twarz chłopaka pokrywały ślady po ospie. Strój szlachetki raził pretensjonalną elegancją, a włosy przyszyżono mu pod donicę. Barbarzyńca niechętnie pogodził się z losem. Odpowiedział na przywitanie chłopaka kiwnięciem głowy i pomrukiem. Postarał się, by zabrzmiało to jak głos brzuchomowcy, jak u rasowych nemediańskich szlachciców.

– Tak jest, czcigodny panie... – wyrostek popatrzył na niego niepewnie. – No, mieliśmy pyszną uciechę, czyż nie? – uśmiechnął się, ukazując koślawe zęby. – Nie winie cię panie, jeżeli twa pamięć zaszwankowała wskutek piwa, które wtedy wyżłopaliśmy. Zawsze powiadam, że chłopskie wesele to istny koniec świata... – przetoczył oczami, patrząc pod sufit – ...zwłaszcza gdy panny młode są rzeczywiście młode, niewinne i pełne lęku przed szlachcicami, co, wasza miłość?

Conan przybrał jeszcze bardziej nachmurzoną minę i mruknął niechętnie, rzucając nerwowym wzrokiem po balkonie. Hałaśliwa gadanina wyrostka zaczynała zwracać uwagę innych młodych obiboków. Paru uniosło w ich stronę kubki wina.

Zakłopotany wrogością Conana Ralfic wyraźnie czuł, że coś jest nie w porządku. Wytracony z równowagi Cymmerianin starał się gorączkowo wymyślić jakiś sposób wywinięcia się z trudnej sytuacji. Wiedział, że jeżeli zostanie zmuszony do wypowiedzenia chociażby słowa po nemediańsku, maskarada wyda się od razu.

– Pamiętasz oficerka, któremu wygarbowaliśmy skórę, panie? Jak mu tam było, Arnulfa? Tego, który grał z nami całą noc w kości i nie chciał zapłacić?

Conan rozpaczliwie zacisnął wielką pięść, mając ochotę walnąć rozmówcę w pusty łeb. W tym momencie przerwał im służący:

– Paniczu Favianie, wybac mi opieszłość!

Sługa podał zaskoczonemu Cymmerianinowi kubek ze złotym trunkiem i odszedł z pustą tacą pod pachą.

– Ach, mądry lokaj dał ostatni kubek najdostojniejszemu ze zgromadzonych szlachciców! – Ralfic zarechotał głośno ze swojego wątlęgo żartu.

Mimo pragnienia, Conan dostrzegł lepszy użytek dla trunku.

– Mmm. Hej!

Cymmerianin zakrył twarz dłonią, udając mdłości, po czym wetknął kubek z chlupoczącą zawartością w dłoń Ralfica i odszedł spieszenie.

– Och, dzięki, wasza miłość! – usłyszał za sobą głos prostaka. – Piję za twoje lepsze samopoczucie, czcigodny Favianie!

Gdy Conan dotarł do drzwi komnaty przechodniej, za jego plecami rozległ się chrapliwy krzyk. Chociaż przez moment odczuwał pokusę zaszycia się w jakimś cichym kącie, zaintrygowany postanowił zawrócić na galerię. Tym razem pamiętał o opuszczeniu przyłbicy.

Przecisnąwszy się wśród gapiów, ujrzał, że Ralfic wije się na podłodze trzymając kurczowo za brzuch. Na ustach miał krwawą pianę, a obok leżały odłamki rozbitego kubka. W miejscu, gdzie rozlały się resztki zawartości, polerowane drewno podłogi szerniało i dymało.

Nad konającym wiejskim szlachetką pochylali się stłoczeni goście. Gwardziści zaczęli przepychać się w ich stronę roztrzaskując zgromadzonych. Nie czekając, aż dotrą do ofiary, Conan rzucił się w pościg za zabójcą. Po chwili dojrzał znikające w głębi korytarza plecy fałszywego służącego. Pogoń za mordercą utrudniała barbarzyńcy ciężka zbroja. Nim dotarł do wylotu korytarza, usłyszał za plecami szcęk rymsztunku pędzących ich śladem gwardzistów.

Conan zdążył poznać pałac na tyle dobrze, że domyślił się, którędy zamierza

uciec zamachowiec. Cymmerianin pognął w dół po schodach po cztery stopnie naraz. Na półpiętrze rozległy się ściszone głosy i stłumiony jęk.

Chwilę później barbarzyńca nieomal wpadł na zdradzieckiego sługę. Truciciel leżał na posadzce ze sterczącą z piersi rękonożką sztyletu. Nad ciałem pochyłał się Svoretta, ocierający chusteczką krew z pulchnych palców.

Radca utkwiał na chwilę w Conanie baczące spojrzenie, jak gdyby chciał przeniknąć wzrokiem stal hełmu.

– Proszę, panicz Favian! Co prawda wiem, z kim mam do czynienia, lecz będę się zwracał do ciebie w ten sposób ze względów bezpieczeństwa – grubas szybko rzucił okiem w obydwie strony korytarza. – Nie mam pojęcia, dlaczego się tu znalazłeś, otrzymałeś przecież dokładne rozkazy! Mimo to bądź gotów; możesz jeszcze przydać się dzisiejszej nocy!

Z góry zbiegli dwaj strażnicy. Svoretta zażądał, by złożyli mu meldunek. Kiedy doradca dowiedział się o otruciu Ralfica, pokiwał głową i rzucił Conanowi porozumiewawcze spojrzenie.

W chwilę później rozległy się następne spieszne kroki. Zjawił się zaczerwieniony baron Baldomer w asyście dwóch następnych gwardzistów.

– To znany buntownik, panie! – stwierdził Svoretta trącając ciało truciciela czubkiem buta. – Wpadłem na niego na korytarzu, natychmiast poznałem i zabiłem. Dopiero potem dowiedziałem się, że przed chwilą próbował otruć twojego syna. Na szczęście bez powodzenia.

– Istotnie, na szczęście! – Baldomer popatrzył na Conana. Chodź, chłopcze! – odprowadziwszy Cymmerianina z dala od żołnierzy, Baldomer zwrócił się do niego, nie przejmując się bliskością Svoretty: – Widzisz, jak mądrze uczyniłem, przyjmując cię na służbę?! Zdołałeś już wypełnić swoje zadanie: zmusiłeś wrogów do ujawnienia swych zamiarów. Idź teraz do pokoju mojego syna i zaczekaj w nim do rana. Faviana umieścimy gdzieś indziej dla jego bezpieczeństwa. Zachowaj ostrożność. Wrogowie mogą powtórzyć zamach jeszcze tej samej nocy!

Przytaknąwszy na znak posłuszeństwa, Conan ruszył po schodach na piętro. Po drodze przeciskał się zdecydowanie między gwardzistami i wylęknionymi gośćmi. Opuszczona przyłbica pozwalała mu udawać ślepego i głuchego na skinienia głów i pozdrowienia. W istocie Cymmerianin niemal nie dostrzegał powitań. Zbyt był zaprzątnięty myślami o nagłym pojawieniu się zabójcy i jego równie nagłej śmierci.

Do chwili, gdy Conan dotarł pod drzwi komnaty Faviana, nie wystawiono przed nimi straży. Żaden zamachowiec nie czaił się w środku. Na nocnym stoliku postawiono kryształową karafkę z czerwonym trunkiem, lecz po ostatnich przejściach barbarzyńca nie miał ochoty go skosztować. Mimo późnej godziny, Conan nie spoczął również na szerokim, miękkim łożu, lecz po zdjęciu hełmu i pancerza, położył je w pościeli i nakrył kołdrą tak, by przypominały leżące ciało.

Potem Cymmerianin wybrał sobie najlepszy miecz z rozwieszanej na ścianie kolekcji i zdmuchnął świece. W ciemności zasiadł w wyściełanym fotelu pod ścianą i rozpoczął oczekiwanie.

Przez osnute mrokiem korytarze pałacu przemykały dwa fantomy. Gdy zbliżyły się do siebie, z wściekłością rzuciły się do walki na miecze i pejcze. Ogarnięte niepohamowaną furją, wczepiły się w siebie i zaczęły przetaczać po posadzce, wikłając w łopoczące poły ciemnych opończy. Gdy przez okno wpadła smuga księżycowego blasku, okazało się, że w miejscu twarzy mają przekrwione ślepia i ociekające śliną, wyszczerzone wilcze paszcze.

Sen! Conan zdał sobie sprawę, że był to jedynie gorączkowy, wywołujący zimny pot sen. Rozum nie miał jednak tej mocy, co ogarniające Cymmerianina stężone przerażenie. Głowa barbarzyńcy spoczywała na piersi, nie podtrzymywana przez zwiotczałe mięśnie karku. W nogach czuł chłód i drętwość, wywołaną mimowolnym zaśnięciem w niedogodnej pozycji. Z trudem uniósł ociężałe powieki, by stwierdzić, gdzie się znajduje.

Nagle odzyskał jasność myśli, czując kołatanie w piersi. Sprężył wszystkie mięśnie, chociaż nie ruszył się z miejsca. Na tle bielejącego okna dostrzegł złowrogi kształt, przypominający widziane we śnie koszmarnie postacie. Zakapturzona sylwetka przesuwała się cicho przez pogrążoną w mroku komnatę w stronę łoża.

Cymmerianin zobaczył, jak postać nachyla się nad manekinem. Dostrzegł raptowny ruch i usłyszał stłumiony jęk.

Conan podniósł się na równe nogi i skoczył na intruza, zostawiwszy broń przy fotelu. Gotów był rozerwać skrytobójcę na strzępy gołymi rękami. Przeciwnik rzucony na łożo wymachiwał rozpaczliwie rękami, lecz jego obrona była całkowicie nieskuteczna. Conan nie widział żadnego ostrza, lecz nie mógł mieć pewności, iż intruz nie ukrył broni pod grubym strojem.

Przygniótł przybysza swym masywnym ciałem i szybko go obmacał. Pod tkaniną wyczuł jedynie stare jak świat bronie nadobnej płci: sprężyste piersi, łagodne krzywizny brzucha i ud oraz jedwabisty warkocz. Przeklinając pod nosem, przeniósł brankę pod okno i zwrócił jej twarz tak, by oświetlił ją blask księżyca. Była to Calissa, z trudem łapiąca oddech.

Poprawił chwyt na jej ciele, zamierzając postawić ją na podłodze, lecz zmienił zdanie. Dotknął dłonią jej podbródka i szepnął do ucha o delikatnym wykroju:

– Żebyś nie żywiła żadnych wątpliwości pani, wiedz, że nie jestem twoim bratem – zaczął na jej reakcję, lecz gdy dziewczyna jedynie poprawiła ułożenie ciała, kontynuował: – Jeżeli zaczniesz się wydzierać, będę musiał zatkać ci buzię. Nie chcę wyrzucić ci krzywdy, ale nie mam ochoty zostać oskarżony o gwałt na szlachciance – odjął dłoń od podbródka Calissy, pozwalając jej zwrócić głowę ku niemu. Ruchy dziewczyny cechował osobliwy, rozmyślny spokój.

– Możesz zachowywać się przez chwilę cicho i posłuchać mnie, nim obudzisz cały pałac? – zapytał Conan.

Calissa popatrzyła na niego przez chwilę. Jej rysy ułożyły się w wyraz całkowitego opanowania.

Conan postawił ją na podłodze i rozluźnił uścisk. Reakcja dziewczyny zupełnie go zaskoczyła. Zamiast się odsunąć, przytuliła się do niego i delikatnie otarła twarzą o jego szyję.

– Hej, panienko, a to co ma znaczyć?

Nerwowo przesunął dłońmi po rękach pnących się po jego tułowiu, by sprawdzić, czy nie kryje się w nich broń. Upewniwszy się, że dziewczyna ma wyłącznie miłosne zamiary, pozwolił swoim dłoniom rozpocząć wędrówkę po prężących się barkach i gibkich plecach Calissy. Po chwili ich usta spotkały się.

Jej uścisk stawał się coraz gorętszy, wargi otworzyły się, obiecując sobie wszystko, mimo iż nie padło ani słowo. Mimo to w umyśle Conana nadal czaiła się niepewność. W końcu przerwał pocałunek.

– Jesteś dzisiaj w... łaskawym nastroju – mruknął. – Ale kogo spodziewałaś się zastać w tym łożu?

Poczuł, że zeszytniała. Rozluźniła objęcia i odsunęła się od niego na tyle, by utkwic wzrok w jego twarzy.

– Na zbyt wiele sobie pozwalasz, strażniku! – zabrzmiał jej zaskakująco spokojny głos. – Szkoda, że twoje podejrzenia pogrzebały namiętność... lecz odpowiem ci, skoro nalegasz. Przybyłam na poufną naradę z moim bratem. Tymczasem znalazłam w jego łóżku zbroję. A potem ty zważyłeś się na mnie jak jakiś demon z otchłani! – przy tych słowach zawiodła ją na chwilę staranna, arystokratyczna wymowa. – Wiem jednak, że nie zrobiłeś Favianowi nic złego. Zastanawiałam się, co oznacza twoja obecność, lecz rozumiem już, dlaczego tak nieokrzesanego młodzika ściągnięto do pałacu.

– Ze względu na to, iż doskonale nadaję się do odgrywania pewnej roli? – Conan obejrzał się na tylne wejście do komnaty, otwarte przez Calisnę. – Wiesz, że przedstawienie dzisiejszej nocy mogło jeszcze nie dobiec kresu? Ta komnata ściąga zabójców jak miód osy.

– W mojej będzie nam wygodniej – stwierdziła Calissa ujmując Conana za ramię.

Jej pokój znajdował się blisko, po drugiej stronie wąskiego korytarzyka za ukrytym wyjściem z komnaty Faviana. W drzwiach od wewnątrz znajdowała się solidna zasuwka. Calissa zaryglowała ją, gdy tylko weszli do środka.

– Wiesz zatem o dzisiejszej próbie otrucia? – zapytał Conan.

– Tak, chociaż nie mam pojęcia, jak mógł mieć miejsce zamach na życie mojego brata, skoro w tym samym czasie raczył się on przy stole u mojego boku mniej zjadliwym trunkiem.

– Kubek z trucizną był przeznaczony dla mnie – Conan niecierpliwie potrząsnął głową, jakby chciał pozbyć się sprzed oczu pajęczyny zdrady. – Svoretta zamordował zamachowca, by nie dopuścić do wykrycia własnego spisku.

– Masz pewność, że jesteś tak ważny dla mego rodu, cudzoziemcze?

Intuicja podpowiedziała Conanowi, że w zmysłowym mruczeniu Calissy prócz sceptycyzmu kryje się nuta żalu i zazdrości.

– Nie... Drażnię jedynie Svoretę. Zabijając mnie, szpieg przekona barona o potędze buntowników i w ten sposób wzmocni własną pozycję. Nawet mimo niepowodzenia, jego plan przyniósł pożądane skutki.

– Możliwe, że tak właśnie było – Calissa posępnie pokręciła głową. – Svoretta pociąga w pałacu za wszystkie sznurki od czasu, gdy mój ojciec o mało nie umarł od bitewnych ran, które tak go okaleczyły. Tajny radca nie tylko przewodzi najsilniejszej frakcji na dworze, jego ukryte wpływy są jeszcze potężniejsze. Teraz, gdy prócz buntowników prowincji grozi kult wyznawców węży, doradca mojego ojca zyska jeszcze większą władzę.

– Lothian niewątpliwie jest jego przeciwnikiem.

– Lothian? Pewnie! – Calissa zaśmiała się drwiąco. – Nasz nieszkodliwy, zramolały wychowawca z lat dzieciennych. Nie dalej jak dziś wieczorem ojciec zagroził mu zakuciem w dyby, jeżeli jeszcze raz ośmieli się zalecić wstrzemięźliwość w użyciu siły przeciw buntownikom. To kolejna scena dzisiejszej komedii!

– Cieszę się, że nie byłem jej świadkiem... – rzekł młodzieniec z Północy.

– Och, Conan, mimo wszystkich intryg, ten wieczór jest wspaniały! – w porywie entuzjazmu Calissa zacisnęła dłoń na ramieniu Cymmerianina. – Przypomniały mi się czasy dzieciństwa, kiedy w ogrodach pałacu pełno było pierwszorzędnych tancerzy i poetów. Prawie każdej nocy wydawano ucztę. Kupcy i kasztelanowie bawili się tu doskonale bez nachmurzonych strażników na karku. Cała prowincja była szczęśliwsza.

– Czy wtedy żyła jeszcze Heldra, twoja matka? – zapytał Conan.

– Tak – dziewczyna pokiwała głową ze smutkiem. – To było dawno temu. Favian jest zbyt młody, by ją dobrze pamiętać. Od tego czasu wiele się zmieniło. Mój ojciec... – urwała.

– Baron nie był wówczas tak surowym władcą, jak obecnie? – zapytał Conan.

– Nie. Był dla mnie bohaterem, rycerzem bez skazy. A matka przypominała sylfidę. Potrafiła wyrwać go z najgłębszego zmartwienia. Och, nie brak było jej hartu, urządzali sobie zawody w rzucie oszczepem i wspólnie jeździli na polowania. Matka wносиła ciepło do pałacu i całej baronii. Jej śmierć była okrutną stratą i potworną zbrodnią... – Calissa ponownie urwała. – Gdyby żyła, byłabym lepszą kobietą.

– Wasza rodzina wywodzi się z długiej linii srogich wojowników, przyzwyczajonych do śmierci i cierpienia, prawda?

– Tak się twierdzi. Stare legendy przydają się od czasu do czasu, gdy trzeba poderwać chłopów do walki. Nemedia ma burzliwą historię, władający nią baronowie zawsze byli chciwi i zapalczywi. – Calissa potrząsnęła głową. Jej włosy opadły na pierś. W ciemności sprawiały wrażenie czarnych, ich rudy kolor widać było tylko tam, gdzie na ich sploty padał blask księżyca. – Sądzę, że każdy dobry władca pragnie życia w pokoju – podjęła. – Obawiam się, że mój ojciec nie może wyzwoić się od rozmyślań o dziedzictwie krwi i stali.

– Oraz o opiece, sprawowanej z zaświatów przez przodków Einarsonów? – zapytał Conan.

– Przesadne bzdury! – prychnęła Calissa rzucając Cymmerianinowi gniewne spojrzenie. Jej oczy zabłysły pod puklami włosów rozświetlonych księżycową poświatą. – Nic mnie one nie obchodzą! Mam nadzieję, że kiedy Favian zostanie baronem, zapomni o tych wymysłach. Chcę mu pomóc w sprawowaniu mądrych rządów. Wiem, jak usprawnić handel w prowincji i pobierać od wolnych chłopów bardziej sprawiedliwą daninę. Mój ojciec nawet nie raczy się nad tym zastanowić, gdyż oznacza to odejście od tradycji. Ponieważ jestem kobietą, nikt nie liczy się z moim zdaniem w sprawach polityki. Nie pomyślano nawet, by zabrać mnie na objazd prowincji! Przez Faviana zyskam jednak pewne wpływy.

– Dlatego zakradasz się do łóżka brata? Żeby pod osłoną nocy przekonywać go do siebie? – Conan obdarzył pieszczotą szlachciankę, która po tym dwuznacznym pytaniu sprężyła się niespokojnie. – To strata czasu. Faviana zajmują bardziej picie i zawracanie w głowach dziewczkom, niż sprawiedliwe rządy.

Calissa rzuciła barbarzyńcy rozdrażnione spojrzenie, lecz po chwili niechętnie przyznała mu rację.

– Niestety, to prawda. Nie jesteśmy już tak bliscy sobie jak niegdyś. W miarę jak Favian zbliża się do pełnoletności, pozwala sobie na coraz śmielsze wybryki. Ja zresztą również... – Calissa usiadła na łóżku i podparła zaciśniętymi w pięści dłońmi podbródek, po czym odezwała się ponownie: – Gdyby ojciec pogodził się z naturą Faviana i nie odbierał mu pewności siebie, gdyby pozwolił mu stopniowo

obejmować coraz większą władzę, wszystko wyglądałoby inaczej. Mój brat nigdy nie mógł spełnić wymagań ojca. Obawiam się, że teraz zupełnie z tego zrezygnował – dziewczyna przycisnęła do boku gładząc ją dłoń Conana i roześmiała się z odcieniem smutku: – To dziwne: wielki baron ceni nade wszystko swojego syna i dziedzica, wymyśla zawiłe plany w celu zapewnienia mu bezpieczeństwa, a mimo to traktuje go z pogardą i nie okazuje ani krztu ojcowskiej miłości.

– Możliwe – mruknął Conan. – Tak czy owak, podejrzewam, że Dinander czekają burzliwe czasy, kiedy Favian obejmie władzę.

– Strażniku, pospolity z ciebie dzikus, na dodatek młodzik! Nie tobie oceniać sposób sprawowania rządów – rzekła z ironią Calissa, nie opierając się pieszczotom Cymmerianina. – W naturze wielkich panów leżą... wybryki, wywołane brzemieniem ich pozycji. Jak można sprawować władzę, jeżeli nie wypróbuje się jej granic? Nawet jeśli te granice obejmują decydowanie o życiu i śmierci swoich poddanych? – Mówiąc to Calissa wydawała pomiędzy zdaniem pomruki zadowolenia prężąc się pod dłonią Conana. Mimo to nie przestawała rozprawiać o problemach władzy: – Na pewno zdziwisz się słysząc, że niektórzy z naszych najbardziej prawych i ukochanych monarchów są wyjątkowo dziwnymi ludźmi. Nasz król Laslo wybija się nawet na ich tle utrzymując dla swej uciechy harem niewolników obojga płci i wszystkich ras. Sam szybko się zorientujesz, że niewielu szlachetnie urodzonych jest wolnych od takich słabostek, ale też niewielu śpi snem sprawiedliwych. W porównaniu z wyczynami niektórych synów szlachty, łajdactwa mojego brata są wręcz błahostkami. Poza tym, młode kobiety wszystkich stanów same czynią mu awanse. Jest przystojny... – Calissa odchyliła się, by móc lepiej przyjrzeć się Conanowi. – Tak samo jak ty...

– Widzę, że nie wzbudzam w tobie odrazy – Conan odgarnął pasmo rudych włosów sprzed oczu dziewczyny. – Ciekaw jestem, czy podobam ci się ze względu na podobieństwo do twojego brata? – szepnął prowokująco.

– Uważaj, strażniku! Nawet ty możesz posunąć się za daleko! Dość jednak tych czczych plotek – Calissa przetoczyła się po łożu. – Ten płaszcz jest za ciasny, przeszkadzał mi od samego początku! Precz z nim!

Calissa zsunęła z siebie obszerną szatę i cisnęła ją na posadzkę. Gdy to uczyniła, przed oczami Conana roztoczył się cudowny, zalany blaskiem księżycy widok.

VII

PRZEJAŻDŻKA FAVIANA

– Zamek Edram stoi tam, wśród meandrów rzeki Urlaub – wyprostowany w siodło Durwald przyhamował konia, by przekazać tę wiadomość pasażerom jadącego z tyłu rydwanu. – Powinniśmy dotrzeć tam o zachodzie słońca.

– Chwała Einarowi! – woźnica Swinn szarpnął wodze i skierował konie na skraj traktu biegnącego wysoką skarpią, by zyskać lepszy widok w głąb doliny. – Przynajmniej zostawiliśmy za sobą wzgórze, nawiedzone połoniny i te przeklęte, skaliste ścieżki dla kozłów!

Conan przytrzymał się spiżowej poręczy rydwanu i wstał. Spojrzawszy ponad barkiem Swinna i końskimi zadami, dostrzegł budowlę, o której wspomniał Durwald. Niski zamek stał w środku roztaczającej się przed nimi doliny. Zbudowano go z żółtego piaskowca. Miał pięć połączonych ze sobą okrągłych wież ze stożkowatymi dachami, otaczających wspólny dziedziniec. Zamek stał po przeciwnej stronie Urlaubu, w ostrym łuku krętej, błękitnej rzeki. Jego położenie sprawiało, że pozwalał kontrolować ruch na szlaku wodnym oraz kamiennym moście o trzech przęsłach.

Conan ocenił, że jak na prowincjonalną kasztelanię, jest to solidna twierdza. Sądząc po ciągnących się na obu brzegach rzeki zadbanych polach i gęsto zabudowanej chatami połaci ziemi przy moście, tutejszy szlachcic był również bogaty. Najbliższy bród znajdował się daleko w górnym biegu rzeki, dzięki czemu pan zamku Edram miał w garści nie tylko daniny z wioski w dolinie, lecz także źródło myta.

Zamek znajdował się niedaleko traktu. W tym miejscu droga schodziła raptownie ze skalnej skarpy i wiła się po dnie doliny pomiędzy stokami skąpo zalesionych wzgórz. Nadrzeczna budowla pozwalała Conanowi spodziewać się wygodniejszego noclegu niż poprzedniej nocy, spędzonej w pełnej przeciągów jaskini. Jedyne urozmaicenie stanowiły wtedy rozbrzmiewające w rozpadlinach serenady wilków i sów.

Dworzanie, którym towarzyszyła czterdziestka doborowych jeźdźców Baldomera, nie mieli powodu obawiać się zbójców i buntowników. Baron lękał się bardziej skrytobójców. Bał się nie tyle o własne życie, co o swojego syna. Favian jechał wśród konnicy w przebraniu pospolitego żołnierza. Zachowywał się wyniośle, stronił od towarzyszy i ledwie raczył zwracać uwagę na rozkazy swoich pozornych przełożonych.

Przed jeźdźcami toczył się rydwan powożony przez Swinna. Conan rozpierał się w nim w zbroi Faviana. Straż przednią tworzył odziany na czarno Baldomer na białym ogierze, Durwald i dwóch towarzyszących im oficerów. Svoretta pozostał w Dinander, by sprawować władzę podczas nieobecności barona.

Zamek zniknął z oczu Cymmerianina za porośniętymi drzewami wzniesieniem.

– Posuń się trochę, Swinn! – powiedział Conan. – Daj mi trochę pokierować rydwanem! Przez ostatnich dziesięć mil przyglądałem się, jak to robisz.

Nie mając ochoty wracać na ławkę, Cymmerianin przesunął się naprzód, by zastąpić woźnicę.

– Nie, barbarzyńco! – szarpnięciem za lejce Swinn zmusił konie do skrętu, przez co młodzieniec z Północy zatoczył się z powrotem w głąb rydwanu. – Muszę bić przed tobą czołem, kiedy ludzie patrzą, ale nie teraz! Poza tym powożenie bojowymi wozami wymaga dużej zręczności. To prawdziwa sztuka, nie dla prostaków.

Conan burknął nieprzyjaźnie i zaczął się podnosić, lecz zmienił zdanie, gdyż dostrzegł, iż trakt opada raptownie w dół kamienistego zbocza ku porośniętej trawą polanie.

– Skoro powożenie to taka dostojna rozrywka, dlaczego wszyscy szlachcice, których tu widziałem, wolą poniewierać się na końskich grzbietach?

– Panicz Favian z chęcią by się ze mną zamienił – roześmiał się Swinn. – Zna się na jeździe rydwanem najlepiej z obecnych. Jak sądzisz, dlaczego ostatnio ma tak zły humor? – Zerknął za siebie na kolumnę konnicy, by się upewnić, że młody arystokrata nie może go dosłyszeć. – Ponieważ nie może powozić, obawia się, że wychodzi na durnia przed przyszłymi poddanymi.

– Cóż, spróbujmy poprawić mu trochę humor – odcinek traktu, do którego dotarli, był równy, dlatego też Conan nie obawiał się wstać. – Przyrzekłem sobie, że kiedyś nauczę się poganiania szkap. Równie dobrze może to być dzisiaj!

Wyciągnął ręce po lejce i odepchnął woźnicę.

– O żesz ty... aach!

Opierając się Conanowi, Swinn nagle zeszytniał, po czym osunął się na zaskoczonego barbarzyńcę. Conan dostrzegł sterczące z jego grzbietu drzewce długiej strzały. Pocisk przeszył stalową kolczugę, zbroję, jak gdyby była z pergaminu. Na oczach oszołomionego młodzieńca, druga strzała przeszła bezwładne ciało woźnicy. Trafiła w pierś z takim impetem, iż przeszywszy napierśnik i płuco, podważyła łopatkę. Kolejne pociski załomotały w boki rydwanu i odbijały się z łoskotem od metalowych okuć. Jedna ze strzał uderzyła w hełm Conana. Zadudniło mu w skroniach, a przed oczami pojawiły się jaskrawe cętki.

Z przodu koń Durwalda zarżał i padł na ziemię. Rydwan podskoczył na koleinach, gdy zaprzęg próbował wyminąć Baldomera. Wierzchowiec barona zatoczył się w bok ze strzałą sterczącą ze wspaniałego białego karku. Wokół rozlegały się krzyki i wołania członków świty. Grad strzał sypał się ze skraju lasu otaczającego polanę. Jeden z oficerów konnicy zaczął wykrzykiwać ochryplym głosem rozkazy do kłębiących się z tyłu podwładnych.

Ciało Swinna uniemożliwiało Conanowi swobodę ruchów. Cymmerianin pozwolił trupowi osunąć się na dno powozu i pociągnął za lejce, usiłując zapanować nad zaprzęgiem. Wystraszone konie stanęły dęba, powpadały na siebie i prawie wywróciły rydwan. Conan ledwie zdołał uchronić się przed wypadnięciem. Przywarł do poręczy i wypuścił wodze z dłoni. Niemal upadł na kolana, gdy każdy z trzech koni spróbował pobiec w inną stronę.

W chwilę później czyjaś dłoń spoczęła na ramieniu Conana.

– Trzeba stać pewnie na nogach, jeżeli się chce powozić! – zagrzemiał znajomy głos. – Zaraz zapanuję nad tymi bydłętami!

Był to Favian. Syn barona przeskoczył z konia na platformę rydwanu. Młody arystokrata kopniakiem wyrzucił ciało Swinna, po czym wychylił się do przodu, by wywlec wodze pomiędzy mlóćących powietrze końskich ogonów.

– Mam! Trzymaj się mocno i nie pchaj na mnie!

Skórzane taśmy ożyły w dłoniach Faviana. Konie ruszyły w idealnym porządku. Rydwan z łoskotem przetoczył się z traktu na łączkę.

Conan na stojąco ścisnął poręcz. Ugiął kolana, by łagodzić coraz silniejsze

podskoki rydwanu. Sądził, że syn barona zawróci, by uciec z zasadzki, lecz dostrzegł z przerażeniem, że jada wprost ku lasowi, skąd najgęściej leciały strzały. Nim zdołał odwrócić wzrok, jeden z pocisków śmignął wprost ku nim.

Przeleciał ze świstem między głowami jego i Faviana, niemalże muskając ich upierzeniem bełtu.

– Dziękuję twoim śnieżnym bogom, że nami zarzuca! Przez to jesteśmy trudniejszym celem – oświadczył Favian.

Conan nie odpowiedział, zamiast tego sięgnął po miecz.

– Nie, głupcze, nie klingą! Oszczepem! – krzyknął z uniesieniem syn barona, popędzając konie. – Potrzebna ci broń o długim zasięgu. Właśnie! – dodał, gdy Conan sięgnął za siebie, gdzie przy burcie rydwanu sterczał rząd włóczni. Cymmerianin zważył jedną z nich w dłoni.

– Doskonale! – wrzasnął syn barona. – Pochyl się!

Conan spodziewał się, że Favian skręci rydwanem i zatrzyma się przed skrajem lasu, lecz jego towarzysz zaskoczył go ponownie i wjechał wprost między karłowate drzewa. Zielona gałąź chlasnęła Cymmerianina w twarz i ześlizgnęła się po wzniesionym w obronnym geście drzewcu oszczepu. Ze wszystkich stron wyrosły wysokie pnie i cienie koron. Pomiedzy nimi śmigały odziane w długie kapoty sylwetki, pierzchające przed rozhukanymi końmi.

Jeden z przeciwników odwrócił się, uniósł łuk i wystrzelił w stronę rydwanu. Conan odruchowo wyrzucił ramię przed siebie. Napastnik runął na kolana przeszyty oszczepem na wylot. Cymmerianin nie zauważył, co stało się ze strzałą.

– Hej, znasz się na włócznictwie! – krzyknął z dziką uciechą Favian, wymijając rydwanem znajdujący się na ich drodze pień. – Będę ich ścigał, a ty rzucaj oszczepami! Tam jest drugi!

Conan przygotował się do kolejnego rzutu. Okazało się to niepotrzebne, ponieważ uciekający mężczyzna potknął się o ułamaną gałąź. W chwilę później zwierzęta wpadły na niego wdeptując w ziemię. Gdy okute metalem koła przetoczyły się po ciele buntownika, Conan poczuł przenikające trzewia głucho uderzenie.

– Heeej, kolejny nie żyje! Uciekają, tchórzliwi zdrajcy! Teraz uważaj!

Favian przykucnął. Conan runął bezradnie na dno rydwanu, gdy ten przetoczył się przez przewrócony pień, sięgający niemal po oś. Tuż potem nastąpiła seria dalszych zawrotnych podskoków i upadków. Konie przedzierały się przez gąszcz chaszcz i przewróconych drzew, przez co Conan nie mógł podnieść się z podłogi pojazdu. Towarzyszył temu wrzask bólu dwóch okutanych w płaszcze ludzi, którzy ukryli się właśnie w tym miejscu.

Zmuszając konie do szybszego biegu, Favian skierował je między rzadkie pnie drzew na przedzie. Mimo to Conanowi przyszło co chwila schylać się przed chłuszczącym listowiem. Usłyszawszy z tyłu nawoływania i tętent kopyt, zaryzykował obejrzenie się i dostrzegł, że w las wjeżdżała konnica Baldomera, dopadając pozostałych przy życiu napastników. Jeźdźcy nie byli jednak bezkarni: Conan ujrzał, jak jednego z nich trafia w gardło strzała, a dwóch innych stracają z siodeł zwisające nisko gałęzie.

– Nie martw się, nam przypadnie chwała! – Favian skupił bez reszty uwagę na roztaczającej się przed nimi polanie. – Rydwan jest o wiele niższy od konia z jeźdźcem, dlatego można nim wjechać tam, gdzie nie odważy się zapuścić konnica!

Przy tych słowach zaprzęg potoczył się krętą ścieżką leśnej zwierzyny za dwójką uciekających napastników. Conan znów chwycił poręcz i przykucnął. Konie gnały z całych sił, ich ogony niemal chłostały Cymmerianina po twarzy. Koła rydwanu, powożonego przez Faviana sprawiającego wrażenie opętanego, zdawały się kręcić częściej w powietrzu, niż dotykać ziemi. Przetaczały się obok pni grubości człowieka i podskakiwały na wielkich korzeniach, za każdym razem grożąc wyrzuceniem obu śmiałków w korony drzew.

– Hej! To jest to! Zawracaj i walcz, podstępny tchórz!

Favian skierował zaprzęg ku jednemu z uciekinierów, który zatrzymał się między dwoma pniami i wycelował z łuku do prześladowców. Podskakujący rydwan był zbyt niepewnym celem i strzała minęła go z dala. Syn barona zawrócił bojowy pojazd tuż przed drzewami, by dać Conanowi okazję do rzutu.

Oszczep trafił zrywającego się do biegu mężczyznę pod pachę. Conan nie zamierzał jednak rozstawać się z bronią, ponieważ podczas szaleńczego pościgu stracił wszystkie pozostałe włócznie. Trzymając kurczowo drzewce włókł ofiarę przez dobre dziesięć kroków. Wreszcie uwolnił oszczep i wznosił go, by zmierzyć się z ostatnim nieprzyjacielem.

Ścigany zabójca wspiał się na wielki, stary pień. Zwalona kłoda była za

wysoka, by rydwan mógł po niej przejechać. Postać w kapturze nie miała jednak bronii. Przez chwilę patrzyła na ludzi w rydwanie, po czym zniknęła po przeciwnej stronie pnia. Wystarczyło to jednak, by Conan poczuł chłód w trzewiach na widok przyglądającej mu się osoby. Była to kobieta.

– Przeklęta wężowa maskara! Jeszcze ci urzęną głowę! Rozgorączkowany Favian skierował zaprzęg w długi objazd wokół korzeni wielkiego drzewa. Zaraz jednak utknęli na brzegu zarośniętego krzakami strumienia. Woda toczyła się spokojnie po kamienistym dnie jaru. Conan wyskoczył z rydwanu i pobiegł na drugi brzeg. Kobiety nigdzie nie było widać. Szmer strumienia zagłuszał odgłosy jej ucieczki.

Cymmerianin wrócił do rydwanu i pomógł Favianowi zająć się półżywyimi końmi. Chrapliwe nawoływania i trzask gałązek oznajmiły nadejście konnicy. Wierzchowce dojechały do nich stępą.

– Favian! Tu jest! Do mnie, tędy! – zawołał Baldomer, machając ręką. – Chłopcze, dlaczego wypuściłeś się w tak daleki pościg?

– Ojczy, zabiliśmy kilku buntowników... – zaczął mówić młodzik.

– To niedopuszczalne! Mogłeś zostać zabity! Panujący w Dinander ród mógł stracić jedynego dziedzica! – Baron ze wzburzeniem szarpnął wodze swojego wierzchowca i zatrzymał go obok rydwanu. – Od tej pory masz nie odstępować mnie ani na krok!

Jadący za nim na nowym koniu Durwald zatrzymał się obok swojego władcy.

– Panie, dojechanie rydwanem aż tutaj jest wyczynem godnym podziwu! Twój syn zdołał rozpędzić buntowników i uśmiercić wielu z nich.

– Owszem. Barbarzyńca zaś wykazał się zręcznością w walce oszczepem – Baldomer skinął głową z niechętnym uznaniem. – Nie wątpię, że ty powoziłeś, Favianie? Tak myślałem – zmarszczył brwi i potrząsnął głową. – Cóż synu, musisz w końcu nauczyć się porządnego dowodzenia wojskami z grzbietu wybornego wierzchowca.

Nie odpowiedziawszy, Favian ruszył nabrać w hełm wody dla koni. Gdy młody arystokrata odwracał się, Conan dostrzegł na jego twarzy grymas gniewu i nie przystojące mężczyźnie łzy.

– Zabito jedenastu buntowników, panie – zameldował jeden z oficerów. – Niestety nie pojmano żadnego żywcem. Sądzymy, że pięciu czy sześciu wymknęło się, lecz ściganie ich po lesie byłoby ryzykowne.

– Nie ma takiej potrzeby. Kasztelan Ulf zna tę okolicę i powie nam, jak najskuteczniej na nich uderzyć – Baldomer zwrócił się do Durwalda: – To była grupka straceńców. Sądząc po kapturach, zapewne należeli do czczącego węża kultu, o którym słyszeliśmy, zgadzasz się ze mną?

Marszałek niepewnie pokiwał głową. Przyglądał się baronowi jakby z namysłem, czy warto zaryzykować szczerą.

– Naprawdę trudno powiedzieć, panie. Płaszczki bez wątpienia miały ukrywać ich tożsamość. Myślę, że ta grupa, na którą się dzisiaj natknęliśmy, zwiastuje większe kłopoty w przyszłości – podkreślił wąsa. – Nie widziałem przy zabitych symboli kultu ani jakichkolwiek innych wyróżniających ich znaków.

– Niewątpliwie byli to łajdacy najgorszego pokroju! Strzelali przecież do naszych koni! – Baldomer potrząsnął głową w słusznym oburzeniu. Objęte blizną oko zabłysło piekielną mściwością. – Zapłacą mi zamordowanie pięknych, kosztownych zwierząt!

– Oczywiście, panie. Nie byli to pospolici rozbójnicy, bo ci oszczędziliby konie.

– Ach, gdybym wiedział, co podburzyło tę zdradliwą zgraję do rozruchów i zwracania się ku obrzydliwym zabobonom – Baldomer niecierpliwie zawrócił konia. – Musimy jechać. Wracamy na drogę i ruszamy dalej. Favianie, wyjedź na trakt, jeżeli zdołasz i trzymaj się blisko nas. Kiedy dotrzemy do zamku Edram, kasztelan Ulf powie nam coś więcej o tych buntownikach.

VIII

RZEKA KRWI

– Widzisz więc, że dla obu stron była to kosztowna potyczka – Baldomer przerwał swoją relację, by upić łyk wina ze srebrnego kielicha. – Pierwsza salwa z łuków sprawiła, że straciliśmy tuzin żołnierzy i kilka koni najprzedniejszej krwi. Nawet mój syn wziął udział w walce, przebrany za pospolitego wojaka.

Favian siedział w niszy okiennej komnaty jadalnej, oparty stopą o ceglany parapet. Baron rzucił w jego stronę spojrzenie przez suto zastawiony stół.

Pograżony w ponurych rozmyślaniach panicz nie raczył spojrzeć ojcu w oczy, ani tym bardziej skomentować jego słów. Obracając w dłoniach puchar z winem, młody arystokrata spoglądał na wolno płynącą rzekę.

Jego sobowtór, Conan, rozsiadł się wygodnie za szerokim dębowym stołem i szarpał na strzępy resztki pieczeni z niedźwiedzia, którą pozostał i już dawno zdażyli się nasycić. Cymmerianin był zmęczony po krępującej maskaradzie przed ludnością nadrzecznej wioski. Dlatego teraz, choć zasiadał w obecności szlachciców, ustrojony w cudzy kostium, nawet nie starał się udawać arystokraty.

Gospodarz, ubrany w skórzany kaftan, zażywny kasztelan Ulf, zwrócił się w stronę Baldomera i rzekł:

– Baronie, serdecznie ubolewam nad waszymi tarapatami. Okrywają one hańbą całą prowincję. Żałuję, że nie wyjechaliśmy na spotkanie wcześniej, by połączyć się z wami jeszcze na wzgórzach. Wolałbym, żeby mnie trafiła strzała, która ugodziła twojego szlachetnego rumaka! – zacisnął dłonie na fałdzie tłuszczu na brzuchu, jakby istotnie uwiązał w nim bełt. – Ale co się stało, to się nie odstanie. Przysięgam, że natychmiast poweźmę surowe kroki, by ukarać buntowników!

– Możemy ci w tym dopomóc – stwierdził Baldomer rzucając znaczące spojrzenie Durwaldowi. – Czy domyślasz się, kasztelanie, skąd wywodzi się ta rebelia?

– Och, w istocie, czcigodny panie! – Ulf energicznie pokiwał głową, wprawiając w drganie swe nie dogołone, obwisłe policzki. – Herezja i zdrada zapuszcza szpony w wiele zakątków prowincji, zwłaszcza od czasu ujawnienia się kultu czcicieli węży. Mógłbym ci o nim niejedno opowiedzieć, baronie! – tłusty kasztelan potrząsnął długimi, nie mytymi włosami barwy spłowiałego lnu podkreślając wagę problemu, po czym kontynuował: – Nawet w tych okolicach tworzą się gniazda węzowego zaprzaństwa. Z tego właśnie powodu pragnąłem ukarać mieszkańców wioski o pół dnia konnej jazdy stąd, zanim jeszcze doszło do dzisiejszej zbrodni. Gdybyś raczył udzielić mi wsparcia, baronie, byłbym ci głęboko wdzięczny. Jestem pewny, że łotrowie z tej osady maczali ręce w tchórzowskiej napaści na twoją świtę.

– Podoba mi się taka mowa! – Baldomer skinął z aprobatą głową i rzucił Durwaldowi kolejne stanowcze spojrzenie. – Ktoś wreszcie postanowił działać bez wiecznego dzielenia włosa na czworo! Z radością udzielimy ci pomocy, kasztelanie.

– Cieszę się, panie baronie, ale nie powinniśmy działać pochopnie – Durwald przyjrzał się grubemu panu na zamku z powątpiewaniem. – Jak sobie pewnie przypominasz, płaszcze buntowników, którzy zginęli w zasadzce, wyglądały na utkane w miejskich warsztatach, być może w Numalii lub samym Dinander. Niewykluczone, że buntownicy podążali naszym tropem od chwili opuszczenia stolicy prowincji.

– Owszem, lecz bez wątpienia mieli poparcie w tych stronach, dlaczego bowiem nie zaatakowali nas jeszcze wtedy, gdy pokonywaliśmy wzgórze? I, jak sądzisz, gdzie skryli się po niepowodzeniu zasadzki? – Baldomer potrząsnął głową. – Nie, marszałku, czasem trzeba działać szybko i stanowczo, nie okazując najmniejszego wahania – arystokrata zwrócił na kasztelana wilczy wzrok. – Oddaję pod twoją komendę dwudziestu jeźdźców, kasztelanie. Poprowadzi ich mój syn Favian, w rynsztunku oficera konnicy. Najwyższy czas, by dowiedział się, co znaczy mieć pod sobą silnego wierzchowca i dzierżyć w dłoni ostrą szablę. Ty, Durwaldzie, pojedziesz wraz z nimi, by mieć oko na chłopaka. Oczywiście, zabierzesz barbarzyńcę ze sobą. Niech dba, by mojemu dziedzicowi nie stała się krzywda.

– Tak jest, panie baronie – rzekł z rezygnacją marszałek.

– Dziękuję ci, dostojny panie! – kasztelan Ulf skłonił się usłużnie. W jego oczkach zabłyśły chytre błyski. – Powinniśmy wyprawić wojsko jutro przed świtem. Sam dotrzymam ci towarzystwa w zamku, by zadbać o twą wygodę i bezpieczeństwo, baronie.

Baldomer wspaniałomyślnie pokiwał głową i spojrział w przeciwny koniec komnaty. Jeżeli liczył na wdzięczność syna za dopuszczenie go do dowodzenia oddziałem jazdy, spotkało go rozczarowanie. Favian rzucił ojcu tylko krótkie, znudzone spojrzenie, po czym z powrotem zapatrzył się w rzeczny nurt.

– Stwierdziłeś, panie kasztelanie, że wiesz coś więcej o czcicielach węży? – spytał Durwald po chwili milczenia.

– Nie tylko! Mam jeńca! – stwierdził triumfalnie Ulf i zatarł ręce, napawając się reakcją słuchaczy. – Niedawno wysłałem poborców podatkowych na zachodnie obrzeża Varakiel, by zebrali zaległe sumy od opornego wolnego chłopca. Poborcy

zastali tylko spustoszone pola i płonące chaty, ale w pobliskim lesie wypatrzyli grupę buntowników i schwytali jednego z nich. Sądząc po wszystkich oznakach, to żarliwy czciciel węży, aczkolwiek zapewne dopiero niedawno przystał do kultu.

– Gdzie trzymasz więźnia? – Baron niecierpliwie podniósł się z miejsca. – Kiedy będziemy mogli go zobaczyć?

– Natychmiast, jeśli tego pragniesz, czcigodny panie. Trzymamy go żywego specjalnie dla ciebie – kasztelan stękając dźwignął się z fotela. – Ostrzegam jednak, że jeniec nie chciał okazać skruchy. Znajduje się całkowicie w mocy Seta. Przeprowadzono z nim próbę ognia i wody, lecz nie udało się wypędzić z niego diabłów.

– Mam nadzieję, że z jeńca zostało tyle, byśmy mieli co przesłuchać – mruknął Durwald.

Marszałek wstał i ruszył za baronem i kasztelanem w stronę bocznych drzwi komnaty jadalnej. Conan poszedł ich śladem, zabierając dwie pigwy z misy z owocami na stole. Favian niechętnie spuścił nogi z parapetu i powlókł się za nimi.

Wyszli na szeroki mur między dwiema wieżami. Słońce rzucało zębaty cień umocnień na opustoszały dziedziniec. Odświeżający wiaterek pędził po błękitnym niebie białe kłęby obłoków. Przy przyczółku mostu skupiały się żółte strzechy osady, a za rzeką rozpościerały się szmaragdowozielone pola.

Ulf przeszedł obok dwóch wielkich balist na kołach, kopców gładów i kotłów ze smołą pod wejście do drugiej wieży i zatrzymał się przy parze strażników przed zaryglowanymi, okutymi blachą drzwiami.

Chwilę później wprowadził gości do pomieszczenia nagrzanego przez kociołek z węglami. Przez strzelnice w murze do wnętrza wpadały snopy dziennego światła. Na okrągłej ścianie wisiały narzędzia tortur, a na środku celi ustawiono skośnie wielkie koło. Do jego szprych przywiązano rozkrzyżowanego młodego wieśniaka. W miejscach, gdzie jego ubranie porozcinano lub rozdarto, widać było pęcherze, oparzeliny i rany. Uniesiona w górę twarz młodzieńca zamarła w wyrazie niezmaconego spokoju. Wieśniak nie zwracał uwagi na mężczyzn, którzy weszli do wieży.

– Buntownik wypowiada teraz tylko zaklęcia, ale kiedy go pojmano, walczył jak dzikie zwierzę – wyjaśnił kasztelan i zapraszającym gestem wskazał kociołek z tłącymi się węglami. – Proszę bardzo, baronie, spróbuj nakłonić go do mówienia. Być może dowiesz się czegoś więcej ode mnie.

Baldomer przyglądał się jeńcowi z wyraźnym rozczarowaniem i sceptycyzmem.

– To jeszcze dziecko, cóż z niego za buntownik!

– Każ mu powiedzieć: Kaa nama kaa lajerama – rzucił Favian od drzwi. – Wyznawcy boga-węża giną, jeżeli wyrzekną te słowa.

– Nie bój się niczego, chłopcze! Nie zrobię ci krzywdy – marszałek Durwald pochylił się na nad jeńcem. Zachowywał się jak doświadczony mistrz przesłuchań, dążący do złamania oporu więźnia pozorami troski. Ścisnął policzki młodzieńca, by otworzyć mu usta, po czym zajrzał do środka. Za moment rozluźnił uścisk i z wściekłością odwrócił się w stronę Ulfa. – Jak on ma powiedzieć chociażby słowo skoro jakiś głupiec poranił mu język!

– Nie, to część obrzędów węzowego kultu! – kasztelan pokręcił głową ze zniecierpliwieniem, zdjął ze ściany zębate szczypce i nachylił się nad jeńcem. – Rozcinają sobie języki, by móc posługiwać się świętą mową Seta!

Włożył narzędzie w półotwarte usta. Pod dotknięciem zimnego żelaza ofiara ożyła.

– Hathassa fa Sathan! – prychnął blady jak płótno nieszczęśnik. – Sa setha efanissa, na!

W ustach krzyczącego chłopca widać było miotający się jak u węża rozcięty język. Chociaż zrazu jeniec szarpał się zaskakująco gwałtownie, opętańczy blask w jego bladych oczach szybko przygasł. Głowa opadła mu z powrotem na drewniane szprychy i zwisnął bezwładnie w pętach.

– Co powiedział? – zapytał Baldomer, oglądając się na pozostałych. Odpowiedziało mu milczenie. – Czy ktokolwiek z was zna ten język?

– Na pewno nie jest to lokalne narzecze, baronie. Podejrzewam, że czciciele węży w ogóle nie posługują się ludzką mową – Ulf wzruszył ramionami. – Nie mam pojęcia, co to znaczyło, ale wiem jedno, rano zajrzę do butów, czy nie zakradły się do nich żmije!

Po wejściu do wieży Conan zatrzymał się tuż za progiem. Natychmiast stracił ochotę na kolejną pigwę. Odłożył owoc na stół o nadpalonym blacie i stanął tuż

za plecami Faviana. Cymmerianin nie był pewien, jak powinien się zachować. Czuł w skroniach pulsowanie gniewu. Odrażające tortury w celi cuchnącej swadem przypalonego ciała przypomniały mu pobyt w lochu w Dinander.

Rzut oka wystarczył mu jednak, by zrezygnować z wstawiennictwa za więźniem. Resztką życia uciekła z wychudzonego wieśniaka. Niewidzące oczy trupa spoglądały nieruchomo w sufit. Conan poczuł się zbrukany. Mnąc w ustach przekleństwa, wyszedł na zalany słońcem zamkowy mur.

Następnego poranka kolumna konnicy wyruszyła łąkami doliny Urtaubu. Godzinę po świcie oddział nadłożył drogi i wjechał w las, by nazbierać chrustu. Pęki drewna przywiązano do siodeł i ruszono w dalszą drogę.

Dzięki swej funkcji, Conan był wyłączony z obowiązku zbierania chrustu. Cymmerianin wraz z Favianem i Durwaldem jechał w środku kolumny. Syn barona był w chmurnym nastroju. Co chwila częstymi rozkazami przyśpieszenia tempa i gwałtownym łajaniem jeźdźców, którzy zostawali w tyle udowodniał, iż on tu dowodzi. Dwudziestu żołnierzy Baldomera utrzymywało szyk znacznie łatwiej od poddanych kasztelana. Conan stwierdził, że ludzie Ulfa są leniwi i nie budzą zaufania, zwłaszcza jadący obok Durwalda przewodnik z twarzą jak pysk łasicy.

Słońce wznosiło się coraz wyżej nad zamgloną równiną na wschodzie. Krowie pastwiska ustąpiły miejsca bujnemu zbożom, a bieg rzeki znaczyła kręta linia drzew i krzewów.

Jeden z żołnierzy barona zaczął głośno biadać nad tratowanymi przez maszerujące wojsko plonami, lecz jego towarzysze skwitowali to gwizdami i śmiechem. Favian surowo nakazał im zachować ciszę, lecz okazało się to niepotrzebne. W chwilę później, po wysłuchaniu przewodnika i rady Durwalda, młody, arystokrata wydał rozkaz do zatrzymania się. Poleciał zapalić żagwie. Gdy te zajęły się ogniem, Favian wyciągnął szablę i wydał rozkaz ataku.

Zrazu nie można było dojrzeć celu, lecz przewodnik zapewniał że wieś leży prosto przed nimi. Koń Conana zerwał się do galopu razem z wierzchowcami pozostałych jeźdźców. Miękką ziemią i sięgające kolan zboże tłumiły tętent kopyt, lecz nie stanowiły przeszkody dla szarży. Konie z łatwością pokonały niskie miedze, dzielące żyzne pola na dnie rzecznej doliny.

Nagle przed nimi pojawili się rozglądający się trwożliwie wieśniacy w płóciennych strojach. Na widok nadciągającej konnicy rzucili motyki i zaczęli uciekać. Ku swemu zaskoczeniu, Conan zobaczył, że wszyscy jeźdźcy wyciągają szable, dodając sobie odwagi mściwymi okrzykami. Po chwili nie stawiających oporu wieśniaków rozsiekano lub stratowano. Szarża nawet nie zwolniła.

Nemediańczycy to szaleńcy, pomyślał Conan. Zdażył już zauważyć, że najbardziej ochoczo rwą się do zabijania siebie nawzajem. Cymmerianin był zadowolony, że żaden z uciekających nieszczęśników nie dostał się pod kopyta jego konia. Mimo to, skoro znalazł się w gąszczu walki, musiał zachować ostrożność. Idąc za przykładem pozostałych jeźdźców, dobył broni. Trzymając wodze jedną ręką, musiał dokładać dużych starań, by utrzymać się na grzbiecie galopującego konia.

Jeźdźcy dotarli do skraju zabudowań. Rozszerzyli szyk, by okrążyć całą wieś, leżącą na nieznacznie wzniesionej skarpie nad brzegiem rzeki. Wyglądało na to, że atak całkowicie zaskoczył chłopów. Wśród chat widać było sylwetki ludzi pierzchających w poszukiwaniu kryjówek. Konie zwolniły nieco biegu, lecz łoskot ich kopyt stał się donośniejszy na ubitej ziemi.

Pędzący w środku szyku jeźdźcy wpadli na plac w środku wioski. Przewodził im wrzeszczący i wymachujący szablą Favian. Conan trzymał się nieco z tyłu mijając ciała wieśniaków, zarąbanych przez pierwszą falę atakujących. Za sobą Cymmerianin słyszał wołania o zmiłowanie i krzyki grozy dopadanych przez konnicę chłopów.

Conan uświadomił sobie, że wykazał niepoprawną naiwność licząc na przeszukiwanie wioski czy walkę z buntownikami. Na jego oczach dokonywała się pospolita rzeź. Pod ciosami szabel padali zarówno mężczyźni, jak i kobiety oraz dzieci. Szczególną gorliwość w masakrze chłopów wykazywali wojownicy kasztelana, wydając krwiożercze wrzaski, szlachtowali nawet bydło domowe. Żołnierze z Dinander działali bardziej metodycznie. Do rzezi z zapalem zagrzewał ich Favian. Młodzieńcowi z Północy stanęły przed oczami krwawe sceny plądrowania Venarium, lecz nie towarzyszyło im dawne uniesienie. W małej wiosce nie można było liczyć na chwałę, ani nawet na obfity łup.

Conan nie podejrzewał, że przejmie się kiedykolwiek śmiercią Nemediańczyków,

lecz teraz czuł narastającą odrazę. Nie miał ochoty zginać z ręki buntowników ani żołnierzy Baldomera. Zsiadł z konia i ruszył wśród kłębow dymu ku obrzeżu wioski.

Zielone zboża nie nadawały się jeszcze do podpalenia, lecz wysuszone strzechy zajmowały się ogniem od jednego przytknięcia żagwi. Pod nadzorem Faviana część żołnierzy siłą wyważała drzwi lub zatrzęsnięte okiennice i wrzucała pochodnie do wnętrza chat. Najpierw słychać było krzyki przerażenia kryjących się wewnątrz wieśniaków, potem wszyscy, którzy wybiegali na zewnątrz, ginęli pod ciosami jeźdźców. Część żołnierzy posiadała z koni i przystąpiła do rabowania dobytku.

Conan daremnie rozglądał się za oznakami zbrojnego oporu. Nie mógł uwierzyć, by ta mała wioszczyna mogła stanowić opisywane przez Ulfa gniazdo buntowników.

Po chwili jego uwagę zwróciła twarz, która mignęła mu między dwiema płonącymi chatami. Oblicze to wydało się Cymmerianinowi dziwnie znajome.

Conan zostawił konia i rzucił się biegiem między zabudowaniami. Łzawiącymi od dymu oczami wypatrzył kilka postaci, znikających w nadrzecznej kępie wierzb. Ścisnął mocniej rękojeść szabli i pobiegł za nimi.

Gdy tylko Conan zanurzył się w chaszczce, jeden z wieśniaków zaatakował go widłami o drewnianych zębach. Conan odtrącił je w bok i ciosem na odlew trafił chłopca w podstawę czaszki. Ubrany w parciane spodnie i kaftan mężczyzna runął na ziemię. Conan zauważył, że trafił uchylającego się przeciwnika płazem, nie wyrządzając mu większej krzywdy. Mimo to wieśniak ani drgnął, gdy Cymmerianin przechodził przez niego.

Nieco dalej, na błotnistym brzegu rzeki czterech uciekinierów wyciągało z trzciny łódkę z obsytego skórąmi drewna. Najstarsza spośród nich osoba odwróciła się do barbarzyńcy. Była to kobieta w wyglądającym znajomo długim płaszczu z odrzuconym w tył kapturem. Długie, płowe włosy miała zaplecione w warkocze. Conan zdał sobie sprawę, że właśnie ta dziewczyna wymknęła mu się wczoraj w lesie po nieudanej zasadzce. Tym razem uciekała wraz z trojgiem dzieci z wioski.

Jeden z nich, chudy jak szczapa chłopiec o umorusanej twarzy, rzucił się na Conana, ściskając w dłoni nóż o ułamanym ostrzu. Dziewczyna złapała go za kołnierz i przyciągnęła do siebie.

– Pomóż przy łodzi! – rozkazała zdecydowanie.

Kobieta wyciągnęła z pasa długi, prosty sztylet i spokojnie czekała na podejście Cymmerianina. W tej chwili rozległ się trzask roztrzącanych krzaków. Odwróciwszy się, Conan ujrzał, jak jeden z żołnierzy Ulfa, wąsaty wojak w średnim wieku, przebija się przez trzciny.

– Aha, wiejska gołabeczką o mało nie wyfrunęła z gniazdka! Podzielimy się nią, bracie? Uuuch!

Conan wbił mu szablę pod źle dopasowany napierśnik. Mężczyzna zatoczył się w tył, a jego koń zarżał z przestachu. Żołnierz uniósł miecz, dzielnie opierając się bólowi, lecz Conan ponowił atak tak szybko, iż jego broń utworzyła rozmazaną plamę. Drugie cięcie Cymmerianina powaliło żołdaka na ziemię. Barbarzyńca pozbawił przeciwnika życia starannym pchnięciem w gardło. Wojak zadrżał i znieruchomiał w błocie. Przestraszony koń uskoczył w krzewy.

Conan odwrócił się w stronę dziewczyny i ujrzał, że przez ten czas razem z dziećmi wsiadła do łódki i odpłynęła. Uciekinierzy znikali już za zakrętem rzecznej odnogi.

– Zaczekaj! – zawołał, lecz natychmiast uświadomił sobie daremność wołania.

Pobrnął do miejsca, w którym zarośla były nieco rzadsze. Zobaczył, jak dłubanka niknie ostatecznie za kępą drzew w dole rzeki. Pochłonięta sterowaniem dziewczyna nie oglądała się.

Conan popatrzył w drugą stronę. Łagodny prąd obmywał kamienisty brzeg w górze rzeki. W przejrzystej wodzie rozprzestrzeniały się szkarłatne pasma krwi przelanej podczas masakry w wiosce. Dalej widok był jeszcze bardziej ponury: od powierzchni rzeki odbijały się buchające ku niebu czerwone płomienie i kłęby dymu.

Po chwili Conan spostrzegł coś, co sprawiło, że zaczął kłać siarczyście, a zarazem o mało nie roześmiał się z niedowierzania i goryczy. Po obu stronach rzeki stały niskie, drewniane szopy z wielkimi kołowrotami. Prąd nosił w dół rzeki przecięte długie liny, a szopa po stronie wioski stała w płomieniach. Przedziurawiona, szeroka i płaska łódź z desek osiadła na płyciźnie naprzeciw wioski. Był to bez wątpienia prom, służący mieszkańcom tej części doliny.

Conan wydał gniewny pomruk i ruszył wzdłuż brzegu rzeki. Wściekłość zasnuła mu oczy czerwoną zasłoną, podobną do ogarniającej wieś pożogi. Szukając drogi

wśród krzaków i rozwalonych szop nad skrajem wody, słyszał narastający huk ognia i krzyki wieśniaków.

Zatrzymał się tylko raz, przed palącą się chatą, by ściągnąć jednego z bandytów kasztelana Ulfa z gwałconej dziewczyny. Poderżnął mu gardło najostrzejszą częścią szabli, tuż przy rękojęści i rzucił trupa w trzciny. Wieśniaczka uciekła w dół rzeki.

Conan ruszył dalej ku majaczącym w dymie kształtom. W środku pożogi natrafił na Durwalda. Marszałek z końskiego grzbietu przyglądał się Favianowi. Syn barona wykrzykiwał ochryłym głosem rozkazy. Żołnierze mieli nazbierać świeżego chrustu i obłożyć nim chaty, by spaliły się doszczętnie. Cymmerianin podszedł do Durwalda i popatrzył na niego gniewnie.

– Wiem, dlaczego tu przyjechaliśmy! – stwierdził.

Oficer popatrzył melancholijnie na barbarzyńcę ze skrwawionym ostrzem w dłoni. Swoją własną, nie użytą broń marszałek opierał o łęk siodła.

– Widziałem prom! – ciągnął Conan. – To był ten bunt, który chciał zgnieść kasztelan Ulf! Zwykła drewniana łódź, dzięki której tutejsi wieśniacy nie potrzebowali już mostu i nie płacili myta panu na zamku!

Durwald niemo pokiwał głową.

– Godzisz się na to, co się stało?! – wybuchnął Cymmerianin. – Jesteś wojownikiem, czy mordercą niewinnych ludzi?

Marszałek bez odpowiedzi ściągnął wodze konia i odjechał od rozwścieczonego Cymmerianina. Twarz Durwalda nie zdradzała żadnych emocji. Z jego przekrwionych oczu ciekły łzy, tak jak u większości obecnych. Tajemnicą pozostało, czy ich źródłem był kłębiący się wokół dym czy gorzki wstyd.

IX

POŚLUBIONA ŚMIERCI

Przed orszakiem powracającego barona wyrosły miejskie bramy Dinander. Zbudowane z masywnych bali o czworokątnym przekroju, sprawiały wrażenie równie solidnych jak pnące się po obu stronach mury. Bez wątpienia były równie skuteczne w odpieraniu najeźdźców, co w uniemożliwianiu ucieczki niepokornych mieszkańców. Tego dnia szerokie wrota stały jednak otworem. Było wczesne popołudnie. Na głównej ulicy miasta tłoczyła się jaskrawa ciżba w świątecznych strojach. Tłum nie śmiał jednak wylec na środek traktu. Na twarzach ludzi malował się wpojony od urodzenia respekt przed gwardią barona Baldomera.

Stary arystokrata jechał tuż za tworzącymi straż przednią czterema konnymi w zbrojach. Baldomer dosiadał gniadego wałacha, który zastąpił zabitego ogiera. Tuż za baronem toczył się rydwan z marszałkiem Durwaldem, powożony, jak przysięgłby bez wahania każdy prostaczek w Dinander, przez Faviana, przystojnego syna władcy prowincji.

Prostaczek myliłby się jednak, bowiem w istocie rydwanem powoził odziany w zbroję Faviana barbarzyńca z Północy. Syn Baldomera jechał w pobliżu czoła kolumny konnicy. Stalowa przyłbica hełmu zakrywała jego przystojne, lecz skażone obecnie grymasem obrzydzenia rysy.

Cel tej maskarady przyprawiłby o zawrót głowy prostego mieszkańca miasta. Baldomer jechał na czele, wcale się nie kryjąc. Byłby doskonałym celem, gdyby wrogowie odważyli się uderzyć. Jego kunsztownie wykuta i doskonale wypolerowana zbroja nie stanowiła dostatecznej osłony przed strzałami wytrawnych łuczników. Dlaczego więc krył swego syna, a nie siebie samego?

Pospolity mieszczuch doszedłby do wniosku, że odpowiedź na to pytanie ma więcej wspólnego z zawiłym sposobem myślenia szlachty niż ze zdrowym rozsądkiem. Niezbadane są drogi arystokracji, mruknąłby pod nosem.

Baldomer wyglądał na zadowolonego, na tyle, na ile na jego pobrużdżonym obliczu mogło w ogóle odmalować się tak spokojne uczucie. Prostował się dumnie w siodle i wodził wzrokiem po rzędach poddanych. Tłok sprawił, że baron powoli zrównał się z rydwanem. Mimo braku doświadczenia, Conan dość dobrze radził sobie z powożeniem na ulicach miasta. Siedzący na ławce Durwald zwrócił się do starego arystokraty:

– Obecność poddanych dowodzi, że wiadomość o twoim wcześniejszym powrocie wyprzedziła nas, panie baronie – marszałek powiódł po tłumie zamyślonym spojrzeniem, od czasu do czasu kiwając głową ważniejszym mieszczanom i ich żonom o rumianych policzkach. – Albo wygadał się kurier, którego wysłaliśmy do Svoretty, albo on sam to rozgłosił.

– Istotnie. Szkoda tylko, że Svoretta unika pokazywania się publicznie tak bardzo, że nie wyjechał na nasze spotkanie! – rzekł Baldomer z nieruchomą, zwróconą ku gapiom twarzą. – Z chęcią dowiedziałbym się, co się tu dzieje, ale nie ma nic złego w tym, że witają mnie poddani. Zatrzymam się na głównym placu, by powiadomić ich o powodzeniu objazdu prowincji i zdecydowanym ataku na buntowników.

– Może lepiej się tym nie chwalić, panie baronie – doradził Durwald. Po jego twarzy przemknął gorzki uśmiech. – Ostatecznie była to tylko drobna potyczka.

– Śmierć dwóch żołnierzy dowodzi, że walka była zacięta. I czyż twoi oficerowie nie naliczyli siedemdziesięciu ośmiu ciał uzbrojonych buntowników. Rzekłbym więc, że to wspaniałe zwycięstwo.

Pochłonięty kierowaniem rydwanem Conan przysłuchiwał się jednym uchem rozmowie szlachciców. Na ulicach było coraz bardziej tłoczno, zaś Cymmerianin musiał zachowywać ostrożność na wypadek kolejnej zasadzki czy usiłowania morderstwa. Wymuszona wesołość, którą Conan wyczuwał w szeregach witających barona mieszkańców, kazała zastanawiać się, czy lud bardziej cieszył się z powrotu barona, czy też jego nieobecności. Tak czy owak, zdawało się, że tego dnia wszyscy mieszkańcy miasta wylegli na ulice.

Cymmerianin zdawał sobie sprawę, że nazywanie zwycięstwem skróconego objazdu prowincji było wielkim kłamstwem lub jeszcze większym złudzeniem. Podczas tygodniowego odpoczynku w zamku Edram Conan nie zdołał się dowiedzieć, w jaki sposób przedstawiono baronowi rzeź nadrzecznej wioski. Barbarzyńca wiedział doskonale, że osada nie była twierdzą buntowników, lecz z drugiej strony widział tam tę samą dziewczynę, co w zasadzce...

– Raczej pamiętać, czcigodny panie, że nie natrafiliśmy na siedzibę czcicieli węży – Durwald wciąż spierał się z nieprzejednanym baronem. – Właśnie ten kult stanowi najszybciej rosnącą groźbę, z którą powinniśmy się jak najrychlej uporać.

– Zgadzam się, Durwald. Wkrótce wyślę większe siły, by wyplenili tę zarazę z korzeniami. – Baldomer urwał na chwilę i spojrzał na plac targowy. – A cóż my tu mamy? Wesele!

Conanowi przyszło teraz skupić całą uwagę na kierowaniu końmi. Tłum był tu najgęstszy. Wcześniej orszak minął Akademię Świątynną, gdzie wzdłuż marmurowego frontonu ustawili się młodzi adepci. Nieco później przejechał obok siedziby miejskiego garnizonu. Zza omszałych krat tuż nad ziemią wydobywał się odór lochów, wyjątkowo niemiły dla Cymmerianina. Za moment powracająca świta dotarła do wyłożonego brukiem głównego placu Dinander. Wystawiono tu stoły uginające się od jedzenia i napitków. Krążący między nimi ludzie odziani byli w świąteczne stroje, bogato zdobione wyszywaniem i koronkami. Większość stała przed budowlą z szerokimi łukami i strzelistymi wieżyczkami – miejską izbą cechową.

– Zapewne to zaślubiny krewnego któregoś z przełożonych cechów – ocenił Baldomer.

– Tak, panie – Durwald wychylił się nad turkoczającym kołem rydwanu, by usłyszał go tylko jego suveren. – Przypominam sobie, że ogłaszano zapowiedź ślubu córki złotnika Arla, Evadne, z jednym z pomniejszych posiadaczy ziemskich.

– Evadne... czy to nie ona uczy obróbki metali w szkole kapłańskiej, mimo że cech zakazał nauczania kobietom?

– Dziewczyna jest uparta – pokiwał głową Durwald.

– Istotnie. Chyba wiem, o co tu chodzi – Baldomer powiódł po placu ponurym spojrzeniem. – Urządzanie ślubów podczas nieobecności baronów to stara sztuczka zamożnych, nielojalnych rodzin, by wymigać się od obowiązków wobec władcy – arystokrata odwrócił się w siodle i dał znak Favianowi wiodącemu główną grupę konnicy. – Równać szyk! Podjedź pod schody, chłopcze! – polecił Conanowi. – Nie przystoi, byśmy nie byli obecni na tej ceremonii. Pamiętaj, że masz grać mojego syna.

Cymmerianin podjechał rydwanem do gmachu izby cechowej, torując sobie drogę między pierzchającymi na boki gapiami. Brak doświadczenia w powożeniu sprawił, że rydwan przewrócił stragan z kwiatami. Konnica ruszyła szybciej, tworząc wokół rydwanu ochronny kordon. Favian mełł pod nosem przekleństwa na widok psującej mu opinię podłej jazdy Conana.

Barbarzyńca przełknął obelgi, wysiadł z wozu i zaczekał na Baldomera. Ku jego zaskoczeniu, baron nie zsiadł z konia, lecz spał ogiera ostrogami i skierował się wprost do wnętrza dostojnego gmachu.

Baldomer przejechał przez wysoki portal, pokryty zawiłymi płaskorzeźbami, a

Conan ruszył za wierzchowcem arystokraty. Rozdrażnienie sprawiało, że Cymmerianin stapał w sposób przekonująco naśladowujący arystokratyczną butę. Durwald i Favian szli tuż za nim. Syn barona nadal miał opuszczoną przyłbicę.

Przypominające jaskinię wewnątrz izby cechowej rozświetlały odbłaski świec ustawionych w środkowej części sali. Ceremonia ślubna właśnie trwała. Na twarzach gości odbiło się zdumienie wywołane pojawieniem się barona. Dopiero po chwili obecni zaczęli bez zapału giąć karki w obowiązkowych ukłonach. Niektórzy ważyli się jednak na szeptu niezadowolenia i rzucanie chmurnych spojrzeń możnowładcy na koniu. Na twarzach większości gości weselnych malował się jednak wyłącznie strach.

Uwaga wszystkich obecnych skupiała się dotąd na młodej parze w barwnych strojach, klęczącej naprzeciwko siebie na środku sali. Ustrojona w kwietne girlandy kapłanka wykonywała rytualny taniec zaślubinowy, poświęcony czczonej w Dinander Ulli – bogini płonów. Para nowożeńców odwróciła się w stronę natrętnego arystokraty, gdy rytuał dobiegł końca. Conan dostrzegł, że oddany baronowi ukłon chłopięco przystojnego pana młodego był dumny i nieco wzgardliwy. Twarzy oblubienicy nie widać było za koronkowym, gęsto ozdobionym perłami woalem, lecz kobieta podniosła się z posadzki z imponującym spokojem i pewnością siebie.

Cymmerianin nie miał pojęcia, dlaczego osoba panny młodej tak przykuła jego uwagę, lecz Favian również się nią zainteresował. Widać to było po sposobie, w jaki syn barona wyciągał do przodu szyję.

– Witajcie, moi poddani! – głos wyprostowanego w siodle Baldomera przetoczył się dźwięcznie nad głowami zgromadzonych na galerii ludzi. – Żałuję, że ważna podróż sprawiła, iż spóźniłem się na wasze gody. Mimo to jako pierwszy chcę wam złożyć życzenia długiego i owocnego związku! Życzę też zdrowia zebranym tu waszym rodzinom.

W spojrzeniu barona, skierowanym ku rodzinie nowożeńców, malowała się nieukrywana pogarda.

– Zapewniam was, że panujący ród dołoży starań, by państwa młodych nie minął żaden z uświęconych przez obyczaje przywilejów i zaszczytów. Nie wątpię, że mój syn zgadza się całkowicie ze mną – Conan drgnął, gdy dłoń Baldomera w ciężkiej rękawicy spoczęła na jego ramieniu. Arystokrata wychylił się z siodła dając pokaz ojcowskiej dumy. Cymmerianina ukłuli zwracające się nań lodowate spojrzenia zgromadzonych. Baron podjął przemowę na nowo: – W tym celu ogłaszam, że dalszy ciąg zaślubin odbędzie się w moim pałacu. Służba zapewni wszystkim gościom pod dostatkiem jadła i napitków. Czujcie się moimi gośćmi. Zapraszam, nie, żądam by przybyli również pan młody i jego piękna wybranka.

Baldomer skończył obwieszczenie swej woli i zawrócił koniem w ciasnej przestrzeni. Na galerii rozległy się pomruki i pozbawione zapału okrzyki na cześć barona. Zważywszy na szczodrość zaproszenia, reakcja była o wiele mniej entuzjastyczna, niż można by się spodziewać. Za plecami starego władcy, wyjeżdżającego na zalany blaskiem słońca plac, narastał gwar wzburzonego tłumu.

W pałacu znów zapanował hałas i krzątanie przygotowań do uczy. Kamienne korytarze wypełniły wonie gotowanych potraw.

Conanowi i tym razem nie pozwolono wziąć udziału w zabawie. Cymmerianin siedział w komnacie Faviana i ponuro wyglądał na zewnątrz zza częściowo zaciągniętej zasłony. Napawał się dobiegającymi z dziedzińca odgłosami weselnej uczy.

Postacie pojawiające się w jasno oświetlonym, otwartym wejściu pałacu rzucały długie cienie na mur otaczający rezydencję. Cienie na ścianach były równie zmienne, jak myśli barbarzyńcy. Conan dumał nad wieloma sprawami: dwiema kochankami oraz wrogami, których zyskał ostatnio, splendorem arystokratycznej rezydencji i ambicjami jej domowników, oraz nad gniewem i wstydem, jakimi napełniało go spotkane tu zło. Myśli Cymmerianina zaczęły w końcu ciążyć ku bardziej przyziemnym problemom: jak długo przyjdzie mu pozostać w rezydencji Baldomera, ile zdoła ukraść w trakcie ucieczki i jak wielu ludzi będzie zmuszony pozbawić wówczas życia...

Zadumę przerwał mu hałas na korytarzu. Conan położył dłoń na rękojeści szabli, która wyciągnięta z pochwy stała oparta o poręcz fotela. Niemrawe gmeranie przy ryglu sprawiło, że Cymmerianin odprężył się i bez lęku przyjrzał jaśniejszej plamie drzwi. Serce zaczęło bić mu szybciej na wspomnienie pieśczo Calissy.

Okazało się wszakże, że niezręcznym przybyszem jest Favian. Syn barona

odziany był teraz w swą najlepszą zbroję. Gdy w blasku świecy niesionej w niepewnej dłoni dostrzegł rozpartego w fotelu barbarzyńcę, po chwili pijackiego zastanawiania się machnął rękaw stronę pozostawionych otworem drzwi.

– Idź sobie, dzikusie! Wrócił prawowity mieszkaniec tej komnaty! Nie będę potrzebował tej nocy twoich usług. Wracaj do śmierdzącej piwnicy!

Conan nie ruszył się z miejsca.

– Rozkazano mi pozostać tu do rana. Twój ojciec i jego szpieg sądzą, że obecność tylu gości w pałacu stwarza dla ciebie wielkie zagrożenie. Lepiej dowlecz się do jakiegoś innego łóżka.

– Mój ojciec ci tak powiedział?! – zamiast gniewu, Favian okazał zdumienie. – A to stary hultaj! Nie sądziłem, że zniży się do takiego postępku! – rozzłoszczony panicz zrobił dwa kroki w stronę barbarzyńcy i rzucił mu roztargnione spojrzenie. – Cymmerianinie, ukradłeś moje imię i miejsce, mój rydwan, strój i honor, ale nie przywłaszczysz sobie mojego męstwa! – odstawił świecę, wyprostował się niepewnie i potrząsnął pięścią. – Złożono przysięgi ślubne, spisano intercyzę, więc panna młoda musi ulec mej woli. Takie jest moje prawo i przywilej. Jeden z ostatnich, które mi pozostały. Wolę zginać, niż się go wyrzec!

W obliczu ataku nie potrafiącego zapanować nad sobą szlachcica, Conan wstał i cofnął się. Zaciskając dłoń na rękojeści opuszczonej nisko broni ustępował Favianowi bardziej ze względu na szal młodego arystokraty, niż z obawy przed rzeczywistym zagrożeniem z jego strony.

– Co ty mówisz, pijany błaznie?! Panna młoda ma przyjść do ciebie?

– Tak, barbarzyńco! Prawo pierwszej nocy jest odwiecznym przywilejem szlachty. Jak myślisz, dlaczego wydano dzisiejszą ucztę? Dzięki bogom, tej swobody ojciec nie może pozbawić, chociażby z powodu własnego kalectwa. – Favian wypiął dumnie pierś, mierzając Cymmerianina szyderczym spojrzeniem. – Jako jedyny zdolny do zadowolenia kobiety potomek rodu Einarsonów, mam prawo przywołać do swego łóża każdą dziewicę w prowincji.

– To... to ohydne! – Conan potrząsnął głową ze zdumienia. – Jaka dziewczyna może pozwolić na coś podobnego... i jaki pan młody?

– Pozwolić? Nie mają wyboru – Favian zaśmiał się pogardliwie. – Pewnie będzie dla ciebie zaskoczeniem, ale niemal wszystkie dziewczyny, zwłaszcza dobrze urodzone, aż pałą się do wypełnienia tego obowiązku. Potem wspominają z czułością tę krótką chwilę chwały przez resztę nudnego życia. Poza tym, który z prostaczków zechciałby zrezygnować z odrobiny błękitnej krwi w marnym rodowodzie?

– Nic dziwnego, że twój ojciec tak zazdrośnie strzeże swego prawowitego potomka. – Conan roześmiał się z gorzkim rozbawieniem. – Sam ma pewnie bękartów w połowie Nemedii! Każdy z nich mógłby...

Favian przestał słuchać Conana. Zamiast tego wsłuchał się w zbliżające się odgłosy kroków i szcęk zbroi na korytarzu.

– Dosyć tej paplaniny! Zmykaj stąd! Słyszę, że już prowadzą mą bogdankę. Mam wrażenie, że okaże się hardą i niepokorną uczennicą, lecz dowie się niejednego dzięki, bądź pewien... – syn Baldomera ujął Conana pod łokieć i powiodł w głąb komnaty. – Wyjdź tędy. Spotkanie z panną młodą na korytarzu mogłoby być krępujące. Za tymi drzwiami są schody, prowadzące do tylnego wyjścia.

Favian zaprowadził wahającego się strażnika do ukrytego wyjścia, odciągnął zasłonę i wypchnął go za drzwi. Conan nie bronił się. W głowie kręciło mu się od wypitego w samotności wina i zdumienia. Gdy drzwi zostały zamknięte i zaryglowane, Cymmerianin znalazł się w ciemnościach. Nie przeszkadzało mu to, gdyż dobrze pamiętał ten korytarz.

Po chwili zdał sobie sprawę, że ciemność nie jest zupełna. Przed nim na posadzkę kładła się wąska smuga blasku. Conan spostrzegł, że światło wydostaje się spod drzwi komnaty Calissy. Podeszedłszy do nich, zobaczył, że są nie domknięte. Zasuwa była częściowo odciągnięta. Barbarzyńca wsunął ostrze w szparę, odepchnął rygiel i pchnął drzwi.

Ujrzał, że źródłem światła jest trójramienny kandelabr na toaletce po przeciwnej stronie komnaty. Blask świec odbijał się w zwierciadle z polerowanego srebra. W lustrze widać było również różane wdzięki Calissy. Dziewczyna myła się w złotej misie. Zsunięta z ramion, półprzeźroczysta koszula nocna trzymała się tylko na biodrach. Kaskada rdzawych włosów spadała na kształtne plecy młodej szlachcianki.

Gdy rozległo się skrzypienie drzwi, Calissa obejrzała się na intruza. Zamiast

gniewu, na jej twarzy odmalowało się umiarkowane zaskoczenie. Nawet nie starała się okryć swego powabnego ciała.

– Favian, braciszku! Nie mieliśmy okazji porozmawiać... Zarumieniła się, gdyż w tym momencie pojęła swoją omyłkę. Szybko zasłoniła piersi lnianym ręcznikiem i zaczęła osuszać nim lśniąca od wody skórę.

– Twój braciszek zabawia się tej nocy z inną pięknoscią, Calisso – Conan schował szablę i zamknął za sobą drzwi, tym razem starannie przesuwając rygiel do końca. – Pełniłem straż w jego komnacie, ale mnie stamtąd wyrzucił.

Arystokratka nie odpowiedziała. Przytrzymując przed sobą ręcznik, podciągnęła przód koszuli nocnej i wsunęła ramiona w rękawy. Lustro za plecami źle przysługiwało się jej niespodziewanej skromności.

– Dlaczego kryjesz takie wspaniałości, dziewczyno? – Conan ruszył w jej stronę. – Wszak wszystko to widziałem już wcześniej, ze znacznie mniejszej odległości...

– Zatrzymaj się! – Calissa namacała za sobą nożyczki i uniosła je groźnym gestem. – Nie masz prawa mi rozkazywać, nawet jeśli w przeszłości okazałam ci zbyt dużą łaskawość! Pamiętaj, że jesteś tu zwykłym sługą!

– Jak sobie życzysz, pani – Conan zatrzymał się na środku komnaty przyglądając się, jak Calissa odgarnia rude włosy. – Wszelako związki między państwem i służbą należą do tradycji tego domostwa.

– Dość! – Calissa oparła się o toaletkę i gniewnie zamachnęła nożyczkami. – Nic na to nie poradzę, nawet jeśli mój brat postanowi wciągnąć do swojego łóżka każdą nierządnicę z miasta. Kobiety nic nie znaczą w pałacu. Nie możesz mnie winić za niskie apetyty Faviana.

– Coś podobnego, dziewczyno, jesteś zazdrosna! Nie miałem pojęcia... – Conan chciał ruszyć w jej stronę, lecz zmienił zdanie i pozostał na środku komnaty. – Rozumiem, że życie w rodzinie szaleńców jest dla ciebie ciężką próbą.

– Szaleńców? Nie mów o szaleństwie, byś nie wywołał go tam, gdzie się go nie spodziewasz. Pamiętaj, że ja również pochodzę z rodu Einarsonów – ciemne oczy dziewczyny rozbliły na tle bladego oblicza. – Ale jakie to ma znaczenie? Na świecie jest pod dostatkiem szaleństwa. Pełno go w naszym kraju. Obłęd wojny i rozruchów dopadnie nas ostatecznie bez względu na to, jak bardzo będziemy mu stawiać opór.

– Zatem dowiedziałaś się czegoś o buntownikach – Conan podsunął jej temat. – Szepcze się o nich na dworze?

Calissa zaśmiała się.

– Jesteś tak głuchy, że nie słyszysz pomruków gromu, nawet mimo tego upiornego świętowania? Nie dostrzegasz szeptów i ponurych spojrzeń? Nie widzisz wędzidła, jakim jest dla zwykłych ludzi coraz surowsze władanie mojego ojca? Na domiar złego ze wschodu dochodzą opowieści o rosnącym w siłę kulcie czcicieli węży.

– Ach! Opowiedziano ci o zasadzce? Tego dnia zasadziła się na nas w lesie doborowa kompania łuczników – rzekł poważnie Conan. – Mogliśmy zginać wszyscy, gdybyśmy nie dość szybko przeszli do ataku...

– Głupcy, nie mają żadnych szans! – szlachcianka rzuciła głową w geście desperacji i zniecierpliwienia. Fale ciężkich, ciemnych włosów przetoczyły się po jej plecach. – Mój ojciec, jego armia zgniotą rebelię. Przy twoim współdziałaniu. Władcy Dinander od stuleci radzą sobie w ten sposób z buntownikami – urwała i przyłożyła dłoń do czoła. – Największą goryczą napawają mnie rychłe cierpienia, zamęt, i to, że nasza prowincja znowu cofnie się w przeszłość. Przepadnie wszystko, co zyskaliśmy za czasów mojej matki. Chłopi zostaną zrównani z niewolnikami, a miasto stanie się więzieniem. Nie chcę, by do tego doszło!

Conan przyglądał się jej przez chwilę w milczeniu.

– Rozumiem, dziewczyno. Też nie chciałbym brać w tym udziału – urwał, jak gdyby chciał sobie dać czas do namysłu, po czym zapytał: – Myślałaś kiedykolwiek, by stąd wyjechać? Są jeszcze inne miasta oprócz Dinander, przeważnie ładniejsze, a czasem przyjemniej pachnące.

– Nie, Conanie, nic nie rozumiesz – Calissa ze znużeniem odrzuciła nożyce na stolik przed lustrem. Zagrzechotały potraczone słoiczki z pachnidłami. – Bez względu na to, do czego dojdzie, muszę wytrwać do końca i ratować, ile się da. Mój ojciec będzie mnie potrzebować, a po nim Favian, chociaż nigdy się do tego nie przyzna.

Conan posępnie pokiwał głową.

– Nie spodziewaj się, że zostanę, by dotrzymać ci towarzystwa.

– Och, oczywiście, Conanie. Będzie lepiej, jeżeli wyjedziesz, ale teraz chodź do mnie – wsparła dłonie na jego ramionach okrytych czarnym pancerzem. – Przykro mi, że cię tak zbeształam. Jak sam stwierdziłeś, niezwykle związki należą do tradycji tego pałacu. Możemy starać się jak naj... mmm! – Conan przerwał przemowę dziewczyny, szukając ustami jej warg. Po chwili zdyszana wysunęła się z jego objęć. – Strasznie ci niewygodnie! Pozwól, że zdejmę ci zbroję... a przynajmniej jej część!

Sięgnąwszy do jego pasa, zaczęła zgrabnymi dłońmi rozpinąć sprzączki pancernego fartucha.

Conana wyrwał z drzemki okrzyk wściekłości i bólu. W jednej chwili odzyskał jasność myśli. Zmrużywszy oczy rozejrzał się dookoła. Na świeczniku dopalała się ostatnia świeca. Wiedział, że krzyki nie są płodem złego snu. Bez wątplenia rozlegały się w jednej z najbliższych komnat.

Conan wysunął się z ciepłych, jedwabistych ramion Calissy. Wstał i szybko nałożył buty i zbroję. Mrozący krew w żyłach krzyk nie powtórzył się, lecz Cymmerianinowi zdało się, że słyszy szcęk żelaza i kroki na korytarzu w oddali. Barbarzyńca przypasał szablę i ruszył do drzwi.

Wąski korytarz pogrążony był w ciemności, lecz Conan bez trudu odnalazł wejście do komnaty Faviana. Z wnętrza dobiegała kłótnia kobiety i mężczyzny. Ich pełne napięcia, gardłowe głosy wywoływały nieodparte uczucie zagrożenia. Conan napał na drzwi i zaczął na nie coraz silniej naciskać. Za moment rygiel ustąpił z traskiem, a skrzydło drzwi rąbnęło z hukiem o ścianę.

Conan zrobił krok naprzód i ujrzał scenę zbrodni popełnionej z zimną krwią. Nagi do pasa Favian leżał na podłodze. Jego nogi zaplatały się w jedwabną pościel na łożu. Wokół twarzy i piersi młodzieńca rozszerzała się kałuża krwi z poderżniętego gardła. Arystokrata najwyraźniej nie spodziewał się śmierci. Dopadła go ona podczas szlacheckich swawoli. Jego dłoń zaciśnięta była na rękojeści pejcza o wielu rzemieniach. Świeża krew lśniła jaskrawo w blasku świec.

W drugim końcu komnaty stały trzy osoby: dwóch plebejuszy w świątecznych strojach, lecz z bronią w ręku. Trzecia – kobieta, w porwanej szacie wycierała nóż i splamioną krwią dłoń w koszulę Faviana. Conan natychmiast rozpoznał zabójczynię. To była oblubienica, której Favian tak pożądliwie wyczekiwał w swojej komnacie. Gdy kobieta odwróciła się w stronę Cymmerianina, młody barbarzyńca zdał sobie jednak sprawę, że widział ją już wcześniej. Była to ta sama buntowniczką, która mignęła mu podczas walki w lesie, a później w trakcie masakry w nadrzecznej wsi.

X

DZIEDZICTWO PRZEZ STAL

Gdy Conan wpadł do komnaty, zabójczyni zwróciła się w jego stronę. Jej dwaj towarzysze zamarli, wlepiając wzrok w Cymmerianina. Być może pomyśleli, że to duch martwego Faviana. Po chwili jeden z nich ruszył do przodu unosząc miecz, lecz zatrzymał się gdy kobieta położyła mu dłoń na ramieniu. Buntowniczką skierowała na Conana poważne spojrzenie, jakby szykując się do wygłoszenia przemowy. Nim zdążyła otworzyć usta, Cymmerianin poczuł, że ktoś go dotyka.

– Favian! Nie!!! – usłyszał trwożliwe westchnienie. Była to Calissa. Gdy zaczęła przepychać się obok niego, Conan zagroził jej drogę i wepchnął z powrotem w cień. Chociaż dziewczyna zaczęła się szarpać, Cymmerianin zdecydowanie zatrzaskał skrzydło drzwi. Na poły wyrwany rygiel uwiązał w zamku.

– Chodźmy stąd, dziewczyno!

– Mój brat... zamordowany! – zajęczała Calissa. – Dlaczego nie pojdziesz morderców? Dlaczego ich nie zabijesz?! Znam tę kobietę, to Evadne... buntowniczką z Akademii Świątynnej! Zostaw mnie!

– Chcę cię ochronić – Cymmerianin popchnął zrozpaczoną arystokratkę w głąb korytarza. – Właśnie wybuchł bunt, Calisso. Będę zdziwiony, jeżeli tylko na tym się skończy.

– Puszczaj! – krzyknęła dziewczyna łamiącym się z rozpaczyny głosem. – Wypełnij swój obowiązek, tchórze! – zaczęła okładać go pięściami po twarzy. – Ach, rozumiem, dlaczego nie chcesz mnie posłuchać! Jesteś z nimi w zмовie!

Conan wniósł Calissę do jej komnaty. Na razie nie słychać było odgłosów

pościgu. Dziewczyna uniosła ku Cymmerianinowi pobladła, załzawioną twarz.

– Byłeś zaufanym strażnikiem mojego brata, ale porzuciłeś go w najważniejszym momencie! Uwiodłeś mnie i nie pozwoliłeś, bym była u jego boku w chwili śmierci! – ponownie rzuciła się na barbarzyńcę, kalecząc sobie pięści o stalowy pancerz. – Łotrze! Morderco!

– Cicho! Oszalałaś, dziewczyno?! Crom jeden wie, że nie kochałem twojego braciszka, ale daleko mi do... – uświadomiwszy sobie, że córka barona chwyciła rękę tkwiącego za pasem sztyletu, Conan odepchnął ją na środek komnaty. – Calisso, uspokój się!

– Nie, łotrze! Ohydny lubieżniku! Skąd mogę wiedzieć, czy nie zabiłeś Faviana własnymi rękami?! – dopadła go raz jeszcze, mierząc w oczy sztyletem i paznokciami. – Straże, pojmijcie zdrajcę!!!

Cymmerianin ponownie odepchnął Calissę od siebie. Dziewczyna przewróciła się na otomanę. Dysząc ciężko zgarnęła poły nocnej szaty i zaczęła szukać sztyletu, który wypadł jej z ręki. Hałasy z głębi pałacu nasiliły się, chociaż zapewne nie miały związku z wrzaskami arystokratki.

– Wiedz, że Favian zginął wskutek własnych występków. Nie przyłożyłem do tego ręki – w stłumionym głosie Conana brzmiał gniew. – Calisso, uspokój się... Nie mogę cię chronić, skoro zupełnie straciłaś głowę! Zasuń dobrze rygiel i módl się, by nikt cię nie znalazł!

Zamknął drzwi za sobą. Za moment rozległ się łoskot rozbijającej się o nie butelki i potok wyzwisk. Ruszył pogrążonym w ciemnościach korytarzem. Nie mógł dojść do siebie. Serce na przemian podchodziło mu do gardła i opadało do żołądka. Zrozumiał, że Calissa zwariowała jak reszta jej rodziny. Dla barbarzyńcy, sługi Einarsonów, oznaczało to jednak koniec służby i zwolnienie z wszystkich przysiąg. Mógł opuścić pałac, o ile tylko zdoła wyrąbać sobie drogę odwrotu z tego kłębowiska węży.

Pomyślał o buntownikach. Odczuwał dla nich pewną sympatię, w odróżnieniu od możnowładców pokroju Baldomera. Evadne... To był ideał kobiecości! Jednak nie miał ochoty ucałować jej skrwawionej dłoni. Wszystkie poznane Nemedianki okazały się zbyt zdradliwe jak na jego gust. Uznał, że powinien uciekać jak najdalej od Dinander.

Skoro zaś zamierzał opuścić pałac, czy nie powinien odebrać zaległej zapłaty, najlepiej razem z hojną premią na drogę? Przypomniał sobie szkatułkę z pieniędzmi, widzianą w komnacie Baldomera. Cymmerianin osadził, że jeśli się pośpieszy, pomoże mu w kradzieży podobieństwo do Faviana.

Conan dotarł do drzwi na końcu korytarza. Odciągnął rygiel i zajrzał do środka. Po przeciwnej stronie przedsionka wisiała kotara zasłaniająca wejście do sypialni. Obok znajdowały się oświetlone pochodniami kręte schody.

W tej części rezydencji panował spokój. Nie słychać było gniewnych krzyków Calissy ani odgłosów pościgu, lecz z dołu dobiegała wrzawa i łoskot wyważanych drzwi. Cymmerianin prześliznął się za zasłonę i przywołał w myślach rozkład tego skrzydła pałacu. Po namyśle przeszedł przez pustą komnatę na piętrze.

Drzwi w przeciwległej ścianie prowadziły na szeroki korytarz. Gdy tylko Conan znalazł się na nim zza zakrętu wyłoniło się dwóch uciekających mężczyzn. Mimo czarnej peleryny i kapelusza z kryjącym twarz rondem, Conan rozpoznał w pierwszym z nich nadwornego szpiega, Svoretę. Tuż za nim biegł zdyszany fechtmistrz Eubold w połyskliwym pancerzu.

– Dobrze, że cię widzę, barbarzyńco! – zawołał Svoretta stając przed Cymmerianinem. – Dowiedziałem się, że twój podopieczny nie żyje, ale nie bój się, jeszcze się nam przydasz! – Zatrzymał się, obejrzał niespokojnie za siebie i rzucił Conanowi nieprzeniknione spojrzenie. – Oczywiście, o ile nie przyłączyłeś się do zdrajców?

– Nie zadaję się ze zdrajcami – Conan popatrzył lodowato na Svoretę i wyciągnął broń. – Dlatego nie licz na mnie!

Świszczący cios szabli powinien był położyć krępego szpiega trupem na miejscu, lecz Svoretta uchylił się błyskawicznie, mimo utrudniającej mu ruchy peleryny. Radca wyciągnął miecz i sparował atak Conana. Broń Svoretty miała proste, wąskie ostrze, dobre do wbijania między złącza zbroi. Mierzone w szyję Cymmerianina pchnięcie sprawiło, że Conan odskoczył w tył.

Ponieważ fechtmistrz również wyciągnął broń, barbarzyńcy przyszło walczyć z dwoma przeciwnikami naraz. Conan poradził sobie jedną paradą olśniewających ciosów. Ostrze szabli wykreśliło w blasku lamp rozmigotany monogram śmierci. Najpierw Cymmerianin potężnym rąbnięciem odtrącił broń Eubolda skośnie w dół.

Wyłączywszy na chwilę fechtmistrza z walki, jak gdyby od niechcienia dźgnął w tułów Svoretty.

Szpieg stęknął gardłowo i zacisnął dłonie na brzuchu. Jego oczy rozszerzyły się ze zgrozy, gdy zdał sobie sprawę z rozmiarów rany. Wypuścił miecz z drżącej dłoni, zatoczył się w bok i osunął na posadzkę.

– Nie brudziłbym sobie rąk, gdybym miał pewność, że nie przeżyjesz tej nocy – powiedział Cymmerianin do powalonego przeciwnika. Svoretta drżąc z wysiłku, wciągał powietrze w płuca. – Nie mam ochoty do końca życia obawiać się, że mnie otrujesz lub naślesz swoich pacholków.

Nie zważając na Eubolda, Conan wznosił szablę i ciał z rozmachem. Svoretta znieruchomiał, jego odrąbana głowa potoczyła się w bok.

Cymmerianin obejrzał się na Eubolda. Fechtistrz nie ponowił ataku. Zamiast tego patrzył pod nogi, by nie dosięgła go rozszerzająca się kałuża krwi szpiega. Chwilę później obaj przeciwnicy spojrzeli w głąb korytarza. Wpadło nań trzech mężczyzn. Byli buntownikami, o czym świadczyło znajome zestawienie strojów gości weselnych i obnażonych mieczy. Mężczyźni naradzili się spokojnie i powoli ruszyli naprzód.

Eubold zwrócił się w stronę Conana. Sińce i skaleczenia, upamiętniające pierwsze zetknięcie fechtmistrza z barbarzyńcą, wygoiły się niemal zupełnie, aczkolwiek ich pozostałości sprawiały, że szermierz wyglądał, jakby cierpiał na żółtaczkę. Starszy mężczyzna wznosił szablę z nikłym zapałem. Jego spojrzenie mimowolnie pomknęło w stronę zalanego krwią trupa Svoretty.

– Widzę, fechtistrzu, że masz ochotę na jeszcze jedną lekcję – Cymmerianin zakręcił młynca. – Jak widzisz, nauczyłem się wiele od naszego ostatniego spotkania.

Eubold zaklął szpetnie i zawrócił w stronę trzech zbliżających się buntowników. Widać wolał zdać się na łaskę intruzów niż swojego byłego ucznia. Conan powiódł za nim rozczarowanym wzrokiem, lecz wstrzymał się z pościgiem.

Fechtistrz dotarł do przeciwników. Usiłował przedrzeć się między dwoma buntownikami, zasypując ich wściekłym gradem ciosów. Udało mu się ranić jednego w prawe ramię, lecz nie zdołał się przebić. Trzeci z buntowników pochylił się i wyprowadził pchnięcie w nogę Eubolda. Po chwili wszyscy trzej otoczyli półleżącego fechtmistrza i rozsiekli go metodycznie.

Conan nie został do końca tej sceny. Nie miał ochoty walczyć ani z buntownikami, ani po ich stronie. Nim trzej mężczyźni uporali się ze swym krwawym dziełem, Cymmerianin zniknął w ciemnościach.

Los chciał, że korytarz prowadził w stronę głównej sali pałacu, skąd dobiegały krzyki i szczęk broni. W sercu młodzieńca z Północy rozgorzał zapał, podsycony wizją bogatych łupów. Wszelako w najśmielszych myślach nie spodziewał się zgotowanego mu przez los spotkania.

Niespodziewanie przed Cymmerianinem stanął Baldomer. Za baronem podążał członek Żelaznej Gwardii w kompletnej zbroi, wyraźnie pozbawiony wątpliwości, kim jest i komu sprzyja Conan.

Na znak władcy Dinander, wojownik zagroził korytarz i zadał poziome cięcie. Ostrza gwardzisty i Cymmerianina zderzyły się z ogłuszającym szczękami.

Rozgorzała walka. Dwaj wojownicy stojąc na odległość wyciągniętej ręki zasypywali się potężnymi ciosami. Gwardzista starał się raz po raz trafić w odkrytą głowę czarnowłosego Cymmerianina, lecz ten zastawiał się szablą lub uskakiwał w bok. Conan z kolei mierzył w szyję i pachwiny przeciwnika, lecz jego ostrze ześlizgiwało się po wygładzonej, czarnej stali. Losy toczony w milczeniu walki były równie niepewne, jak jej cel. Baldomer wdziewał tymczasem łuskowate rękawice i z niezmaconym spokojem przyglądał się walczącym, nie racząc przemówić ani włączyć się do pojedynku.

Bitewne uniesienie sprawiło, że Conan wkrótce zrezygnował z daremnej wymiany ciosów z odzianym w zbroję przeciwnikiem. Wyczekał chwili, gdy gwardzista brał zamach, przyskoczył do niego i korzystając z impetu przeciwnika zadającego cios z góry, przerzucił go sobie przez biodro. Gdy mężczyzna runął na podłogę, Conan wskoczył mu na grzbiet. Gwałtownie wykręcił głowę w hełmie i walnął głowicą szabli w kark. Gwardzista znieruchomiał z szyją przekrzywioną pod nienaturalnym kątem.

– Ach, synu, wreszcie nauczyłeś się walczyć jak mężczyzna! – Baldomer spojrział na zadyszanego zwycięzcę. Na zdrowej połowie twarzy barona malował się uśmiech pełen dostojnej rezygnacji. – Jestem dumny, że wygrałeś, chociaż ciężko mi na sercu, że wznieciłeś przeciwko mnie krwawy bunt.

– Nie jestem twoim synem – odparł Conan i dźwignął się na nogi. – Favian nie żyje. Zabiła go panna młoda, którą chciał pojąć w swojej komnacie.

– Nie, chłopcze, nie drwij sobie – baron potrząsnął głową z uporem. – Zabito dzikusa z Północy, który z mojego polecenia zajmował twoje miejsce. Widzisz, że rozwój wypadków potwierdził ojcowską przenikliwość? Nie zaprzeczaj! Jeżeli jednak pragniesz wyrzec się szlacheckiego imienia i wyprzeć swojego dziedzictwa... – Baldomer ze zdumiewającą sprawnością wyciągnął długi, prosty miecz – ... w takim razie czeka nas walka na śmierć i życie! – w spojrzeniu skierowanym ku fałszywemu potomkowi czaiło się szaleństwo. – Wiedz, synu, że czyjakolwiek krew zrosi tę wiekową posadzkę, będzie ona szlachecka!

Po tych słowach baron rozpoczął walkę cięciem w lewy bok barbarzyńcy. Nietrudno było go uniknąć, lecz gdy Conan odpowiedział ciosem z góry, miecz niespodziewanie znalazł się znów przed nim, odtrącił ostrze szabli i śmignął ku torsowi Cymmerianina. Conan z najwyższym wysiłkiem zablokował pchnięcie i odskoczył od przeciwnika pojmując, że ma do czynienia z doskonałym szermierzem. Baldomer zyskał doświadczenie podczas niezliczonych kampanii, a szaleństwo dodało mu sił. Barbarzyńca zaczął ostrożnie okrażać starszego mężczyznę. Czekając, aż baron osłabnie, z rzadka zadawał szybkie, potężne ciosy.

– Gra okazała się trudniejsza, niż się spodziewałeś, młodziku? – Baldomer zręcznie ustępował przed silniejszymi ciosami Cymmerianina, słabsze parując bez wysiłku. Oszczędność ruchów sprawiała, że nie tracił tchu i mógł bez trudu gadać bez przeszkód: – Wolałbym wznosić miecz w twojej obronie, synu! Wiedziałem jednak, że pewnego dnia zwrócisz się przeciwko mnie, bez względu na wysiłki, których dokładałem, by sprowadzić cię na właściwą drogę – stary wojownik pozwolił ciosowi Conana ześlizgnąć się bezsilnie po ostrzu miecza i zbroi. Baron udał, że się zachwiał, po czym pchnął niebezpiecznie blisko gardła młodszego mężczyzny. – We krwi Einarsonów płynie domieszka obłędu – oświadczył Baldomer i ponownie odsunął się od przeciwnika. – Co kilka pokoleń znajduje ona upust w najstraszniejszych zbrodniach: ojcobójstwie, bratobójstwie i samobójstwach! Ale może tak musi być? Może gwałtowność i bezwzględność są konieczne, by dobrze rządzić? Modliłem się do naszych świętych przodków, by nas uchronili, Favianie, ale od dzieciństwa wyczuwałem w tobie tę skazę!

W trakcie walki Conan i Baldomer przemierzali korytarz i wypadli na szeroką galerię, okalającą hol wejściowy pałacu. Tutaj ich pojedynek zyskał dużą widownię. Szczytu schodów bronili członkowie Żelaznej Gwardii, zaś na dole tłoczyli się buntownicy, pnący się w górę po trupach. Obrońcy pałacu nie wspomogli Baldomera. Być może nie byli pewni, którego z szermierzy powinni wesprzeć. Obydwie strony zaprzestały walki, by obserwować wspaniałą pojedynek.

– Oskarżasz innych o bratobójstwo i inne ohydne zbrodnie, baronie, lecz cóż może być potworniejszego, niż zamordowanie własnej żony, Heldry? – odezwał się Conan po raz pierwszy od początku walki.

– Ach, chłopcze, zabicie matki było istotnie straszną zbrodnią – Baldomer rozejrzał się po świadkach pojedynku, a głos zaczął łamać mu się z wysiłku lub emocji. – Było to dziełem buntowników, z którymi sprzymierzyłeś się w haniebnej zdradzie! Dlaczego chcesz mówić o tym przy wszystkich?

– Bo kłamiesz! – Conan podkreślił swe słowa cięciem w skroń barona. Mimo sztywnego kręgosłupa i zmęczenia starzec zdołał się uchylić, lecz pęd powietrza wzburzył jego długie, siwe włosy. – Gdy wskutek bitewnych ran straciłeś męskość i żona przestała mieć z ciebie pożytek. Zacząłeś jej nienawidzić! – wołał zdyszany Cymmerianin. – Dlatego kazałeś ją zamordować! Svoretta wykonał twój rozkaz: otruł Heldrę tak samo, jak próbował otruć mnie! Wspólnie zrzuciliście winę na buntowników!

– Nie! To kalumnie! Była niewierna! – wyrzucił z siebie Baldomer. Jego zdrowe oko pałało szaleństwem. – Wciąż ją kochałem, ale mój szpieg doniósł, że była niewierna. Nie mogłem pozwolić, by ktokolwiek się o tym dowiedział! – jego twarz ściągnęła się z emocji tak bardzo, iż nie było widać bitewnej blizny. – Zdradziła mnie! Tak jak ty, wyrodny synu!

Po raz pierwszy od początku walki baron rzucił się do ataku. Z zapamiętaniem obsypał Cymmerianina potężnymi ciosami, całkowicie rezygnując z obrony. Conan cofał się przed niepowstrzymanym natarciem Baldomera, lecz w końcu doczekał się szansy dla siebie. Gdy po opętańczym cięciu ostrze miecza odbiło się ze szczęką od balustrady obok barbarzyńcy, ten zacisnął obydwie ręce na rękojeści szabli i pchnął w górę. Zakrzywione ostrze, które złamałoby się lub ześlizgnęło w mniej pewnych rękach, przebiło czarną stal napierśnika. Nim pchnięcie straciło

impet, szabla pograżyła się do połowy długości w ciele Baldomera.

Wypuszczony z dłoni miecz barona odbił się od pancerza na plecach Conana i spadł na posadzkę. Starzec zacisnął dłonie na ostrzu sterczącym z jego piersi i wolno osunął się na kolana.

– Nadszedł mój kres... lecz ród Einarsonów trwa nadal! – rzekł Baldomer zdecydowanie i z goryczą, – chociaż bez uprzedniej mocy. – Dobrze! Niech ma śmierć nauczy cię władania surową ręką, synu. – Przytrzymując jedną dłonią sterczące ostrze, drugą ręką baron sięgnął do szyi. Słabnącymi palcami wyciągnął spod przebitego pancerza ciężki łańcuch z sześcioramienne amuletem ze złota, który miał w czasie modłów w podziemnym grobowcu. Zdjął go przez głowę, wyciągnął w stronę Conana i rzekł: – Jest twoim dziedzictwem... wraz z Dinander oraz wszystkimi prawami i obowiązkami naszego rodu. Bądź surowy, chłopcze...

Z nozdrzy starca pociekła strużka krwi. Baldomer rozluźnił dłoń na ostrzu szabli i osunął się na posadzkę. Jego pobrużdżona twarz, chociaż pobladła i splamiona krwią, wydawała się dziwnie spokojna. Zeszpecone rysy wreszcie nabrały harmonii.

Trzymając w dłoni złoty amulet Einarsonów, Conan zrezygnował z wyciągania szabli z piersi pokonanego przeciwnika.

Puścił rękojeść i pochylił się po prosty miecz barona. Zawiesił talizman na piersi, po czym wyprostował się i ujrzał wymierzone w niego spojrzenia mężczyzn na galerii, którzy na czas pojedynku przerwali walkę.

Wysoki, sąsiadujący z gankiem hol zaplanowano tak, by bronić wejścia strzałami z łuków, gdyby napastnikom udało się do niego dotrzeć. Ponieważ walka wybuchła wewnątrz pałacu, okazało się to niemożliwe. Drzwi frontowe stały otworem, widać było z nimi tłum buntowników. Żelazna Gwardia panowała tylko nad szczytem schodów i przyległymi korytarzami. Pstra ciżba buntowników zajmowała pozostałą część galerii i obydwie półpiętra. Na czas pojedynku linie walczących zatrzymały się w miejscu. Większość niewątpliwie myślała, że z Baldomerem walczy Favian. Teraz czekali, by zorientować się, po której stronie opowie się zwycięzca.

Obok szczytu schodów stał Durwald i grupka szlachciców, a między nimi siwowłose nauczyciel Lothian. Przyglądali się Cymmerianinowi w milczeniu, z równą niepewnością, jak wszyscy pozostali.

Nagle z bocznego korytarza wypadła rozgorączkowana Calissa w towarzystwie dwóch gwardzistów. Dziewczyna rozejrzała się wokół błędnym wzrokiem, po czym podbiegła do doradców swego ojca. Wymierzyła oskarżająco palec w Conana i przerwała ciszę wołaniem:

– To jest zdrajca! Nie wystarczył mu jeden mord, zabił też mojego ojca! Pojmijcie go natychmiast, zakućcie w żelaza! Żadne tortury nie są zbyt okrutne...

Dalszy ciąg jej gniewnej oracji utonął w hałasie. Ludzie wytraceni z równowagi słowami dziewczyny mocniej ścisnęli broń. Paru klnąc rzuciło się do walki.

Widząc, że gwardziści na szczycie schodów zwracają piki przeciw niemu, Conan podjął ostateczną decyzję, po której stronie stanąć. Nie widział dla siebie miejsca w towarzystwie wyniosłych władców Dinander. Wszedł na balustradę i skoczył na półpiętro, gdzie szyk obrońców w czarnych zbrojach był najrzadszy. Naprzeciw stała liczna grupa powstańców. Na widok przeciwnika zachodzącego ich od tyłu z wzniesionym wymownie mieczem, kordon Żelaznej Gwardii poszedł w rozsypkę. Buntownicy błyskawicznie wykorzystali ich odwrót. Przez chwilę Conan wymieniał ciosy z dwoma strażnikami, po czym znalazł się wśród powstańców. Przyjęto go gromkimi okrzykami i klepaniem po ramionach. Ku swemu zaskoczeniu, Conan znów ujrzał przed sobą Evadne. Teraz miała na sobie męski strój i kolczugę. Widząc utkwione w niej spojrzenie Cymmerianina, zmrużyła oczy i rzekła do niego poważnym głosem:

– Pamiętaj, że jeśli się do nas przyłączysz, bez względu na to, czy jesteś szlachcicem czy dzikusiem, będziesz tylko równym wśród równych.

Odwróciła się i zniknęła w ciżbie.

Losy walki uległy błyskawicznej odmianie, ponieważ gwardziści po śmierci barona i dezercji jego rzekomego następcy stracili ochotę do walki. Conan dołączył do atakujących. Obrońcy ustępowali pola tak szybko, że przyszło mu wspiąć się na szczyt schodów, nim dotarł do walczących. Zaledwie jednak zdołał przepchnąć się między buntownikami, jego uwagę zwróciły nowe krzyki i jęki, dochodzące z parteru.

Conan przepchnął się do poręczy i ujrzał, że mieszczanie pierzchają w panice

sprzed frontowego wejścia. Na skraju ciżby wymachiwali mieczami jacyś wojownicy. Conan wychylił się, by im przyjrzeć. Sądził, że były to posiłki z miejskiego garnizonu.

– Uciekajcie! Przybyli Einarsonowie! – rozległy się wołania przerażonego tłumu. – Martwi baronowie wstali z grobów, by wypełnić swą klątwę!

XI

CIENIE PRZODKÓW

Wyglądający z galerii Conan poczuł, jak włosy stają mu dęba. Nie wątpił, że w krzykach wystraszonych buntowników kryje się prawda. Chwilę później wyraźnie zobaczył sunące między cieniami pierzchających mieszczan sylwetki wojowników w pradawnych zbrojach. Ich śmiertcionośne miecze pokrywała rdza i krew, a na karacenach z miedzianych łusek lśniła gangrenowata zieleń grynszpanu.

Byli to pogrzebani w krypcie władcy z rodu Einarsonów. Conan poczuł lodowaty dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Mistyczne opowieści o przodkach, którzy pewnego dnia zjawia się, by ująć losy prowincji w swoje ręce, okazały się prawdziwe.

Niesamowita armia pojawiła się w pełnym rynsztunku. Nie sposób było jednak stwierdzić, co kryło się pod wielowiekowymi zbrojami. Niektórzy wojownicy sprawiali wrażenie dziwnie niekompletnych, lecz wszyscy bezlitośnie wymachiwali mieczami i toporami. O potwornej skuteczności ich ataku zaświadczały trupy, zaścieleające za nimi mozaikową posadzkę.

Gdy tylko Conan pojął zagrożenie, znalazł się w jego bezpośrednim zasięgu. Za nim rozległ się okrzyk zaskoczenia. Odwróciwszy się, ujrzał, że trzech upiornych wojowników wychodzi z przyległego korytarza. Cymmerianinowi stanęły przed oczami strome schody, prowadzące z komnat Baldomera wprost do podziemi. Bez wątpienia właśnie stamtąd wymaszerowały omszałe truchła. Conan zmełł w ustach gorzkie przekleństwo, przepchnął się między pierzchającymi buntownikami i ruszył na spotkanie z przeznaczeniem.

Wysoka, groźna postać, która wyrosła przed barbarzyńcą, bez wątpienia ożyła przy pomocy czarów. Poruszała rękami i nogami w zaśniedziałej spiżowej zbroi z bezszelestną gracją owadzych odnóży. Za szparami na oczy widać było tylko niczym nie zmaconą ciemność. Długi, wyszczerbiony miecz przeciął ze świstem powietrze; Conan musiał wyteńczyć całą zręczność, by nie znaleźć się na jego drodze. Wydawało się, że pod zbroją i odzieniem niesamowitego wojownika nie ma nic, nawet kości.

Cymmerianin skoczył do przodu po ciosie zmartwychwstałego przeciwnika i wyprowadził pchnięcie w pozieleniałą napierśnik. Liczył, że zdoła go przebić, jednak rozległo się jedynie głuchoe dudnienie. Mimo potężnej siły ciosu niesamowity wojownik nawet się nie zachwiał, lecz rąbnął jakby mimochodem w odsłonięty na moment bark Cymmerianina. Conan potoczył się w bok. Rozwścieczony, ponowił atak i po chwili zdołał wbić ostrze między blachy na ramieniu i przedramieniu upiornego wojownika. Chociaż w powietrze poleciały strzępy zetlałych rzemieni, przeciwnik Conana nadal wymachiwał mieczem. Wyszczerbiona broń musnęła ucho barbarzyńcy i wgniotła naramiennik, powodując nieznośny ból.

Conan zrozumiał, że ciosy zadawane niematerialnym ciałom przeciwników są zupełnie nieskuteczne. Cała moc duchów Einarsonów skupiała się w ich mieczach. Natchnione mistyczną mocą ostrza zataczały śmiertcionośne łuki. Zbroje stanowiły wyłącznie dekorację dla broni. Wewnątrz nie kryło się nic, co podtrzymywałoby egzystencję upiórów. Cymmerianin walczył z niesamowitym przeciwnikiem, szukając sposobu powstrzymania jego ataku. Na razie mimo użycia wszystkich szermierczych umiejętności nie udało mu się złamać zaklętego ostrza.

Conan cofając się przed nacierającym upiorem spokojną częścią umysłu oceniał pogarszające się położenie buntowników. Kilku walczyło bez zapału z duchami Einarsonów na galerii, lecz wszyscy zmuszeni byli ustępować pola. Żelazna Gwardia zrazu ruszyła do walki, zakładając, że zmartwychwstali wojownicy staną po ich stronie, lecz przodkowie Einarsonów nie uznawali żadnych sprzymierzeńców. Gdy jeden z gwardzistów został dźgnięty w pachwinę zardzewiałym mieczem, towarzysze żołnierza zrozumieli, że również powinni wycofać się przed potwornymi obrońcami pałacu.

Na szczęście zaklęcie, które pozwoliło duchom Einarsonów chwycić za broń, nie zadziało wobec trupa Baldomera, leżącego kilka kroków od Conana. Pradawny czar nie objął również wspaniałego miecza barona. Broń ta, przynajmniej na razie, nie ożyła w dłoni Cymmerianina. Stanowiło to jednak niewielką pociechę, bowiem władających mieczami Einarsonów było wystarczająco wielu, by w pałacu wkrótce

nie pozostał nikt żywy. Odcięty od wyjścia razem z tuzinem buntowników, Conan powoli cofał się w stronę głównych schodów – jedynej drogi ucieczki.

– Patrz, zdrajco! – blisko za plecami Conana rozległ się piskliwy, histeryczny głos. – Ucz się, co znaczy odwieczna srogość moich ojców! – zaryzykowałszy rzut oka w tył, barbarzyńca stwierdził, że szydzącą z niego osoba jest Calissa. Córka Baldomera oderwała się od nierównego szeregu gwardzistów i zeszała do połowy schodów. Zaciskając dłonie na grubej drewnianej poręczy, przyglądała się nierównej walce jadowitym wzrokiem.

– Walcz najlepiej, jak potrafisz, Cymmerianinie, ale wiedz, że chociażbyś uciekł na swoje północne pustkowia, moi przodkowie i tak cię dopadną! Nie wymkniesz się im! – wołała z uniesieniem. – Nie dane im będzie zlec znów na wieczny spoczynek, póki nie zostanie pomszczona śmierć jedyne go dziedzica rodu Einarsonów!

Conan zrozumiał, że Calissa całkiem oszalała pod wpływem krwawych wydarzeń tej nocy, w niczym nie przypominała tej subtelnej dziewczyny, która obdarzała go pieśzcotami kilka godzin wcześniej. Na widok Calissy Cymmerianinowi ścisnęło się serce, lecz jej opętańcze krzyki sprawiły, że przyszła mu do głowy nowa myśl. Uskakując przed niezmordowanymi ciosami upiornego przeciwnika, barbarzyńca rzucił się, w stronę córki Baldomera. Dziewczyna próbowała uciec, lecz Conan zacisnął dłoń na jej nadgarstku.

– Co to ma znaczyć?! Precz ode mnie, łotrze! Chcesz uczynić mnie swoją kolejną ofiarą?!

Nie zważając na szarpaninę Calissy, Cymmerianin schował broń. Zdjął łańcuch z ciężkim amuletem i włożył go dziewczynie na szyję, walcząc z jej splątanymi rudymi włosami. Córka barona splunęła na Cymmerianina, a jej szamotanina sprawiała, że sześcioramienne talizman chlastał go wtwarz jak bicz. Conan zdołał jednak przytrzymać Calissę, aż amulet osunął się między rozchełstane koronki na jej piersiach.

Sytuacja na galerii uległa natychmiastowej i radykalnej zmianie. Posuwający się za Conanem upiorny wojownik przestał wymachiwać mieczem. Przybrawszy dumną, wyprostowaną pozę triumfatora, zawrócił w stronę schodów do podziemi. W ciągu następnej chwili jego towarzysze opuścili broń i poszyli w jego ślady. Rzut oka za balustradę pozwolił Conanowi stwierdzić, że walka na parterze również ustała.

– Co to za sztuczki?! – wykrzyczała Calissa. – Kto wpadł na pomysł, że kobieta może nosić znak barona?! Zdejmijcie to ze mnie natychmiast! – chwyciła za lśniący amulet, by zerwać go z szyi, lecz Cymmerianin skręcił ciężki łańcuch w dłoni tak, iż jeszcze jeden obrót wystarczył, by dziewczyna zaczęła się dusić. – Wracajcie, mieszkańcy podziemi! Walczcie dalej, powiadam wam! – zawołała, lecz zmartwychwstali wojownicy nie zważali na jej rozpaczliwe krzyki.

Buntownicy, którzy przeżyli niesamowitą napaść dołączyli do Conana i pomogli mu unieruchomić Calissę. Jednocześnie nie spuszczała z oka członków Żelaznej Gwardii, sprawiających wrażenie gotowych odbić dziewczynę.

Conan zaczął spiesznie wydawać instrukcje otaczającej go zbieraninie.

– Nie wolno dopuścić, żeby ściągnęła amulet z szyi! – rozkazał i związał łańcuch na delikatnym karku Calissy, mimo że dziewczyna rzucała głową na wszystkie strony. – Jego moc powstrzymuje duchy przed opuszczeniem grobowców! Dla zapobieżenia klątwie wystarczy, by żywy potomek Einarsonów nosił talizman na szyi. Wcale nie musi rządzić prowincją. Pilnujcie jej, ale nie wolno wam jej skrzywdzić, bo srogo tego pożałujecie! Niech kowal Dru jak najszybciej skróci łańcuch ćwiekiem.

Ostatni przodkowie Baldomera pokonali sztywnym krokiem wejście do podziemi. Pod galerią zaczęły rozbrzmiewać triumfalne okrzyki. Większość ludzi na parterze zapewne wzięła Conana za Faviana. Buntownicy wychwalali rzekomego panicza za przyłączenie się do nich i odwrócenie klątwy ojca, chociaż nie tak dawno chcieli wyciąć w pień cały ród. Wielu powstańców, którzy wcześniej uciekli, powróciło do pałacu. W głównej komnacie robiło się coraz bardziej tłoczno.

Buntownicy w dalszym ciągu byli rozproszeni i osłabieni. Żelazna Gwardia zapewne nie miałaby kłopotów z ich rozgromieniem, lecz ku zaskoczeniu Conana, zza obrońców pałacu wyszło kilku szlachciców ze schowaną bronią i uniesionymi na znak rozejmu pustymi dłońmi.

– Wstrzymajcie się! Chcemy pertraktować! – rozległo się wołanie. – Ktokolwiek przewodzi powstaniu, niech wyjdzie do nas!

Najważniejszymi osobami w delegacji obrońców byli marszałek Durwald i stary Lothian. W otoczeniu ostatnich szlachciców ruszyli prosto w stronę Conana,

zatrzymali się jednak dla bezpieczeństwa kilka kroków od niego. Do Cymmerianina dołączyli przywódcy buntu z Evadne na czele. Conan podszedł razem z nimi do wysłanników szlachty.

– Zanim zedrżecie sobie języki na kłamstwach i groźbach, dostojni łotrowie, wiedźcie, że zgodzimy się tylko na wasze bezwarunkowe poddanie! – powiedział szczerze, młody buntownik z krótko przyszyżonymi płowymi włosami, wyglądający bardziej na ucznia Akademii Świątynnej niż wojownika. – Prawie cały pałac jest w naszych rękach, a nasi zwolennicy stanęli do walki w całej prowincji!

Durwald, stojący w środku delegacji obrońców z hełmem w zgięciu ramienia, przyglądał wolną ręką zmierzwiłone czarne włosy, popatrzył przeciągle na młodzieńca, po czym rzekł:

– Dlaczego sądzą, że poradzicie sobie bez nas? Czyżby kasztelanowie i najmożliwsze rodziny w mieście przyrzekły wam poparcie? Czy jesteście w stanie powołać armię, zdolną do utrzymywania ładu i obrony Dinander? – nastroszył wasy w wyrazie władczej pogardy. – Czy może zamierzacie po prostu sprowadzić tu stygijskich kapłanów, by przekazać im rządy?

– Kapłanów Seta? Nie zadajemy się z czcicielami węży! – stwierdził dobitnie siwiejący na skroniach powstaniec w brązowej szacie kapłana. – Nasza partia jest wierna naukom boskiej Ulli. Słyszeliśmy, że wschodnią część prowincji ogarnęło wężowe szaleństwo, lecz niech nikt nie myli nas z tymi odstępcami!

– Zgadza się, lecz poza tym w Radzie Reform zasiadają członkowie najlepszych rodów – oświadczyła Evadne. Jej surowy ton uciszył pozostałych buntowników, którzy zaczęli mówić jeden przez drugiego. – Najlepszych nie z racji urodzenia, lecz zasług – rzuciła szlachcicom wyzywające spojrzenie. – W naszej radzie rzemieślnik jest wysłuchiwany równie uważnie jak rycerz, a chłop cieszy się takim samym szacunkiem jak kasztelan. Obejmując władzę w baronii, mamy na względzie dobro wszystkich jej mieszkańców. Nadszedł kres niesprawiedliwości i okrucieństw, które kwitły pod rządami Baldomera.

Przemowę dziewczyny skwitowały pomruki aprobaty buntowników. Udając, że tego nie zauważa, przywódczyni powstańców wsłuchiwała się bacznie w odpowiedź Durwalda:

– Dałaś dobitny wyraz swoim uczuciom, Evadne. Tego rodzaju idee jeszcze nie gościły w naszej prawomyślnej części Nemedii. Ciekawe, co pomyślą o nich baronowie z sąsiednich prowincji? Zwłaszcza czcigodni Sigmark i Ottysław... – wasy Durwalda uniosły się tym razem w wyrazie rozbawienia. – Jak myślisz, ile czasu minie, nim ci dostojni panowie rzucą przeciw Dinander ostre miecze, by położyć kres waszym mrzonkom, a sami zasiądą z jeszcze ostrzejszymi piórami do mapy, aby wykreślić nowe granice swoich baronii?

– Zapominasz o królu Laslo, do którego należy cała Nemedia! – zaprotestował jakiś czarnobrody buntownik. – Monarcha nie dopuści do zachwiania równowagi sił między prowincjami. Chronił nas przecież w przeszłości przed niesprawiedliwymi podatkami i edyktami. Jego armia w Numalii jest o wiele liczniejsza niż wojska, jakie jest w stanie zebrać którykolwiek z lokalnych władców.

– A więc chcielibyście ściągnąć nam na karki królewskie garnizony? – roześmiał się Durwald. – Jesteście gotowi je utrzymywać? Myślicie, że coś równie zawstydzającego poprawiłoby waszą dolę? A może wydaje się wam, że nieokrzesani najemnicy z południa kraju będą bardziej współczuć waszej niedoli niż rodzima Żelazna Gwardia? – marszałek pokręcił wymownie głową. – Możecie być pewni, że żołnierze króla będą panoszyć się i kraść równie bezczelnie, jak obcy najeźdźcy, a sam monarcha mianuje jakiegoś podrzędnego oficera satrapą prowincji i nada mu nieograniczoną władzę!

Wśród buntowników rozległy się gniewne pomruki i okrzyki, lecz ucichły, gdy nagle odezwał się Conan:

– Co proponujesz, marszałku?

Zanim Durwald zdążył odpowiedzieć, do dyskusji ze zdumiewającym zdecydowaniem włączył się stary, kruchy Lothian:

– Jak sądzę, mogę zasugerować coś, co przyniesie korzyść obydwu stronom. Kiedy zdecydujecie, kto będzie reprezentować powstańców, udamy się w bardziej odosobnione miejsce, by o tym porozmawiać.

Oświadczenie Lothiana sprawiło, że buntownicy zaczęli się naradzać. Mimo przebijającej z ich szeptów podejrzliwości, zdołali wybrać przedstawicieli z szybkością i jednomyślnością, która zaskoczyła Conana. Reprezentantami powstańców zostali Evadne, kapłan Ulli, brodac, dwóch innych powstańców oraz Conan, chociaż wcale o to nie zabiegał.

Obydwie grupy ruszyły do komnat Baldomera. Pierwsi weszli do nich powstańcy,

sprawdzając płazami mieczów, czy nikt nie kryje się za draperiami. Za nimi weszło sześciu szlachciców. Na zewnątrz pozostali wartownicy z obu obozów.

Lothian przeszedł powoli przez komnatę jadalną i usiadł przy stole naprzeciw drzwi. Pozostali rozstawili się pod ścianami, gotowi w każdej chwili dobyć broni.

– Cóż, czcigodni panowie i, hm, przywódcy – tego ostatniego określenia użył Lothian z wyraźnym przekąsem. – Chyba nie ulega wątpliwości, że w interesie nas wszystkich jest osiągnięcie jakiegoś kompromisu. Zapewne wiecie, że zawsze spierałem się z baronem Baldomerem co do zasadności wydawania drakońskich dekretów. Często ostrzegałem go, że jego panowanie tak właśnie może się skończyć – mędrzec rozsiadł się wygodniej na wyściełanym fotelu. – Z drugiej jednak strony, żywię niezłomne przekonanie o naturalnej wyższości arystokratycznych rządów. Jako jeden z twórców nauki o etykietce...

– Do rzeczy, radco! – ponagliła go Evadne. – Jeżeli się nie pośpieszysz, nasi zwolennicy wytną w pień gwardię oraz urzędników miejskich i nie będziesz miał się o co targować. Powiedz, jakie wspólne cele może mieć lud Dinander i jego niedawni ciemiężyciele? – zmierzyła Durwalda niechętnym wzrokiem.

– Zaraz, zaraz! Ja również sprzeciwiałem się samowolom Baldomera! – zaprotestował marszałek. – Nikt bardziej ode mnie nie nienawidzi bezcelowego okrucieństwa...

– Właśnie – wszedł mu w słowo Lothian. – Dzieli nas o wiele mniej, niż by się wydawało. Jeżeli zdołamy uzgodnić zadowalający wszystkich podział władzy...

– Stary głupiec! – przerwał mu szczupły, płowowłosy młodzieniec. – Od kiedy to władzę w Dinander dzielono inaczej, niż przy pomocy ostrza miecza?

– Należałoby zapytać, czy dzielono ją w ogóle? – uciszyła go zdecydowanie Evadne. – Powiedz mi, radco, kto powinien otrzymać tytuł barona?

– Hm, zapewne stary Eggar, kuzyn Baldomera, kasztelan na Leśnych Stawach.

– Ten pijak i utracjusz, sławny z nadużywania władzy w swoich włościach? Lud nigdy nie pogodzi się z rządami kolejnego obmierzłego tyrana – dziewczyna powiodła po pozostałych surowym, wyzywającym wzrokiem. – Nie był obecny dziś wieczór w pałacu?

– Jeżeli tak, to albo uciekł, albo zginął – odparł Durwald. – Niewielka strata. Jeżeli zastanawiasz się nad jakimś marionetkowym władcą, jestem gotów zgodzić się, że potrzebny jest ktoś łatwiejszy do przełknięcia.

– Szkoda, że Calissa jest kobietą i na dodatek postradała rozum – kapłan potrząsnął z żalem głową. – W przeszłości była głosem umiaru, lecz i tak nie można byłoby liczyć, że pogodzi się ze śmiercią ojca i brata. Z kolei obawiam się, że obecnie pozbawienie jej życia byłoby dla nas zbyt dużym ryzykiem – powiódł wzrokiem po pozostałych negocjatorach, którzy skwitowali jego słowa melancholijnymi przytaknięciami. – Trzeba będzie trzymać ją pod strażą przez resztę życia, a przynajmniej do chwili, gdy nasi święci mężowie zniweczą klątwę Einarsonów.

Ponure milczenie, które zapadło po słowach kapłana, przerwał czarnobrody buntownik.

– Jeżeli mamy obwołać kogoś baronem, niech zostanie nim jakiś młodzik, którego bez trudu będziemy mogli okiełznać, albo przynajmniej starzec nad grobem, któremu nie pozostała ani krzta ambicji!

– Nie rozumiecie, że nie trzeba daleko szukać?! – Lothian uniósł się niecierpliwie z fotela. – Mamy idealnego następcę: panicza Faviana!

– Na wypadek, gdyby zawiodły cię stare oczy, powiadam ci, że Favian nie żyje – odrzekł brodac. – Leży na podłodze swojej komnaty w kałuży zakrzepłej krwi. Sobowtór, którego dla niego wyszukaliście, okazał się porządnym chłopakiem, zabijając Baldomera i przyłączając do nas, ale Rada Reform dawno już przejrzała waszą sztuczkę.

– Bardzo dobrze to o was świadczy – Lothian przegarnął siwą brodę, wodząc po buntownikach rozbawionym spojrzeniem. – Mimo to Conan idealnie nadaje się do naszych celów. Powinniśmy odebrać przysięgę na zachowanie tajemnicy od osób, które wiedzą o istnieniu sobowtóra. Przeważająca część poddanych będzie wierna cudzoziemcowi, bowiem większość zawsze ślepo słucha tych, do których się przyzwyczaiła. Cymmerianin ma dobre serce, poza tym wiele skorzystał dzięki moim naukom.

– Ale czy lud Dinander będzie szanować Faviana – ojcobójcę? – kapłan ściągnął brwi targany moralną rozterką.

– Wiecie doskonale, że ten czyn nie odbiega od tradycji – oświadczył Durwald,

wykonując dłonią parodię dworskiego ukłonu. – Właśnie zabicie Baldomera stanowi akt zerwania z przeszłością, który pozwoli ludowi pogodzić się z panowaniem kolejnego Einarsona.

– Istotnie, chyba nie będzie trudno wmówić wszystkim, że to Favian! – podekscytowany płowowłosy młodzieniec podszedł do Conana. – Nie grozi nam, że barbarzyńca zyska rzeczywistą władzę. Wystarczy wypuścić go od czasu do czasu na paradę przed tłumem. Ponieważ pochodzi z Północy i mówi, jak gdyby miał kluski w gębie, nie będzie mu wolno otworzyć ust. Będzie baronem dla świata, dla nas służącym!

– Przystań ujadać, psie! – warknął Conan i popatrzył z ukosa na młodzika. Buntownik natychmiast pobladł i zamilkł. – Nie jestem niczym sługą i nie podoba mi się, że mam być waszą marionetką – powiódł po pozostałych groźnym spojrzeniem. – Jeżeli mam wziąć udział w tej maskaradzie, to na własnych warunkach!

– Oczywiście, Conanie, oczywiście! – Durwald złożył dłoń na ramieniu barbarzyńcy starając się uśmiechem rozładować jego niechęć. – Dopilnujemy, byś otrzymał sowitą zapłatę i by zapewniono ci godziwe warunki życia. Dla zachowania pozorów będziesz mógł dowodzić oddziałami gwardii. Natomiast nie musisz martwić się sprawami polityki. My, radcy dworu, weźmiemy to brzemień na siebie.

– Zapomniałeś dodać; pod okiem Rady Reform – rzekł ostrzegawczym tonem czarnobrody buntownik.

Zawtórowały mu pomruki aprobaty towarzyszy. Durwald uciszył ich niedbałym machnięciem ręki.

– Naturalnie. Później zajmiemy się szczegółami. Uwierzcie, że my, dworzanie, cieszymy się z kresu rządów Baldomera i jego najemnego szubrawca, Svoretty, tak samo jak wy. Dobrze też, że nie grozi nam władza niepoprawnego potomka barona. Jeśli tylko uznacie prawowite przywileje szlachty, od tej pory arystokraci i wszystkie stany Dinander mogą oczekiwać szczęśliwej przyszłości!

XII

BARBARZYŃCA SZLACHCICEM

Szytych słonecznego blasku wpadał przez szparę między zasłonami sprawiając, iż drobiny kurzu rozbłysły w mroku komnaty. Wąska smuga światła przesunęła się wolno po wymiętej, atlasowej pościeli w stronę śpiącego mężczyzny, docierając do jego twarzy.

Mruknąwszy niemrawo, Conan zawiercił się w łożu. Próbował odwrócić się od światła, lecz przetoczył się w niewłaściwą stronę. Jego noga zaplątana w pościel ześliznęła się po materacu, uderzając boleśnie goleniem o miecz. Broń w pochwie spoczywała przez całą noc obok Cymmerianina niczym wierna żona. Rozpaczliwym wymachem ręki, barbarzyńca zmiotł ze znajdującego się obok stolika szereg na wpół opróżnionych pucharów i butelek. Rozległ się brzęk tłuczonych naczyń.

Przeszywający hałas stał się źródłem nieznośnego bólu. Jęcząc, Conan usiadł z wysiłkiem na skraju łóżka. Zmrużył oczy w obronie przed rozmytym blaskiem i w końcu zorientował, gdzie się znajduje.

Była to sypialnia barona Baldomera. Wysoka, obszerna komnata kazała przypuszczać, że w zimie grasują w niej lodowate przeciągi. Poprzedniego wieczora Cymmerianin własnoręcznie wytrzepał materac i odwrócił go na drugą stronę. Mimo dołożonych starań, nocleg w wystawnej komnacie fatalnie wpłynął na samopoczucie barbarzyńcy.

Rozległo się energiczne pukanie. Conan dźwignął się z trudem na nogi i pospieszył by odryglować drzwi. Miał na sobie wyłącznie bawełnianą przepaskę. Gdy wejście stanęło otworem, rozległo się dobroduszne powitanie:

– Co słyhać, panie baronie? – do środka wszedł krępy mężczyzna o złamanym nosie, niosący tacę i bochenek chleba. – Po odgłosach domyśliłem się, że już się obudziłeś. Najwyższa pora, panie! Słońce już ślizga się po dachach! Jak się czujesz?

– Kiepsko. Mów ciszej, Rudo – Conan poczłapał z powrotem do łóżka. – Chyba zostałem otruty. Winem, które piłem zeszłej nocy...

– Winem? A owszem! – Rudo opuścił wzrok na kałużę pośród przewracanych butli. – I innymi destylatami, które ubiegłej nocy zwały się z nóg połowę miasta! – poprawił stolik i postawił na nim tacę. Potem wypatrzył porzuconą koszulę Cymmerianina i zaczął wycierać nią podłogę. – Każdy z tych trunków wykończyłby zdrowego chłopca, nie mówiąc o mieszaniu ich podczas jednej pijatyki! Doprawdy,

kusisz los, Conanie... chciałem powiedzieć, czcigodny baronie! – Rudo dokończył wycieranie parkietu, uniósł do ust kryształową karafkę i pociągnął łyk wina. – Och, daję słowo, kiedy gryźliśmy razowca w miejskim lochu, nie pomyślałbym, że zakosztuję jeszcze takiego nektaru. Muszę przyznać, że nie tylko udało ci się zrobić olśniewającą karierę, ale też nie zapomniałeś o starych przyjaciółach!

Conan masując pękającą z bólu głowę niewyraźnie mruknął coś w odpowiedzi. Udawał, że nie dostrzega, jak usługujący mu mężczyzna zgniata dyskretnie puchar z miękkiego złota i chowa go za szeroki pas jedwabnych pantalonów.

Po chwili Rudo wyszedł. Conan usiadł na łożu ze skrzyżowanymi nogami, żując śniadanie i popijając je świeżym, ciepłym mlekiem. Zadawała się takimi samymi prostymi potrawami, jakie jadł, gdy mieszkał w kwaterach służby. Mimo żartobliwego tonu wcześniejszej wypowiedzi, istotnie zakładał, że jego nowi sprzymierzeńcy mogą spróbować go otruć.

Przed Cymmerianinem rozpościerała się nieprzyjemna perspektywa przeżycia kolejnego pustego dnia. Obowiązki fałszywego barona były nieliczne i żałośnie błahe. Składały się na nie głównie parady w pełnej zbroi po blankach pałacu i krótkie „posłuchania” garstki buntowników i szlachciców, którzy w rzeczywistości sprawowali władzę w Dinander.

Conan nie sądził, by sam lepiej poradził sobie z rządem prowincją. Na razie sprawy układały się pomyślnie. Po krwawej łaźni w noc przejęcia władzy, powstańcy umocnili swój triumf, za sprawą śmierci Baldomera i niepewnego przymierza ze szlachtą. Kilku mało ważnych oficerów i urzędników, pokroju mistrza przesłuchań Fletty, zawleczono przed trybunały, skazano i połamano kołem ku uciesze mściwej gawiedzi. Paru znienawidzonych szlachciców zniknęło bez śladu. Zostali zamordowani przez zawistnych rywali lub namówieni do ukrycia się. Arystokraci nie dopuścili do osądzenia żadnego spośród siebie, obawiając się, że mogłoby to stanowić niepożądany precedens.

Propozycja rozwiązania Żelaznej Gwardii o mało nie doprowadziła do ponownego wybuchu otwartego konfliktu. Conan przedrzemał prawie całe posiedzenie, podczas którego Durwald i Evadne spierali się żarliwie w tej kwestii. Ostatecznie propozycję przyjęto, lecz nie pociągnęło to za sobą znaczących konsekwencji, pozostawiono bowiem trzon formacji i dla zachowania pozorów zmieniono jej nazwę na „Czerwone Smoki”. Oznaczało to awans kilku oficerów i nawał pracy dla Dru. Zbrojistrz miał w jak najkrótszym czasie opracować nowy wzór rynsztunku dla gwardzistów.

Barbarzyńca nie widział dla siebie żadnego zajęcia, poza upijaniem się, napełnianiem brzucha i swawoleniem z dziewczętami. Pocięszał się, że zdołał odnaleźć kilku towarzyszy więziennego buntu. Zaprosił też z powrotem do Dinander Ludię, lecz dziewczyna nie odpowiedziała na jego wezwanie. Conan podejrzewał, że jego nowi sprzymierzeńcy uniemożliwili kurierowi wykonanie zadania, gdyż nie mieli ochoty, by Cymmerianin znalazł sobie żonę i założył dynastię. W tej sytuacji barbarzyńca zaczął się zastanawiać, czy nie wyruszyć samemu na poszukiwanie dziewczyny.

Zadumę przerwała mu kolejna osoba, która zjawiała się w jego komnacie. Drugi gość znacznie przewyższał urodą garbatonosęgo Rudona. Była to Evadne w gładkiej, ściągniętej pasem tunice. Zjawiała się jak co dzień, by poinformować tytularnego władcę o najważniejszych wydarzeniach. Nagłe uniesienie głowy sprawiło, że Conanowi na nowo załomotało w obolałych skroniach, dlatego przywitał dziewczynę tylko niewyraźnym pomrukiem.

– Witaj, czcigodny panie – Evadne zmrużyła lekko oczy na widok rozebranego barbarzyńcy i zmarszczyła nos poczuwszy woń przesiąkniętej winem pościeli. – Widzę, że dochodzisz do siebie po wczorajszym wieczorze. Nigdy nie znudzisz się przysługującymi twej randze przywilejami?

Usiadła na lakierowanym zydłu w przyzwoitej odległości.

– Rzeczywiście, znużyło mnie bezcelowe dokazywanie – mruknął. – A najbardziej mam dość podsyłanych przez ciebie nierządnic z miejscowych piwiarni. Każda z nich mogłaby być moją matką. Pragnę od życia więcej, niż czerpię z niego w tym zatęchłym domostwie.

– Jeżeli nie możesz tu wytrzymać, jedź na polowanie – Evadne niedbale wzruszyła ramionami. – Możesz je zarządzić już jutro.

– Tak? Żeby leśniczy musieli znów wyciągnąć z klatek kilka oswojonych łani, a parę tuzinów zbrojnych przeklinało, że muszą dotrzymywać mi towarzysztwa? – Conan ostrożnie złożył obolałą głowę na rozpostartych dłoniach. – Nie, Evadne, gdy w młodości polowałem w Cymmerii, miało to sens i cel. Tutaj jest to próżny rytuał,

podobnie jak cała reszta.

– W takim razie zarządz ćwiczenia szermiercze na dziedzińcu pałacu. Stań do walki z trzema czy czterema gwardzistami, skoro musisz narażać życie, żeby się nim nacieszyć – zniechęcona machnęła ręką i wstała. – Możesz znaleźć sobie mnóstwo zajęć. Każdy prostaczek z Dinander oddałby prawą rękę, by znaleźć się na twoim miejscu. Muszę przyznać, że nudzi mnie nieustanne dbanie, by nasz baron miał zabawę!

– W takim razie dlaczego zawracasz sobie tym głowę, Evadne? – Conan podparł podbródek dłonią i po raz pierwszy spojrzął na kobietę. – Po co się wysilasz? Wyznaczono cię na moją niankę, by mieć pewność, że nie zrezygnuję z udawania szlachcica?

– To najmniejsze z moich zmartwień. Doskonale odgrywasz zdegenerowanego arystokratę – przywódczyni buntowników potrząsnęła złocistymi lokami i przysiadła z powrotem na skraju zydlu. – Pamiętaj, że młody rząd naszej prowincji składa się z wielu... hm, niedobrych osób. Ty i biedna, szalona Calissa stanowicie jego najsłabsze ogniwa. Ktoś musi wziąć za was odpowiedzialność.

– Właśnie, co z Calissą? – czując nagły przypływ smutku Conan spuścił wzrok z Evadne. – Wciąż krzyczy i rzuca się w pęta?

– Już nie. Przestała nawet próbować zerwać amulet z szyi, a jej otarcia zaczęły się goić. Może już swobodnie poruszać się po swojej komnacie, lecz ktoś stale czuwa przy niej, by nie powiesiła się na łańcuchu. Przestała bredzić... – Evadne uśmiechnęła się blado. – Prawdę mówiąc, przestała się w ogóle odzywać.

– Hm. Bardzo dogodna okoliczność dla nas, ale przykra, jak sądzę, dla Calissy – Conan westchnął ze współczuciem. – Zastanawiam się czasem, czy moje położenie jest chociaż odrobinę lepsze od jej niedoli?

– Bzdury! – zirytowana Evadne przyjrzała się bacznie Conanowi. – Jeżeli postanowiłbyś porzucić Dinander własnemu losowi i zrzec się złotych drachm, które z każdym dniem gromadzą się w twoim skarbcu, trudno byłoby nam cię powstrzymać.

– Ale staralibyście się to zrobić, prawda? – Conan uśmiechnął się posepnie, nie odrywając spojrzenia od przywódczyni buntowników. – Dlatego właśnie nachodzisz mnie w tej komnacie? Temu ma służyć sztylet ukryty na twoim udzie? – spuścił stopy na podłogę. – Zastanawiam się, czy tę samą broń zabrałaś na spotkanie z Favianem?

– Przestań! Za nic nie chciałabym być zmuszona do jego użycia! – pobladła Evadne zerwała się na równe nogi. – Ostrzegam cię jednak, dla dobra naszej prowincji jestem gotowa na wszystko! Do tej pory nieźle wywiązywałeś się ze swoich zadań, dlatego zasłużyłeś sobie na pewne względy. Pamiętaj jednak, że mają one granice!

– Tak myślałam – Conan wstał płynnym ruchem i podszedł do dziewczyny. W jego ruchach nie widać było najmniejszych oznak złego samopoczucia. – Doskonale cię rozumiem. Oboje jesteśmy urodzonymi zabójcami, więc nie musimy tracić czasu na daremne swary, Evadne – wyciągnął ku niej rękę. – Słyszałem, że twoje małżeństwo było tylko częścią spisku?

– Nie! – dziewczyna cofnęła się w stronę drzwi. – Nie jestem karczemną ladacznicą na twoje usługi! Nie zamierzam też być twoją kolejną zdobyczą. Mam znacznie ważniejsze zajęcia w pałacu – rzuciła Cymmerianinowi wrogie spojrzenie. – Nieważne, czy mój ślub był tylko wybiegiem. Nigdy się tego nie dowiesz, bo mój mąż zginął jako jeden z pierwszych z rąk gwardzistów Baldomera – nim dotarła do drzwi, odwróciła się i ukłoniła. – Życzę udanego dnia, czcigodny panie!

Conan został sam. Na nowo ogarnęła go melancholia. Powlókł się z powrotem do łóżka i usiadł na nim ciężko. Przez chwilę z roztargnieniem wodził dłonią po zastawionej jedzeniem i trunkami tacy, po czym nagle przewrócił cały stół. Gdy przebrzmiał łoskot spadającej zastawy, Cymmerianin osunął się na pościel i przyklnął oczy.

Nie wiedział ile czasu minęło, nim drzwi otworzyły się raz jeszcze. Mogły być to minuty lub całe godziny. Wsparł się na łokciu czując teraz nieco raźniej. Zacisnąwszy dłoń na rękojeści miecza pod kołdrą, patrzył, jak do środka wchodzi Evadne w towarzystwie Durwalda.

– Witaj, Favianie. – Wszak jesteś i będziesz nim nadal, nieprawdaż? – rzucił z szorstką ironią marszałek. – Cieszę się, że tak dobrze odgrywasz tę rolę. Masz już trochę za długie włosy, ale czy to ważne, skoro nie można już porównać cię z

żywym pierwowzorem? – szlachcic zatrzymał się kilka kroków przed szczątkami stołowej zastawy. – Mam nadzieję, że doszedłeś już do siebie po uciechach zeszłej nocy? Czeką nas zadanie, przy którym będziesz musiał wyteńczyć cały swój rozum i przebiegłość.

– Służba grzeje wodę – dodała Evadne. – Sądzę, że kąpiel i ubranie się nie zabiorą ci wiele czasu.

– Cóż to za okazja? – Conan odgarnął sprzed oczu grzywę czarnych włosów. – Czyżby jakieś niewinne dziewczę wstępowało właśnie w stan małżeński i pałało pragnieniem schadzki z panem tego pałacu?

Evadne zeszytniała, lecz Durwald uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Zjawili się kurierzy naszych sąsiadów. Baronowie wysyłają zbrojną ekspedycję na zachód, przeciw czcicielom węży. Liczą, że ich wesprzemy.

– Przeciwko czcicielom węży, powiadasz? To podstęp! – Conan wyskoczył z łoża i wyciągnął miecz spod pościeli. – Sądzę, że dostojni sąsiedzi chcą wykorzystać naszą słabość, tak jak przewidywaliście. Przygotujemy miasto do oblężenia, czy zetrzemy się z nimi na równinie?

– Nie kwap się tak do boju, miły panie! – Durwald cierpliwie pokręcił głową. – Baronowie na pewno wiedzą o zmianie władzy w Dinander. Bez wątplenia mają ochotę sprawdzić naszą siłę i wy badać, czy rząd prowincji jest w stanie utrzymać swoje ziemie, ale założę się, że podali nam prawdziwy cel wyprawy – marszałek przysiadł na skraju szerokiego biurka, skrzyżował ramiona na piersi i kontynuował z powagą: – Szerzący się na wschodzie kult stanowi dla nich nieznośne utrapienie. Czcciele węży zaczęli już nękać północne krańce włości Ottysława, dlatego baron zwrócił się z prośbą o wsparcie do swojego przyjaciela, Sigmarka. Teraz obaj przybywają do Dinander. Mamy okazję udowodnić im, iż po pierwsze nic nas nie łączy z tym opętańczym kultem, a poza tym pewnie sprawujemy władzę w prowincji i jesteśmy zdecydowani bronić naszych ziem.

W trakcie przemowy Durwalda Rudo przyniósł miednicę i świeży ręcznik. Conan na długą chwilę wsadził głowę w misę, po czym jak pies otrząsnął mokre włosy, ochlapując zaskoczonych gości.

– Skoro ci baronowie są tak zachłanni, jak powiadacie, może powinniśmy połączyć siły z czcicielami węży?

– Stanąc po stronie wyznawców Seta? – Evadne rzuciła mu pełne wstrętu spojrzenie. – Cona... dostojny panie, z politycznego punktu widzenia byłoby to fatalne posunięcie.

– Cóż z ciebie za buntowniczką? Skoro tylko dobrałaś się do władzy, gotowa jesteś wystąpić z bronią przeciw innym powstańcom! – Conan z wigorem ochlapał pierś i wytarł się ręcznikiem. – Jeżeli baronom uda się namówić was do wystąpienia przeciw tamtejszej ludności, mają zwycięstwo w kieszeni.

– Doprawdy, ten kult jest odrażający, panie baronie – Durwald wyrzekł fałszywy tytuł Conana z szyderczą emfazą. – Moim zdaniem, jego członkowie nie zasługują nawet na miano istot ludzkich. Przypomnij sobie tego, którego przesłuchiwaaliśmy w zamku kasztelana Ulfa.

– Zaręczam, że to prawda – zawtórowała marszałkowi Evadne. – Kiedy wyjechaliśmy na wschód, by zastawić pułapkę na świtę Baldomera, trafiliśmy na dolinę spustoszoną przez czcicieli węży. To nie wiara, lecz zaraza, która będzie panoszyć się dopóty, dopóki ktoś nie powstrzyma jej siłą!

Evadne spuściła wzrok, może by ukryć swoje emocje, a może dlatego, iż Conan przystąpił do mycia reszty ciała.

– Cóż, tak musi być w istocie, skoro oboje zdołaliście dojść do porozumienia – Cymmerianin zaczął się energicznie wycierać. – Co mam zrobić, by zadowolić dostojnych baronów? Czy poznają, że nie jestem Favianem?

Durwald pokręcił głową.

– Stosunki między naszymi prowincjami były ostatnio chłodne. Sądzę, że żaden członek ich świt nie widział Faviana przez co najmniej dziesięć lat – marszałek udawał bez troskę, by natchnąć barbarzyńcę pewnością siebie. – Do Ottysława i Sigmarka z pewnością dotarły sprzeczne pogłoski. Jeżeli więc zachowasz się spokojnie i stanowczo, nie powinniśmy mieć najmniejszych kłopotów.

– Pamiętaj o zasadach etykiety, których cię nauczono – dodała Evadne. – Poza tym będzie cię chronić liczna straż.

– My będziemy mówić w twoim imieniu, jako doradcy – podkreślił Durwald. – Wątpię, by nasi goście oczekiwali po młodym dziedzicu bystrości doświadczonego męża stanu.

– Przygotowujemy Salę Sejmikową – dorzuciła Evadne. – Przybycia baronów

spodziewamy się o zmierzchu. Teraz musimy zebrać radę. Trzeba jeszcze przedyskutować wiele spraw.

Salę Sejmikową pałacu oświetlał żółty blask świec. Szlachta i oficerowie zasiedli przy stołach zastawionych dzbanami jęczmiennego piwa, mięsiami i bochnami chleba. Brak było wystawności, cechującej ucztę wydawane przez Baldomera. Na skąpiej oświetlonej galerii zalegały gęste cienie. Zamierzano wyrzucić na gościach wrażenie siły i zdecydowania. W tym celu zebrany na dziedzińcu tłum mieszczan witał przybyszów gromkimi okrzykami, doradcy, łącznie ze starym Lothianem, nosili wojskowe stroje, a gwardziści pełniący straż pod ścianami komnaty, przy każdej zmianie warty dawali pokaz perfekcyjnie opanowanej musztry.

Goszczący w pałacu baronowie nie okazywali, że starania gospodarzy czynią na nich jakiegokolwiek wrażenie. Niski i szczupły Sigmark, o pełnych okrucieństwa przystojnych rysach, zmarszczył z niesmakiem orli nos na widok potraw i resztę wieczoru spędził wodząc po obecnych cynicznym spojrzeniem ciemnych oczu. Ottysław, łysy wojak, ustrojony w pyszne futra i złote łańcuchy, czerpał obficie i bez wyboru ze wszystkich znajdujących się w jego zasięgu półmisek i dzbanów, lecz gdy zwracano się doń, odpowiadał nieodmiennie pogardliwymi prychnięciami i nieprzyjemnym uśmiechem.

Przyjrząwszy się zachowaniu baronów, Conan uznał, że w tej sytuacji nikt nie może wymagać od niego eleganckich manier. Po bokach Cymmerianina siedzieli Durwald i Evadne, dalej pozostali doradcy, tak iż istniała nikła szansa, by ktoś zwrócił się do niego z jakimkolwiek pytaniem. Cymmerianin zrazu udawał niezmiernie zainteresowanie jedzeniem i piciem, później z miną cierpiętnika znosił nie kończącą się paradę tańców ludowych, którą to wåtpliwą rozrywką przywódcy buntowników uraczyli gości.

Gdy w końcu krzykliwi wieśniacy opuścili komnatę, rozpoczęła się dyskusja o zbrojnej wyprawie na wschód. Ponurzy marszałkowie baronów zwięźle scharakteryzowali cel ekspedycji. Okazało się, że zamierzali ni mniej ni więcej, jak doszczętnie wytępić buntowników i wycofać się na zachód, nim pierwsze śniegi zamienią drogi w błoto. Dowódcy odpowiadali następnie na pytania gospodarzy. Z początku lakoniczne wypowiedzi przybyszów pełne były nieprzychylnych podejrzeń, że władze Dinander popierają czcicieli węży. Protesty gospodarzy sprawiły, że goście szybko zmienili taktykę, domagając się militarnego wsparcia wyprawy.

W trakcie narady Durwald, Evadne i Lothian co chwila udawali, że muszą zapytać o zdanie swojego suwerena. Chociaż Conanowi z trudem przychodziło śledzić wątki ich rozumowania, nie zapominał jednak, by kiwać głową i mamrotać pod nosem dla zachowania pozorów.

Gdy przystąpiono do omawiania zasad współdziałania w wyprawie, dyskusja stała się jeszcze bardziej zażarta. Evadne i Lothian krążyli wokół stołu, by zwracać się bezpośrednio do przybyłych możnowładców. W pewnej chwili rozległ się okrzyk bólu i Conan niespokojnie spojrział w drugi koniec stołu. To Evadne bezlitośnie wygięła kciuk Ottysława, odrywając jego rękę od swojego poślodka. Nazbyt śmiały baron zerwał się z miejsca, wykrzykując żałośnie brzmiące groźby. Dworzanie otoczyli swego pana ciasnym kręgiem, lecz nagły, szyderczy chichot przerwał wybuch Ottysława. Śmiał się Sigmark trąc dłonią ostry podbródek.

Drobny arystokrata najwyraźniej znudził się usługami niezliczonych pośredników, z których żaden nie miał prawa samodzielnego podejmowania decyzji. Nachylił się nad stołem i zwrócił do Conana:

– Mam dość tej paplaniny, czcigodny Favianie! Daj nam dziesięć kompanii, ani jednej więcej, ani jednej mniej. Wiemy obaj, że ten obmierzły bunt wziął początek w głębi waszej niespokojnej prowincji. Dziesięć pełnych kompanii... – powiódł pogardliwym wzrokiem po zgromadzonych przy nim adiutantach – ...o ile pozwolą na to twoi aż nazbyt troskliwi doradcy!

– Zgoda!

Conan zdecydowanie pokiwał głową, nim ktokolwiek zdołał mu przeszkodzić. Wzniósł kufel z piwem w toaście, nie zwracając uwagi na nerwowe szepty za plecami.

– Doskonale! – Sigmark również zakołysał kuflem wysoko w powietrzu i wypił za zawarcie umowy. – Dzięki twojej pomocy przepędzimy heretycką zarazę z powrotem na bagna Varakiel! Czekają nas wyborne łowy! – odstawił naczynie i uśmiechnął się chytrze. – Powiedz, czcigodny baronie, będziesz nam towarzyszyć?

– O nie, dostojny panie! – tym razem pierwsza zareagowała Evadne. – Nasz

suweryn żałuje, ale w tych wyjątkowych dniach musi pozostać w Dinander. Wojskami będzie dowodzić za niego marszałek Durwald.

Conan usłyszał jednak z ust Sigmarka znajome słowo. Wszak z okolic Varakiel pochodziła Ludia...

– Nie, poprowadzę je sam! – zagrział i nie licząc się z dyplomacją rąbnął pustym pucharem o stół, po czym zawołał do zaskoczonych oficerów gwardii: – Przekażcie waszym oddziałom, że wyruszamy jutro o świcie!

XIII

WYPRAWA DO PIEKŁA

Poczerwieniałe od sadzy mury i zrujnowane wieżycy zamku Edram pięły się ku niebu jak próchniejące kły. Zawalony środek twierdzy stanowił nieprzenikniony, pograżony w ciemnościach labirynt. Ponure wrażenie pogłębiał przez kontrast jaskrawy błękit nieba w górze. Zniszczenia zamku dokonano kilka dni temu. Płomienie wygasły i kłęby dymu rozwiały się, lecz zastały odór wilgotnego, spalonego drewna wiercił wciąż w nozdrzach.

– Zamek kasztelana Ulfa spotkał podobny los, jak tę nieszczęsną wieś w górze rzeki – mruknął Conan do Evadne. – Nie mogę winić za to czcicieli węży. Sam miałem ochotę puścić go z dymem... a mimo to nie mogę wyjść z podziwu. Spodziewałbym się raczej, że horda powstańców zajmie zamek i wykorzysta go do obrony doliny – zatrzymał się przy kamiennym podjeździe i powiódł wzrokiem po rozwalonym murze, którego odłamy spoczywały w zarośniętym trzcinami bagnie. – Dzięki temu zdołaliby opierać się nam przez wiele dni.

Odziana w kolczugę Evadne ruszyła drogą.

– Mówiłam ci, że to nie bunt, ale zaraza! – rzuciła przez ramię. – Czciciele węży sięją zamęt, gdziekolwiek się znajdują. Mamy szczęście, że zwalili tylko jedno przęsło mostu.

Conan rzucił okiem na trakt. Połączone wojska przeprowadzały się właśnie przez zrujnowany most po rozłożonych na linach, osmalonych deskach, wygrzebanych w ruinach zamku. Pod ziejącą w moście dziurą widniał spieniony nurt rzeki. Podczas gdy reszta kolumny wyczekiwała w szyku marszowym, dwójki żołnierzy powoli i ostrożnie przeprowadzały wozy na drugą stronę.

U zbiegu dróg, tuż przed zwałoną bramą zamku, drobny Sigmark kreślił mapę na kawałku deski. Drugi szlachcic, Ottysław, pod pobliskim murem grał w kości z jednym ze swoich oficerów. Arystokrata pomagał sobie w grze potoczystymi i szpetnymi przekleństwami. Gdy Conan mijał baronów Sigmark podniósł głowę.

– Myślę, że na razie nic nam nie grozi, czcigodny Favianie. Uważam, że powinniśmy zachować dotychczasowy szyk marszowy.

Wydawszy pomruk aprobaty, Conan wskoczył na rydwan. Poczuli, że Evadne wsiada i staje obok niego. Cymmerianin ujął lejce i zamaszystym gestem dał znak do wymarszu. Dziewczyna przegarnęła włosy za ramię i stwierdziła półgłosem:

– Jak zwykle, twoi bracia – baronowie nie kwapią się jechać przodem.

– Owszem – Conan odczekał aż tuzin jeźdźców, stanowiących jego osobistą straż, ruszy z miejsca. – Cieszę się, że nie muszę dotrzymywać im towarzystwa i odgrywać skazanej na niepowodzenie komedii. Przypadł mi za to zaszczyt prowadzenia kolumny.

Zręcznie ciągnąc za lejce, skierował rydwan na środek traktu przed zbierającą się do drogi piechotę z Dinander. Prowadzili ją Rudo i inni towarzysze Cymmerianina z lochów. Gdy ich mijał, rozległy się skąpe owacje na cześć rzekomego Faviana.

– Zaiste, wielki zaszczyt! – zaśmiała się cynicznie Evadne. – Pytanie brzmi, czy możemy ufać posuwającym się za nami łobuzom? Jak szybko tyły kolumny włączą się do walki, kiedy jej czoło zetrze się z nieprzyjacielem? I w kogo ugodzą ostrza wojsk Ottysława i Sigmarka. We wspólnego nieprzyjaciela czy w nas samych? – potrząsnęła głową z goryczą. – Wspólna wyprawa stwarza im okazję do złamania zbrojnej potęgi Dinander!

– Mówiłem to samo – burknął Conan poprawiając rękojeść broni przy boku. – Nie obawiaj się, jeżeli ci hultaje spróbują mnie zdradzić, jednym pchnięciem nadzieję ich obu na ostrze miecza!

– Jeszcze bardziej niepokoi mnie sytuacja w stolicy prowincji. Obawiam się o losy naszego przymierza ze szlachtą. Sam wiesz, jak bardzo jest chwiejne – Evadne kontynuowała rozważania, nie zwracając uwagi na przechwałki Cymmerianina. Ponieważ rydwan nabierał szybkości, zacisnęła silniej dłoń na poręczy. – Durwald

ma posłuch u wystarczająco dużej części byłej Żelaznej Gwardii, by zawładnąć pałacem i obwołać się baronem, jeśli wpadnie na taki pomysł. Oby moi towarzysze wykazali dosyć siły, aby położyć tamę jego ambicjom i powstrzymać go przed zaprzepaszczeniem wszystkich reform.

– W takim razie pozwól, że zapytam cię, dlaczego zdecydowałaś się przyłączyć do mnie i opuścić Dinander? – Conan oderwał wzrok od drogi, by spojrzeć na oblicze kobiety. Pęd powietrza poruszał najdłuższe pasma jej jasnych włosów. – Marszałek miał dużą ochotę wziąć udział w tej wyprawie, dopóki go nie zniechęciłaś.

– Naprawdę sądzisz, że pozwoliłabym wam obu dogadać się na osobności z parą naszych podstępnych sąsiadów? – Evadne zwróciła ku niemu lodowaty wzrok. – Ryzykowalibyśmy za wiele naraz: bezpieczeństwo prowincji, naszego wojska i fałszywego dziedzica Baldomera! – uniosła zdecydowanie podbródek. – Jeżeli bogowie pozwolą, dopilnuję, byśmy wszyscy wrócili bezpiecznie do Dinander – obejrzała się za siebie. – Zwłaszcza ty, dla dobra całej prowincji. Poza tym, Conanie, co ciebie skłoniło do ruszenia na zbrojną wyprawę? – Evadne przyjrzała się swojemu towarzyszowi kątem oka. – Och, wiem, że Cymmerianie rwą się do walki bardziej niż pszczoła do miodu... Czuję jednak inny, ukryty motyw. Czyżbyś żywił własne ambicje?

Chociaż barbarzyńca z Pomocy wzruszył ramionami z przesadną beztrąską, po Evadne nie było widać, czy to zauważyła.

– Cóż, kobieto, jeszcze dzień życia w tym stoczonym przez robaki pałacu, a zwariowałbym tak samo, jak biedna Calissa! – powiedział. – Lepiej stawiać czoło kosztu, lepiej szczezną na bagnach Varakiel, niż próżnować w atlasach.

– Rozumiem – Evadne popatrzyła sceptycznie na Cymmerianina. – Być może na swój prosty, barbarzyński sposób czujesz, jak bardzo losy bitwy mogą zależeć od twoich nieokrzyszanych wrzasków! – poderwała od niego wzrok i rozsiadła się wygodniej na desce woźnicy. – Cóż, Conanie, zbyt beztrąsko przypisujesz sobie władzę barona – odezwała się wreszcie. – Nieważne, że jesteś odważny i doskonale wyglądasz na czele kolumny wojsk. Nie jesteś doświadczonym dowódcą. Nie powinieneś wrywać się z rozkazywaniem i słuchać moich rad. Zwłaszcza, że niedługo wjedziemy w las.

Kobieta wyciągnęła dłoń. Trakt omijał znajdujące się przed nimi wzgórze, zbiegał na niską równinę i wił się między kępami drzew.

– Wiem, Evadne. Zapolowałaś na mnie ze swoimi buntownikami w podobnej okolicy. Nie mam ochoty powtarzać tego błędu – Conan gwizdnał i zamachał szeroko ręką. Ściągnął lejce, czekając, aż oficerowie straży przedniej i piechoty przekażą jego sygnał. Nim jego doradczyni zdążyła się odezwać, Cymmerianin sam zwrócił się do oficera konnicy: – Wyślijcie dwóch zwiadowców w las po obu stronach i dwóch następnych na trakt. Niech zagrają na alarm, jeżeli natkną się na wroga.

Oficerowie ruszyli wykonać rozkaz, a Evadne potrząsnęła ze zdumieniem głową i upomniała szeptem Cymmerianina:

– Poczynasz sobie zbyt śmiało! Przez twoją wymowę wszyscy przekonają się, że jesteś jedynie sobowtórem Faviana! Plotki tej treści już nadwątłają ducha naszych wojsk!

– Lepiej, by żołnierze uwierzyli w to teraz, niż podczas bitwy! – Conan wzruszył ramionami.

Kolumna czekała, aż zwiadowcy znajdą się w przodzie. Z tyłu rozległ się tętent kopyt. Odwróciwszy się, Conan i Evadne ujrzeli, że Sigmark i Ottysław podjeżdżają ku nim stępą w towarzystwie czwórki uzbrojonych po zęby żołnierzy.

– A cóż to za nowa zwłoka, baronie? – zapytał wyniośle Sigmark, mierząc Conana wzgardliwym spojrzeniem. Mimo, iż baron nie zsiadał z konia, jedynie nieznacznie górował nad stojącym w rydwanie Cymmerianinem. – Straciliśmy dość czasu na przeprawę przez rzekę!

– Możemy stracić resztę dni, które zostały nam na tym padole, jeżeli w lesie wpadniemy w pułapkę – pośpieszyła z odpowiedzią Evadne.

– Ha! – doskonale widoczny zza drobniejszego szlachcica Ottysław nie krępował się z wyrażeniem swojego zdania: – Obawy nie powinny zbyt powstrzymywać człowieka przed działaniem, moja złotogłowa! – poruszył wąsami, dając do zrozumienia, co myśli o tchórzostwie. – I tak wcześniej czy później będziemy musieli stawić czoło nieprzyjacielowi. Dlaczego nie polecisz swojemu panu, by nie tracił czasu na...

– To ja zarządziłem postój! – wtrącił Conan, przestając nad sobą panować. –

Jako dowódca mam do tego prawo. Jeżeli nie odpowiada wam tempo, w jakim się posuwamy, nie bronię wam przejechać ze swoimi wojskami na czoło kolumny.

– O nie, baronie... o ile w ogóle nim jesteś – Sigmark spojrział na młodzieńca, jak gdyby ujrzał go po raz pierwszy w życiu. – Nie ma sensu burzyć szyku. Pozostawiam decydowanie o tempie marszu tobie i twojej uroczej, hm, doradczyni. Pamiętaj jednak, podczas bitwy to nasze decyzje będą rozstrzygające, ponieważ nosimy tytuły dłużej od ciebie – arystokrata rozparł się wdzięcznie w siodle i utkwiał w Evadne bezczelne spojrzenie. – Pani, władze Dinander są świeże, a podejmowane przez nie decyzje nieco, hm, nietypowe. Mimo to obowiązują was tradycje królestwa Nemedii, dzięki którym wszystkie dzielnice harmonijnie współzysją ze sobą.

– Nie zawsze – poprawiła go Evadne. – Na przykład wówczas, gdy twój ojciec zebrał armię na wzgórzach Sharken, by zająć zachodnią część prowincji Dinander, i trzeba było odeprzeć ją siłą. Albo wówczas, gdy sam próbowałeś zająć Ruthalię, dopóki król Iaslo nie zabronił tego specjalnym edyktem.

– Szanowna pani...

Conan dał znak kolumnie do wznowienia marszu, co przerwało protesty Sigmarka. Gdy rydwan ruszył z miejsca, baron spał konia ostrogą, nie chcąc zostać z tyłu. Podobnie uczynił dosiadający cięższego wierzchowca Ottysław.

– Jeżeli chcesz cytować nam kroniki zatargów między baroniami, nie zapominaj o niesprawiedliwościach i przewinach, którymi mógłbym obciążyć twoją prowincję – podjął gładko Sigmark. – Niewątpliwie tak samo jest z moim przyjacielem – arystokrata skinieniem głowy wskazał Ottysława. – W takich sprawach należy rozważać raczej obydwu stron. Nie sądzę, by w interesie rządu tak młodego i, hm, niepewnego, było rozgrzebywanie zadawnionych waśni.

– Istotnie, nie zależy nam na kłótniach, baronie – odparła oziębłe Evadne. – Zamierzamy być spokojnymi sąsiadami i nie wywoływać zatargów. Mówię oczywiście w imieniu mojego suwerena – skłoniła się sztywno Conanowi, który powoził zaprzęgiem, pozornie nie zwracając uwagi na rozmowę. – Baron Favian jest władcą spoglądającym w przyszłość. Nie zależy mu na odkurzaniu dawnych sporów.

– Zdążyłem zauważyć – Sigmark kiwnął głową z ironią. – Nowy władca Dinander niezbyt przejmuje się przeszłością waszej prowincji, gdyż łączy ją z nią wyjątkowo luźne więzy – wykazując się jeździeckim kunsztem, zjadliwie uprzejmy baron prowadził swego wierzchowca tuż obok wirującego koła podskakującego na nierównościach rydwanu. – Chciałbym wam jednak złożyć pewną ofertę. Zaufani ludzie donieśli mi, iż waszym dworem targają liczne podziały i utarczki o rozmaite drobiazgi. Być może ze względu na niedoświadczenie w sprawowaniu władzy. Chciałbym wraz z Ottysławem zapewnić, iż zawsze możecie zwrócić się do nas o zbrojne wsparcie, jeśli wewnętrzne spory urosną do nieznośnych rozmiarów. Powinniście wiedzieć, iż nasze głosy liczą się poza granicami naszych prowincji, a podległe nam wojska gotowe są wspomóc zagrożonych braci w klejnotach szlacheckich wszędzie tam, gdzie występuje pilna i, hm, płynąca z głębi serca potrzeba.

– W imieniu barona Faviana składam ci tysięczne dzięki, panie – Evadne skłoniła się kurtuazyjnie jeźdźcowi. – Sądzę jednak, iż minie wiele czasu, nim ktokolwiek w Dinander odczuje taką potrzebę, a tym bardziej poprosi o wsparcie. Naszą główną troską, podobnie jak waszą, jest szerzący się kult czcicieli węży. Dlatego właśnie poparliśmy wasze zamiary. Nasza prowincja zawsze unikała zadawania się z gadami – kobieta rzuciła Sigmarkowi szyderczy uśmiešek. – Gdy tylko rozprawimy się z zagrożeniem, powrócimy do Dinander, by uczynić tę prowincję silną i niezależną.

– Ha! Jak na osobę słabej płci, mówisz pani z wielką stanowczością! – wtrącił Ottysław z ironiczną aprobatą. – Twój suweren ma szczęście, iż go ochraniaasz.

– Istotnie, jestem tylko kobietą – odparła Evadne z takim samym sarkazmem. – Ten sam błąd popełniło w przeszłości wielu moich przeciwników. Zapomnieli, że niewieścia dłoń może nie tylko przasać na kądzieli, ale także naciągać cięciwę łuku.

Kilka kolejnych mil drogi minęło Evadne na zręcznym odpieraniu pogroźek i dwuznacznych komplementów barona Sigmarka oraz jego roślejszego kompana o mniej wyrafinowanej naturze. Gdy dwaj arystokraci znużyli się wreszcie dyskusją i cofnęli od czoła kolumny, Conan pozwolił sobie wyśmiać ich daremne wysiłki. W odpowiedzi Evadne zwróciła się przeciw niemu z gwałtownością, której oszczędziła władcom ościennych prowincji.

– Ciemny barbarzyńco, musiałeś otwierać gębę w ich obecności?! Cieszysz się z

ujawnienia tym krętaczom, że nie jesteś tym, za kogo się podajesz? Nie rozumiesz, że to wyrafinowani przeciwnicy, knujący naszą zgubę na tuzin lat naprzód? – kobieta chwyciła za skraj pancerza przy szyi fałszywego barona i zaczęła potrząsać nim z niepohamowanym gniewem. – Powinnam była domyślić się, że nie nadajesz się do naszych celów! – ku zaskoczeniu Cymmerianina, w oczach Evadne zalśniły łzy gniewu. – Cóż, baronie Conanie, mam nadzieję, że zdołałeś nasycić swą barbarzyńską pychę. Właśnie zadałeś mojemu rodzinnemu miastu śmiertelny cios!

Jechali dalej w milczeniu, nie tylko ze względu na rozgoryczenie Evadne. Krajobraz przed nimi zmienił się radykalnie. Dolina rozszerzała się, przechodząc w żyzną równinę, z której zbierały wodę dwie dziesiątki rzek zasilających bagna Varakiel.

Niebo nabrało upiornej, brunatnoceglastej barwy. Była to opończa dymu. Jej gęstość i rozmiary świadczyły o wielkich spustoszeniach dokonanych przed wędrującą kolumną. Złowieszcza zasłona zakrywała całą wschodnią stronę nieboskłonu. Nad powłoką dymu skupiły się spiętrzone burzowe chmury. Conan pomyślał, że miedzianej barwy monstra przybyły tu na gody ze zrodzonymi pod gwiazdami mrocznymi zjawami. Tu i ówdzie spodnią stronę chmur znaczyły wiry ciemniejszego dymu, wzbijające się z odległych pożarów. Sądząc po ich obfitości, pożoga obejmowała całe wioski i lasy. Czyciele węży zaiste okazywali się siewcami wielkiego spustoszenia.

Oznaki upadku widać było również w bezpośrednim sąsiedztwie traktu. Przed przeprawą przez rzekę Urlaub, wyprawa minęła sporo zamieszkanymi osadami i samotnie stojącymi chatami.

Chociaż mieszkańcy tych sadyb byli brudni i obszarpani, plony ubogie, a zwierzyzna domowa karłowata i wychudzona, można było domyślić się, że przed przemarszem armii ukryto w zaroślach lepszy dobytek oraz kobiety. Jednakże w niżej położonych okolicach za mostem widać było tylko strawione przez ogień ruiny, osmalone zagajniki i sady oraz wydeptane i systematycznie ogołoczone z plonów pola. Widok zniszczeń ciążył na sercach żołnierzy, podobnie jak świadomość, że od tej pory będą musieli polegać wyłącznie na wiezionych w taborach zapasach.

– Gdzie, na Croma, są trupy? – zapytał w końcu Conan, przerywając milczenie panujące między nim a Evadne. – W zamku Edram sądziłem, że wrzucono je do rzeki, lecz tu nie widzę ani jednej mogiły, ani jednego szkieletu, ani jednej gnijącej, zaszlachtowanej sztuki bydła!

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Krążą opowieści, iż podczas poprzednich napadów tego szaleństwa, wszyscy, od niemowląt po starców, byli nawracani na nową wiarę i zabierani z domów, by służyć wielkiemu prorokowi. Lud powiada, że rzadko można spotkać człowieka, zdolnego oprzeć się woli wielkiego Seta – mówiła Evadne znużonym, pozbawionym emocji głosem, utkwivszy wzrok w złowieszczym widnokręgu. – Nie wiem, czy wyznawcy zła spustoszyli te ziemie, by pozbawić nas zaopatrzenia, czy po to, by uniemożliwić dezercję z własnych szeregów. Wiadomo jest, iż w przeszłości postępowali identycznie, lecz do tej pory nie chciałam dać wiary tym okropnym opowieściom. Możesz sobie wyobrazić, z czym przyjdzie się nam zmierzyć – w niesamowitym półmroku jej stwierdzenie zabrzmiało posępnie i proroczo. – To nie obszarpana banda heretyków, trawiona religijnym zaślepieniem! Cała ludność prowincji zjednoczyła się pod bronią. Nie zostało jej nic do stracenia. Zaczynam wątpić, czy mamy szansę na zwycięstwo.

– A czy możemy pozwolić sobie na przegraną? – odpowiedział pytaniem Conan i szarpnął za lejce. Konie skoczyły do przodu, a Cymmerianin rozejrzał się na boki. W żółtawym blasku twarze mijanych przez rydwan piechurów zdawały się wytrawione kwaśnym, żrącym dymem i naznaczone strachem. – Czyciele węży zagrażają całej Nemedii, ponieważ mogą okrążyć wzgórze od południa – rzekł po chwili milczenia. – Mogą też stanowić niebezpieczeństwo dla innych hyboryjskich królestw. Powinniśmy wydać im walkę, zanim spustoszą całe cesarstwa. Teraz mamy jeszcze szansę, być może ostatnią, powstrzymać ich zapędy.

Blask dnia stopniowo przygasał. Skalane niebo poznały pasma brudnej czerwieni i złota. Z tyłu podjechał goniec baronów z zapytaniem o miejsce rozbicia obozu. Naradziwszy się, Conan i Evadne nakazali kontynuowanie marszu do zachodu słońca.

Kolumna wojsk parła nieustępliwie naprzód przez wypalone, opustoszałe pola. Zatrzymała się dopiero wtedy, gdy pożoga słońca zgasła w krwawym, dymiącym kotle

chmur. W świetle pochodni rozbito obóz zabezpieczając go błotnistymi rowami i kępami tarniny. Brak było nie spalonych drzew, by wyciosać porządną palisadę. Po naradzie Conan i baronowie nakazali rozstawienie podwójnych straży, zarówno, by uniemożliwić dezercję żołnierzy oraz dla ochrony przed tym, co mogło czaić się poza skupiskiem ognisk.

XIV

KRWAWY ŚWIT

– Żołnierze! Wierni poddani! Zwołałem was tu dziś wieczorem, by – przypomnieć wam o obowiązku, który zawiódł was tak daleko od swoich domostw. Nie wolno wam zapomnieć, że przemierzycie wiele mil spustoszonej ziemi, by dopełnić nakazu posłuszeństwa waszym baronom. Ja, Sigmark, tak jak wy wszyscy razem i każdy z osobna, złożyłem święte ślubowanie. Podjąłem się wypełnienia tego przyrzeczenia równie nieodwołalnie, jak nieodwołalna jest wasza przysięga lenna wobec mnie i towarzyszących mi władców. Gdy w południe minęliśmy wioskę Kleck, znaleźliśmy się na ziemiach barona Ottysława. Wieś, jak należało się spodziewać, była spalona, podobnie jak okoliczne lasy i osady. Zniszczono plony barona, nieprawe ręce zabiły lub porwały poddanych mu chłopów i zwierzęta. Tak oto zburzono harmonię rządów mojego przyjaciela, zhańbiono jego panowanie! Baronowie nie zwykli godzić się z takimi obrazami, wobec siebie ani zaprzyjaźnionych szlachciców, dlatego też przysiągłem, iż pomogę czcigodnemu Ottysławowi pomścić tę obelgę. Tak się stanie, chociażby miało mnie to kosztować ostatnią kroplę krwi w żyłach i chociażby przyszło mi samotnie zetrzeć się z wrogiem! Znajdujecie się tutaj z tego samego powodu, moi wierni żołnierze. Wiem, że ciężką pełnicie służbę. Jutro może być jeszcze gorzej, lecz ponoszone przez was ofiary równoważy nagroda w postaci zadowolenia i uznania waszego władcy. Pamiętajcie o tym, idąc do boju! Pamiętajcie o chwale, która okryje zwycięzców, a powiadam wam, zwyciężymy na pewno!... Ustępuję teraz miejsca mojemu dostojnemu przyjacielowi, baronowi Ottysławowi, który chciałby powiedzieć wam parę słów od siebie. Później wzniesiemy toast za jutrzejsze zwycięstwo!

Sigmark wstrzymał się z zeskoczeniem z siedzenia dwukołowego wozu, aż oś pojazdu przekrzywiła się pod ciężarem wsiadającego nań arystokraty w masywnej zbroi. Ottysław stanął na dnie rydwanu i wsparł się stopą o deskę woźnicy. Z typowym dla siebie ironicznym uśmiechem powiódł wzrokiem po otaczającym go kręgu oświetlonych pochodniami żołnierskich twarzy, po czym przemówił:

– Mieszkańcy wschodnich prowincji! Nemediańczycy z krwi i kości! Na własne oczy ujrzeliście, że naszą ojczyznę obraca się w perzynę, niszczy nasze wsie i majątki. Mówicie sobie, że to okropne. Zadajecie sobie z trwogą pytanie, cóż za straszliwy wróg mógł w ten sposób zbezczęścić nasze piękne ziemie? Powiadam wam, Nemediańczycy, nie traćcie ducha. Odrzućcie od siebie myśli nie przystojące mężczyznom. Dla was nie ma powodów do grozy, czy jakichkolwiek obaw. Nie ma bowiem nic straszniejszego, niż szukająca pomsty nemediańska armia. To wy jesteście postrachem nieprawych, siewcami grozy, niesytymi krwi ogarami! Dotychczasowe tragedie to błahostka w porównaniu z losem, jaki zgotujemy naszym wrogom. Od tej chwili ich dobytek i ziemie są skazane na zagładę, ich kobiety czeka los waszych niewolnic, ich życie znalazło się na naszej łasce. Skosimy wrogów jak świeżą trawę i wymłócimy, jak dojrzałe zboże. Ich posoka będzie smarowidłem dla naszych ostrzy! Ich głowy zwisać będą z łąków naszych siodeł jak dynie! Wiedźcie bowiem, że wojenna rzeź jest zdrowa i naturalna, oczyszcza ciało prawdziwego mężczyzny i wzmacnia krzepę. Upust krwi przypomina człowiekowi o jego naturze. Niejeden z was zginie, niejeden odniesie ciężkie rany, lecz jako prawdziwi Nemediańczycy nie możecie ulęknąć się, takiej ceny. Nakazuję wam iść do krwawego boju, jak gdybyście szli na tańce!... A teraz ustępuję miejsca młodemu Favianowi, baronowi Dinander. O ile ten młodzik nie zapomniał języka w ustach! Raczysz przemówić do swoich poddanych, panie? Proszę, wstąp na rydwan!

Ottysław przeszedł w drugi koniec skrzypiącego pod jego ciężarem pojazdu i zeskoczył na ziemię, śledząc z rozbawieniem cel swoich szyderstw. Conan siedział na beczce na skraju kręgu światła pochodni. Towarzysząca mu Evadne zerwała się na równe nogi.

– Powinna była domyślić się, że taki był ich plan! – wyszeptali gwałtownie.
– Zostań tutaj, przemówię w twoim imieniu.

Momentalnie wdrapała się na wóz i stanęła przed żołnierzami. Z szeregów dobiegły pomruki i gwizdy.

– Bracia Nemediańczycy! Zwracam się do was w imieniu mojego suwerena, barona Faviana, dziedzica Dinander. Mój pan uważa, że nie jest zręcznym oratorem. Chce jednak, bym przypomniała wam, iż jutro będziecie walczyli nie tylko dla niego, lecz również dla siebie samych, w obronie swoich domów i pozostawionych w nich ukochanych osób...

Mowę Evadne przerwało pojawienie się u jej boku o wiele masywniejszej postaci. Conan wsparł stopę o piastę koła i bez wysiłku wskoczył na wóz. Barbarzyńca położył kobiecie dłoń na ramieniu, by ubiec jej irytację. Na widok przystojnej pary przez szeregi wojska przebiegły porozumiewawcze szepty.

– Żołnierze! – poniósł się nad tłumem gromki głos Conana. – Staję przed wami nie jako baron... – Po tych słowach rozległ się tylko twierdzący szmer, bowiem każdy słyszał już plotki, że miejsce młodego Faviana zajął jego sobowtór – ...ani nawet Nemediańczyk – ponownie rozległ się chóralny pomruk zgody, ponieważ akcent mówcy potwierdzał jego słowa. – Staję przed wami jako wojownik. Gdy na mej drodze pojawia się ohydne, bezwzględne zło, nie mam wątpliwości, jak powinienem postąpić. Moim obowiązkiem jest z nim walczyć! – Conan zawiesił głos, czekając, aż słuchacze życzliwymi pomrukami przytakną jego słowom. – Przez minione dni maszerowałem z wami ramię w ramię. Wiem tak jak wy, że stoimy w obliczu bezgranicznego, nienasyconego zła, taka jest bowiem natura wyznawców węży – pomruki żołnierzy stały się bardziej zapalczywe, przerywały je przenikliwe wołania aprobaty. Conan wykrzyknął jeszcze jedno zdanie: – Moim obowiązkiem jako człowieka i wojownika jest zgnieść pod butem łeb gada!

Na tym skończył przemowę, zeskoczył z wozu i pomógł zsiąść Evadne. Wspólnie przeszli między rozentuzjasmowanymi szturchającymi się i potrzęsającymi pięściami żołnierzami. Skądś rozległo się skandowanie: „Favian! Favian!”, by po chwili utonął wśród dysput, czy mówca rzeczywiście nosi to imię.

Nie wiadomo, czy mowa Conana przypadła słuchaczom do gustu z powodu zawartych w niej żywych emocji, czy też krótkości. Niewątpliwie za panujący zgiełk odpowiadała przynajmniej w części perspektywa przedbitewnego toastu. Z rozstawionych wokół obozu silnie strzeżonych beczek rozdano w błyskawicznym tempie kubki wina. Barbarzyńca wychylił swoją porcję i usiadł w kręgu blasku, nie zważając na pełne niechęci i wyrachowania spojrzenia oraz szepty Sigmarka i Ottysława. Evadne w milczeniu przysiadła obok Cymmerianina. Conan rozmyślał nad ostatnimi wydarzeniami. Po ominięciu ruin zamku Edram i pierwszym noclegu na splądrowanych ziemiach, po kolejnym dniu marszu dotarło do strefy zupełnego spustoszenia. Popioły chat i szop były jeszcze ciepłe, w powietrzu unosił się cuchnący, coraz gęstszy dym. Przed zmierzchem zwiadowcy donieśli o wypatrzaniu wroga. Nie natrafiono na uchodźców, lecz od razu na posuwającą się przez pola hordę pieszych szaleńców z prymitywnym orężem i pochodniami. W nocy łuny pożarów rozświetlały na czerwono spody chmur na południu i wschodzie.

Conan coraz mniej liczył na znalezienie Ludii lub okazji, by przesłać jej wiadomość. Zamiast tego nabierała nieprzepartej pewności, że między obozowiskiem a położonymi wiele mil na północ bagnami Varakiel, nie ma ani jednej istoty, godnej nazwy człowieka. Do tej pory nie znaleziono ani jednego trupa., Na cmentarzysku przylegającym do zrujnowanej wioski Kleck rozkopano nawet świeże groby. Pochowane w nich ciała zniknęły wraz z pozostałymi mieszkańcami wsi.

Znalezienie zbezczeszczonych mogił sprawiło, że wśród żołnierzy odezwały się przesądne obawy. Najbardziej lękano się zmij, których wyjątkowo dużo pełzało po tych płaskich, podmokłych okolicach. Dezercji było jednak zaskakująco mało. W miarę zagłębiania się we wrogie terytorium, ich liczba spadała coraz bardziej. Żołnierze zdradzali ochotę do walki – nawet większą, niż ich dowódcy.

Zbrojna ekspedycja czekała na świt, by stanąć do walki z nieznanym przeciwnikiem. Pewni zwycięstwa, dwaj baronowie przygotowali jedynie ogólny plan bitwy: wymarsz o brzasku i atak na nieprzyjaciela frontem oraz ze skrzydeł. Ottysław i Sigmarek uważali, że słabe uzbrojenie i brak zbroi u czcicieli węży gwarantują pewne zwycięstwo. Conan nie był w stanie wymyśleć lepszego planu, wiedział jednak, że utrzymanie szyku i dostatecznie szybkie przemieszczanie się nemediańskich wojsk między rozproszonymi nieprzyjaciółmi powinno istotnie zapewnić zwycięstwo. Dyscyplina dawała paruset żołnierzom możliwość pokonania nawet dziesięciu tysięcy wrogów.

Cymmerianin do późna w nocy dumiał nad burzliwymi wydarzeniami w Dinander i niezwykłym obrotem koła fortuny, dzięki któremu zyskał obecną pozycję. Powtarzał sobie, że może jeszcze uciec. Nie było to nic trudnego.

Cymmerianin wiedział jednak, że zostanie. Powiedział żołnierzom prawdę:

postanowił stanąć do walki z absolutnym złem. Czuł że musi je pokonać. Żywił też resztki nadziei, że zdoła odnaleźć Ludię. Co więcej, sądził, że zwycięstwo da mu silną pozycję wśród baronów i ludu Nemedii, dzięki czemu otworzą się przed nim nowe możliwości.

Conan siedział zadumany jeszcze długo po tym, gdy pijani Ottysław i Sigmark powlekli się do swoich namiotów. Evadne naciągnęła na zimną koleczkę końską derkę, zwinęła się w kłębek na ziemi i zasnęła obok Cymmerianina. W obozie pełnym niespokojnych mężczyzn wolała trzymać się blisko Conana i kilku zaufanych oficerów ze straży miejskiej Dinander. W pewnej chwili dziewczyna przebudziła się, przeciągnęła i odezwała do barbarzyńcy, górującego nad nią na tle granatowego nieba:

– Byś może miałaś rację, Conanie. Jeszcze wczoraj tobą pogardzałam, ale zaczynam lepiej cię rozumieć. Czekająca nas bitwa może okazać się ważniejsza od wszelkich politycznych zabiegów, może nawet ważniejsza od losu Dinander.

W głosie odświeżonej po drzemce dziewczyny brzmiała miła dla ucha delikatność.

– Będzie najważniejsza dla nas, jeżeli stracimy w niej życie – odparł Conan.

Powiódł wzrokiem po horyzoncie w poszukiwaniu łun pożarów, lecz wszystkie już wygasły.

– Nie myśl o śmierci, tylko poprowadź dobrze nasze wojska – Evadne usiadła i otuliła się derką. – Zdołałeś zagrzać żołnierzy do walki. Wiedzą, że nie jesteś Favianem, ale pójdą za tobą do boju chętniej, niż za nim. Bądź sobą, nie staraj się odgrywać narzuconej roli.

– Nie mam już na to szans.

Kolejny raz Conan przechylił kubek przy wargach i znów przekonał się, że jest pusty.

– Nawet nie musisz się starać. Widziałam, z jakim zacięciem walczyłeś zarówno za naszą sprawę, jak i przeciwko niej.

Potrafisz być zdecydowanym, zręcznym przywódcą. Zwłaszcza podczas bitwy.

– I chyba tylko wtedy! – Conana ogarnęło przygnębienie równie czarne i przygniatające, jak spowijający obóz mrok. Zwrócił się w stronę dziewczyny. – Ty jednak, Evadne, masz dość rozumu, by rządzić krajem w czasie pokoju. Proszę cię, uważaj na siebie podczas jutrzejszej bitwy. Trzymaj się baronów i pilnuj, by nas nie zdradzili. Jesteś zbyt cenna, by poświęcić cię na pierwszej linii.

– Pamiętaj, że jestem wojowniczką! – słowa Conana sprawiły, iż Evadne zeszytniała pod derką. – Nie doprowadziłam do upadku tyranii Einarsonów gładkimi słówkami, lecz skrwawioną stalą! Moje miejsce jest wśród żołnierzy!

Urwała raptownie, bowiem w pobliżu rozległy się kroki. W kręgu światła pojawili się dwaj żołnierze: oficer i piechur. Conan dojrzał błysk sztyletu chowanego przez Evadne z powrotem do pochwy, a sam zdjął dłoń z rękojeści miecza.

– O co chodzi, Rudo? – zwrócił się do przyjaciela.

– Cona... Dostojny panie, zgodnie z twoim rozkazem rozesłaliśmy zwiadowców. Ten oto wartownik... – Rudo wypchnął przed siebie towarzyszącego mu żołnierza – ...wrócił z meldunkiem o ruchach nieprzyjaciela na wschód od nas.

– Tak? Co zobaczyliście? Mów, człowieku! – nakazał niecierpliwie Conan.

– Panie, widzieliśmy niewiele. Nie odważyliśmy się zapalić pochodni, bo wrogowie czają się w ciemnościach. Wiemy jednak, że zebrała się olbrzymia horda. Obeszli nas z obu stron. Słyszeliśmy poza tym coś dziwnego... Być może był to tylko szmer traw, lecz przypominał... syczenie węży... – wartownik urwał zakłopotany. – Wróciliśmy do obozu wzdłuż rowu nawadniającego. Wrogowie na pewno wypatrzyli ogień naszego obozu. Jestem pewny, że zamierzają zaatakować o świcie.

– Na Croma! Mówiłem Sigmarkowi, że robi błąd, organizując uroczystą odprawę przy pochodniach! – Conan wyciągnął dłoń, by zgasić palący się obok kaganek, lecz rozmyślił się – Rudo, co dzieje się na innych podejściach od obozu?

– Nie mamy jeszcze meldunków. Ostatni wysłany na zachód patrol spóźnia się.

– Niech to diabli porwą! Ostrzeż baronów! A ty, człowieku, zrób obchód namiotów oficerów. Niech zarządzą pobudkę żołnierzy i każą im po cichu, bez zapalania świateł szykować się do walki. Przekaż, że mają założyć pełne zbroje i zasznurować wysoko buty, by zabezpieczyć się przed wężami.

Conan ruszył do swojego namiotu. Evadne podążyła tuż za nim. Nocowali razem, odgradzając się jednak parawanem. Gdy Cymmerianin po omacku szukał części zbroi, zza zasłony dobiegł szept dziewczyny:

– Mimo wszystko nie mamy powodów do obaw. Prowadzimy doborowe nemediańskie

oddziały. Wątpię, by czciciele węży mieli czas opanować taktykę i wojskową dyscyplinę.

– Poznali je wystarczająco, by puścić z dymem zamek Edram.

Namacał podpórkę namiotu i zdażył zacisnąć dłoń na tarczy, nim ta spadła na ziemię. Usłyszał szcęk poprawianej przez dziewczynę kolczugi.

– Cóż, przynajmniej nie zdołają nas zaskoczyć.

– Tak, ale niewątpliwie nas już otoczyli, o ile nie są skończonymi głupcami.

– Conanie, pamiętasz, co pewnego razu powiedziałeś w pałacu? Że jesteśmy z tej samej gliny? – rozległ się w ciemnościach wibrujący, ledwie słyszalny szept Evadne. – Widzę, że podobnie jak ja masz dar przewodzenia innym. Poznałam cię nieco lepiej. Może nasz związek byłby...

– Na Croma! Was, kobiety, ochota na miłość nachodzi zawsze w nieodpowiednich momentach! – syknął Conan ze źle skrywaną irytacją. – Chętnie spełniłbym twoją wolę, Evadne, ale miałbym z tym spory kłopot w zbroi.

– Nie oto mi chodziło! – nastąpiło długie, nieprzeniknione milczenie. – Pozwalam ci jednak poprosić mnie o to po walce – rzekła wreszcie dziewczyna.

– Nie omieszkam!

W chwilę później do ich namiotu dotarli Ottysław i Sigmark. Conan zaciągnął z brzękiem pas miecza i wyszedł na ich spotkanie.

– Zachowujcie się cicho, albo wróg zorientuje się, że wiemy o jego nadejściu!

– Tak? I co z tego? – rozległ się bas Sigmarka. – Ani oni, ani my niczego nie zwojujemy w ciemnościach. Musimy przygotować się do walki, doczekać poranka i ruszyć do walki, chyba, że coś innego chodzi ci po głowie?

– Zamierzacie czekać za naszymi marnymi szaniami, aż zwali się na nas cała zgraja? Co zrobicie, jeżeli wstrzymają się ze szturmem i zaczną wrzucać do obozu pochodnie i węże? Albo wykopią dookoła umocnienia i spróbują wziąć nas głodem?

– Ach, widzę, że młody baron zna zalety ostrożności! – śmiech Ottysława zabrzmiał nieprzyjemnie w uszach Conana. – Jak jednak zamierzasz uciec, jeżeli zostaniemy otoczeni? Marny byłby nasz los, gdyby nieprzyjaciel dopadł nas podczas próby wymknięcia się z okrażenia...

– Nie myślałem wcale o ucieczce! Chcę, by konnica ruszyła do ataku o brzasku! – rzekł Cymmerianin pełnym mocy głosem. – W ten sposób zdołamy przełamać okrażenie. Po co nam jazda, jeżeli nie do nękania wroga i zadawania mu jak największych strat?

– Ale kogo i gdzie mamy atakować? – zapytał z naciskiem Sigmark. – Ruszenie do boju we wszystkie strony naraz to szaleństwo! Rozproszylibyśmy w ten sposób nasze siły.

– A gdzie trzeba uderzyć podczas walki z wężem? W jego łeb! Gdy się go rozbije, ciało gada ginie w podrygach! – stwierdził dobitnie Cymmerianin. – Natarcie poprowadzimy na wschód, w stronę środka nieprzyjacielskich ziem, gdzie kryją się ich dowódcy. O świcie będzie to proste: po prostu każemy żołnierzom nacierać w stronę wstającego słońca. Kiedy złamiemy pierwszą linię obrony przeciwnika, dalej poprowadzimy atak tam, gdzie będzie najskuteczniejszy.

– Przebiegły plan – Evadne wyszła z namiotu i stanęła u boku Conana. – Pamiętaj jednak, panie, że wspólnie ponosimy brzemień dowodzenia. Uważam, że z początku lepiej byłoby pozostać w obronie.

– Nie, zaczekaj! Ten pomysł ma swoje dobre strony – Sigmark włączył się do dyskusji. – Nasze doborowe kompanie na pewno zachowają szyk w starciu z nieznającą karności tłuszcza. Natarcie da nam, dowódcom, swobodę, której bylibyśmy inaczej pozbawieni. Jeżeli zdołamy przygotować ludzi i konie bez zbędnego hałasu...

Zaczął wydawać ściszym głosem rozkazy jednemu ze swoich oficerów. Gdy skończył, mężczyzna skinął głową i odszedł.

– Przyjmij wyrazy szacunku, młody wodzu! – przemówił Ottysław. – Twój plan stanowi ucieleśnienie najlepszych nemediańskich cech: zdecydowania i srogości! Popieram go z całego serca!

W pograżonym w ciemnościach obozie zaczęły się gorączkowe przygotowania do bitwy. Żołnierze pomagali sobie nawzajem zakładać zbroje i odnajdywać broń. Conan dopilnował zaprzęgnięcia swojego rydwanu. Nim to nastąpiło, na wschodnim skrawku nieba zaczęła rozprzestrzeniać się słaba poświata przedświt.

Zapadła całkowita cisza. Gotowi do walki żołnierze klęczeli na stanowiskach wokół obozu. Wyznaczono niewielkie oddziały do obrony jego północnej, zachodniej i południowej strony do czasu nadejścia meldunków o powodzeniu natarcia na wschód. Odwoływały wówczas ruszyć za taborami przez przerwę w umocnieniach

obożu.

Czas przed nadejściem brzasku dłużył się w nieskończoność. Oczekiwanie byłoby zapewne łatwiejsze, gdyby żołnierze mieli jakiegokolwiek pojęcie o tym, co czai się za niskimi szanćami z ciernistych krzaków i wbitych w ziemię, pochylonych pali.

Conan stał w rydwanie, czekając, aż na wschodzie zabłyśną pierwsze promienie słońca. Evadne tkwiła nieruchomo u jego boku dzierżąc długi, prosty łuk. Do poręczy rydwanu przy – pasaża dodatkowy kołczan ze strzałami. Ich woźnica stał obok koni, uspokajając je cichym szeptem.

W końcu przez zastalę opary nad widnokręgiem przebiło się pasmo słabego, wodnistego blasku. Mimo mgły i dymu, światło z każdą chwilą nabierało na sile, tworząc pomarańczowe odbłaski na spodzie nisko wiszących chmur. Conan dostrzegł, że promienie słońca rozbłyskują czerwienią na metalowych fragmentach uprzęży. Z przodu rozległ się stłumiony pomruk żołnierzy oraz łoskot odciąganych zapór. Cymmerianin wznosił ramię. Woźnica wskoczył na pomost rydwanu i chwycił za lejce. Conan zdecydowanie opuścił rękę. Ciszę przerwało granie trąbek wzdłuż całej linii wojsk. Rydwan potoczył się naprzód.

XV

WAŻ O TYSIĄCU JEZYKÓW

Zrazu nacierający ujrzeli w półmroku jedynie upstrzoną chaszczami łąkę, rozciągającą się ku bielejącemu na wschodzie nieboskłonowi. Po chwili kopyta koni i koła rydwanów poczęły miażdżyć niskie, niewidoczne przeszkody. Nad rozpościerającą się dookoła, sięgającą kolan trawą pojawiło się parę sylwetek, które szybko zamieniły się w rój.

Za moment przed rydwanem Conana zrobiło się tak gęsto od nieprzyjaciół, że zaprzęg zwolnił. Konie zarżały ze strachu, lecz trzaskający bat woźnicy sprawił, że wciąż sunęły naprzód. Conan z całych sił dźgał trzymanymi w obydwu rękach oszczepami w pojawiające się z przodu i po bokach, podbiegające do rydwanu postacie. Napastnicy tłoczyli się w jego stronę tak, iż nie musiał rzucać włóczniami. Obok siebie Cymmerianin słyszał śpiew ciężkiemu łuku Evadne. Dziewczyna wypuszczała kolejne strzały z rozpaczliwym pośpiechem.

Z tyłu wrzaski bólu, przekleństwa i szczęk broni świadczyły, że nemediańskiej jeździe przyszło walczyć natychmiast po minięciu umocnień obozu. Jeźdźcy posuwający się zasłanym trupami szlakiem rydwanu szybko wysforowali się przed niego. Skręcając w lewo i w prawo, rozszerzali front natarcia.

Conan wciąż dźgał oszczepami z wyniosłości platformy rydwanu i z niepokojem nasłuchiwał, co działo się z tyłu. Gdy wreszcie usłyszał dobywający się z setek gardeł zgiełkliwy krzyk, uśmiechnął się z posępnym zadowoleniem. Piechota ruszyła do boju i walka zaczęła nabierać rozmachu. W świetle wstającego dnia Cymmerianin zaczął wypatrywać wrogich dowódców.

Nie ujrzał ich, lecz to, co zobaczył, sprawiło, że pożałował, iż się za nimi rozglądał. Promienie słońca oświetliły równinę z dostateczną mocą. Zdawało się, że trawa na wschodzie stanęła w pomarańczowych promieniach. Blask dnia ukazał także naturę przeciwnika. Widoczne na tle wschodzącego słońca istoty, rzucające długie, karmazynowe cienie, straciły wszelkie pozory podobieństwa do ludzi.

Conan spodziewał się stanąć twarzą w twarz z wychudłymi uczniami Seta o obłąkanych oczach i rozszczepionych językach, jak ów żaloszny młodzieniec, którego widział był w wieży zamku Ulf. Miał jednak przed sobą prawdziwe demony – syczące stwory o wykrzywionych nieludzkimi grymasami obliczach. Napastnicy rzucali się na Nemediańczyków, nie bacząc na życie swoje ani swoich towarzyszy. Łopaty i kosy zamieniły się w ich rękach w straszliwą broń. Wyszlifowane ostrza błyskały na tle czerwonego nieba, spadając jak pioruny na ludzi i konie. Wielu atakujących miało ze sobą węże. Jedni wykorzystywali je jako broń, inni traktowali jako ozdoby. Gady wiły się na ich szyjach, wpełzały pod wyswiechtane odzienie, wplatały się w brudne włosy.

Okropności ataku dopełniał fakt, iż grymasy i ruchy czcicieli węży do złudzenia przypominały zachowanie gadów. Większość wpatrzonych w Conana oczu miała pionowe, szczerelinowate źrenice.

Groza Cymmerianina osiągnęła szczyt, gdy jeden z rozszalałych napastników nadział się na szpic włóczni barbarzyńcy. Mężczyzna otworzył szeroko usta w agonialnym okrzyku, lecz zamiast języka, z jego ust wyłoniła się zielonogłowa żmija. Żywy gad raz po raz uderzał jadowitymi kłami w drzewce oszczepu. Conan

wypuścił z ręki włócznię z upiorną ofiarą i drżącą dłonią sięgnął po kolejną. Na miejscu zabitego przeciwnika natychmiast wyrosli dwaj następni.

Cymmerianin rzucił okiem na zbiegającą się ze wszystkich stron horde wrogów i dostrzegł nadbiegającą nową falę napastników o węzowych językach. Jęk przerażenia Evadne świadczył, iż ona również to dostrzegła. Widok węży najgorzej działał na konie, co chwila stawały dęba i uskakiwały w bok. Na szczęście czwórka, stanowiąca zaprzęg rydwanu, miała na sobie skórzane zbroje i ograniczające widoczność kłapy na oczach. Instynkt stadny oraz rozpęd i zręczna dłoń woźnicy sprawiały, że chociaż nierówno, dalej ciągnęły rydwan przez chaos bitwy.

Nemediańska piechota potrzebowała trochę czasu na dotarcie do linii walki, lecz w końcu i ona starła się z demoniczną hordą. Piesi żołnierze bardziej niż jeźdźcy ucierpieli od gadzich kłów. Ulubiona taktyka wojowników z węzowymi językami polegała na odepchnięciu lub chwyceniu broni przeciwnika gołymi rękami bez zwracania uwagi na odnoszone rany. Następnie szczerzący zęby w koszmarnym uśmiechu wrogowie zbliżali się do żołnierzy i otwierali usta do jadowego pocałunku. Ruchliwe żmije, zastępujące im języki, były wystarczająco długie i cienkie, by przecisnąć się przez otwory w hełmach. Nawet ciasno zatrzasknięta przyłbica nie stanowiła dla nich przeszkody. Ukąszenie gada powodowało niechybna śmierć w męczarniach.

Conan przeklinał siebie samego, że obmyślając plan bitwy nie wziął pod uwagę potęgi nieprzyjacielskiej magii. Całkowita nieludzkość wrogów nie tylko sprawiała, że o wiele łatwiej uśmiercali Nemediańczyków niż oni ich, była także zgubna dla bojowego ducha żołnierzy. Poza tym czciciele węży nie potrzebowali jakichkolwiek rozkazów.

Rydwan Conana przedarł się w końcu przez pierścień głównych sił przeciwnika, lecz nadal Cymmerianin nie widział nikogo, kto mógłby dowodzić hordą. Czyciele węży nie potrzebowali odwołów, oficerów, ani nawet pośledniejszych dowódców, zaprowadzających ład podczas natarcia. Miast tego wyznawcy Seta parli naprzód z niestrudzoną, bezwzględną jednomyślnością, jak gdyby ich bóg osobiście kierował całą hordą. Bez względu na źródło mistycznej jedności nieprzyjaciela, sprawiała ona, iż barbarzyńca nie miał szans zadać rozstrzygającego bitwę ciosu. Conan nakazał woźnicy zawrócić w stronę obozu i rozejrzał się po polu bitwy. Czereda nieprzyjaciół rzedła. Cymmerianin dostrzegł, że przez lukę w palisadzie zaczynają przejeżdżać tabory i straż tylna. Nemediańska armia poniosła w sumie nieznaczne straty i zachowała zdolność do manewrowania, lecz jej atak chybił celu. Schrypniętym z rozgoryczenia głosem Conan nakazał woźnicy zawrócić ponownie na wschód.

– Przynajmniej wyrwaliśmy się z obozu – zauważyła Evadne. – Horda jest tak liczna, że stałby się on dla nas śmiertelną pułapką.

Towarzyszka Cymmerianina coraz rzadziej wypuszczała strzały z łuku. Obecnie nachyliła się, by odciąć starą i założyć nową cięciwę.

– Owszem. Jeżeli nasza armia będzie w ciągłym ruchu, nieprzyjacielowi trudno będzie rzucić przeciw nam całe swoje siły. – Conan popatrzył w stronę południowego skrzydła Nemediańczyków. Walka toczyła się bez wyraźnej przewagi którejkolwiek ze stron. – Musimy znaleźć ich wodza. Inaczej szybko stracimy siły na daremne zmagania z nieprzeliczoną hordą. – Cymmerianin zacisnął dłoń na poręczy, wyprostował się i rozejrzał po polu bitwy. – Natychmiast jedź w stronę tamtych drzewek! – zawołał nagle. – Musimy dopaść tego człowieka! – krzyknął do woźnicy.

Przejęciowa wspaniałość poranka ustąpiła miejsca posępnej dziennej poświacie. Rudy blask brunatnoceglastej kuli słońca przebijał się przez bezkształtną powalę dymu i mgieł. Zapowiadało się, że nim minie godzina, słońce zniknie całkowicie nad mętną opończą chmur, przez co niemożliwe będzie zorientowanie się w stronach świata. Kilkadziesiąt kroków na wschód widać było przedzierającą się przez wysokie trawy grupę nieprzyjaciół. W znacznej odległości przed nimi zwałisty wojownik w srebrzystej zbroi zmierzał w stronę rydwanu z tą samą ospałą płynnością ruchów, co pozostali czciciele węży. Na jego widok Evadne wykrzyknęła:

– Przecież to stary szelma Ulf, kasztelan zamku Edram! Płynnym ruchem założyła strzałę na cięciwę i wymierzyła w napierśnik zmierzającej w ich stronę niezdarnej sylwetki.

– Nie strzelaj! – Conan chwycił dziewczynę za ramię, uniemożliwiając jej wypuszczenie pocisku. – Potrzebujemy jeńca, by doprowadził nas do przywódcy tej

piekielnej bandy! Ulf niedawno przeszedł na ich stronę. Może nie zmienił się tak bardzo, jak pozostali. Podjedź do niego! – rozkazał woźnicy. – Uważaj, żeby go nie stratować!

Tłusty kasztelan brnął z uporem naprzód, ciągnąc po ziemi miecz o długim ostrzu. Gdy rydwan znalazł się obok niego uniósł oburącz broń i zerwał się do nierównego truchtu. Konie minęły go z tętentem kopyt, a rydwan skręcił ostro na jednym kole. W tym momencie Conan zeskoczył na ziemię. Wpadł wprost na przeciwnika, otoczył jego szyję ramieniem i runął wraz z nim w trawę. Miecz wypadł kasztelanowi z rąk. Przez chwilę słychać było tylko sapanie i szczękanie zbroi.

– Ulf! Poddaj się, stary łotrze! – stękając z wysiłku, Conan zdołał się okrakiem na wrywającym się kasztelanie. – Biorę cię do niewoli! Czeka nas szczerza pogawędka, jeżeli chcesz zachować głowę na karku!

Cymmerianin dobył sztyletu i przytknął go do gardła leżącego mężczyzny.

– Sa setha Efanissa! – Ulf wysyczał rytualne sylaby. Rozdwojony język wychylał się spomiędzy jego wyschniętych, spękanych warg. – Hathassa fa Sathan!

– Przestań! – Conan stłumił dreszcz odrazy i rąbnął ręką ręką sztyletu w hełm przeciwnika, aż zadudniło. – Jesteś kasztelan Ulf, mieszkałeś w zamku Edram! Kawał z ciebie drania, ale przynajmniej byłeś człowiekiem! Wciąż nim jesteś i będziesz, nawet jeżeli będę musiał własnymi rękami zszyć ci ten rozszczepiony język! Odpowiadaj, kto jest przywódcą węzowego kultu?

– Laa... Laarrr! Laaarrrr! – oczy szarpiącego się mężczyzny nabrały nieco przytomniej szego wyrazu. Przestał się rzucać, lecz miał duże trudności ze zmuszeniem rozdwojonego języka do wypowiedzania głosek ludzkiej mowy. – Larrr jessst naszszszym kapłanemmm!

– No, już lepiej – nachyliwszy się, Conan wparł pięść ze sztyletem w brodę kasztelana. – Gdzie mogę znaleźć tego Lara? Dokąd mam jechać?

– Na wssschód! – Ulf zdołał machnąć za siebie wolną ręką. – Larrr jessst na wssschodzie! Na wssschodzie... eee! Aaaj!

Zaskoczony nagłą konwulsją swojego jeńca, Conan opuścił wzrok i ze zgrozą ujrzał, iż spod napierśnika Ulfa wypełzła mała purpurowa żmija i zatopiła kły w szyi kasztelana. Cymmerianin stracił ją ostrzem sztyletu, lecz natychmiast spostrzegł, że przez trawę pełźnie ku nim szmaragdowy wąż. Drugi gad zanurzył zęby w policzku Ulfa.

Conan zerwał się na równe nogi w nagłym przypływie przerażenia. Wokół siebie wypatrzył kolejne, wijące się w trawie gady. Schował sztylet, wy dobył miecz i gwałtownymi cięciami posiekał znajdującego się najbliżej węża. Zsiniały Ulf dyszał spazmatycznie. Cymmerianin wznosił broń i skrócił agonię kasztelana, odrabując mu głowę jednym ciosem.

– Conanie! Uważaj!

Odwróciwszy się, Conan zobaczył, że jeden z czcicieli węży pędzi w jego stronę z wzniesioną siekierą. Zanim barbarzyńca zdołał unieść miecz, mężczyzna zachwiał się i padł ze sterczącą spod pachy strzałą Evadne.

– Dlaczego zwracasz mi głowę ostrzeżeniami, skoro za każdym razem radzisz sobie sama?... Cromie!

Uśmiech zamarł na jego ustach, gdy ujrzał, że napastnicy otaczają znajdujący się kilkanaście kroków dalej rydwan. Woźnica wił się w trawie w przedśmiertnych drgawkach. W jego szyję wczepił się wielki wąż, rzucony przez jednego z napastników. Pozostawiony samemu sobie zaprzęg zwalniał bieg. Na domiar złego jeden z czcicieli węży uczeplił się uprzęży konia po prawej stronie i starał się wspiąć na pomost. Evadne szykowała się do wypuszczenia strzały w napastnika, lecz zanim zdołała wnieść łuk, trzech następnych zrównało się ze zwalniającym pojazdem.

– Niech zaleje to czarna krew Mannannana!

Conan rzucił się naprzód, roztrącając wysoką trawę. Wydał przeszywający okrzyk bojowy, by zwrócić na siebie uwagę wrogów, ci jednak nawet nie spojrzeli w jego stronę. Gdy ugodzony strzałą czciciel węży odpadł od końskiej uprzęży i dostał się pod koła rydwanu, kolejny już wskakiwał na deski pojazdu. Evadne odwróciła się i zamachnęła łukiem. Nie zważając na uderzenie, mężczyzna zadał długim sierpem podstępne, mierzone w nogi cięcie.

– Posmakuj stali, pomioście Seta!

Conan rozplatał tarasującego mu drogę napastnika od łopatki po nerkę i nie oglądając się, przeskoczył przez trupa. Rzucił się w pogoń za rydwanem i zobaczył, że Evadne nie zdołała wywinąć się przed kolejnym ciosem

nieprzyjaciela.

– Giń, gadzia pokrako! – krzyknął rabiąc w ramię drugiego z czcicieli węży.

Odcięta ręka trzymała się jeszcze poręczy, gdy Conan odtrącił krwawiące ciało nieprzyjaciela i wskoczył na rydwan. Znalazł się za blisko atakującego Evadne przeciwnika, by zamachnąć się mieczem.

– Łotrze! Szukaj ojca w piekle!

Wyznawca Seta dławił się już z powodu tkwiącej w jego szyi strzały Evadne. Conan bezlitośnie wepchnął ją głębiej łamiąc drzewce i wyrzucił mężczyznę przez tył rydwanu.

– Conanie... błagam... – Evadne osunęła się na platformę, przyciskając skrwawione dłonie do dołka pod sercem. – Umieram...

– Nie, dziewczyno! Leż spokojnie!

Cymmerianin daremnie rozejrzał się za batem. Nie mógł, dosięgnąć wodzy, więc pogonił konie do galopu płazem ociekającego krwią miecza. Gdy tylko rydwan zaczął toczyć się szybciej od goniących go przeciwników, Cymmerianin uklęknął przy Evadne. – Zaraz zabandażuję tę ranę – zacisnął zęby, widząc, jak wiele krwi wyciekło z piersi dziewczyny. – Zabiorę cię z powrotem...

– Conanie, posłuchaj... – głos przywódczyni buntowników słabł, jej twarz stała się bledsza od płowych warkoczy. – Jeżeli przeżyjesz, wróc do Dinander, przyrzeknij!

– Tak, Evadne! – podtrzymał ramieniem słabnącą dziewczynę. – Ty też tam wrócisz. Wjedziemy triumfalnie do miasta...

Było jednak za późno na wszelkie pociechy. Evadne utkwiała spojrzenie nie widzących oczu w zasnutym dymem niebie.

Conan klęczał przy niej długo, chroniąc w uścisku jej wiotkie, lekkie jak puch ciało przed wstrząsami pędzącego rydwanu. W końcu złożył je ostrożnie na dnie pojazdu i zacisnął skrwawione dłonie na rękojeści miecza.

Stał tak w odrętwieniu, nie zwracając uwagi na pędzących z tyłu wyznawców krwawego kultu. Daleko na wschodzie kolumna dymu wznosiła się pod posępne niebo. Obejrząwszy się w stronę obozu, Cymmerianin dostrzegł, że niewielka grupa jeźdźców w czarnych zbrojach Dinander, ściga ostatnich wrogich niedobitków. Za nimi rozlegało się granie trąbek, zwołujących oddziały Sigmarka i Ottysława pod zwisające luźno w nieruchomym powietrzu sztandary.

Conan pomyślał, że dbanie przede wszystkim o własne interesy zamiast wypełniania uzgodnionego planu doskonale odpowiada naturze wyrachowanych baronów. Gdyby nie ociągali się z atakiem, być może nie doszłoby do śmierci Evadne. Barbarzyńca potrząsnął głową z goryczą. Wciąż dźwięczało mu w uszach jej wyrażone ostatnim tchem życzenie. Musiał zawrócić i zadbać o wojsko Dinander. Obawiał się, że pozbawieni dowództwa żołnierze pójda w rozsypkę, stając się łatwym łupem dla wroga.

Gdy skręcał na zachód, rydwan nagle przechylił się i zarył w miejscu. Conan z rozpędu wpadł na przednią poręcz. Konie stanęły dęba, przerażone widokiem nagłego wojownika, który wyskoczył wprost na nie z kępy wysokiej trawy. Tańczącej mężczyznę pokrywały niezliczone wijące się węże.

Nim Cymmerianin zdołał odzyskać równowagę na śliskiej od krwi, przekrzywionej platformie, dwaj syczący i bełkoczący mężczyźni dopadli rydwanu i chwycili barbarzyńcę za ramiona. Conan usiłował się wyrwać, lecz trzeci napastnik o oczach z gadzimi źrenicami zamachnął się kamiennym młotem. Prymitywna broń spadła na hełm Conana. Ogarnęła go niezwykła, ogłuszająca cisza. Młot wznosił się i opadał miarowo, jak gdyby głowa Cymmerianina stanowiła wierzchołek ćwieka wbijanego cierpliwie w deski rydwanu. Przy czwartym ciosie porażająca cisza pochłonęła cały świat.

XVI

ŁEB WĘŻA

Rozszalałe płomienie pochłaniały wszystko na swojej drodze. Rozpościerały się jak morze i wiły niczym ogarnięte przedśmiertnymi drgawkami zwierzę. Furia ognia i palący żar stanowiąły dowód triumfu kultu Seta. Niemożliwa do ugaszenia pożoga zdawała się ogarniać nie tylko nemediańską równinę, lecz cały zamieszkały przez ludzi świat. Buchające jęzory płomieni odprawiały taniec ostatecznego zwycięstwa. Zdawało się, że będą tak czynić przez całą wieczność.

Mimo to może nie wszystko było stracone. Conan dostrzegł wśród płomieni zjawę. Daleka, niewyraźna sylwetka zdawała się unosić nad ziemią, chwilami

całkowicie rozmywała się w mgłę żaru. Twarz zjawy była nieziemsko piękna. Spoglądając w jej pogrążone w cieniu oczy, delikatnie zaokrąglone policzki o błękitnym odcieniu oraz ciemnoczerwone jak sok z granatów usta, można było zatopić się w nieskończone błogich marzeniach. Oblicze wyglądającej zza zasłony ognia postaci przepełniał niesamowity spokój, lecz jednocześnie malowała się na nim absolutna wiedza i bezgraniczne pożądanie.

Wbrew pierwszemu wrażeniu Cymmerianina, nie był to duch Evadne. Oblicze kobiety okalały wijące się czarne loki, różniące się jak noc od dnia od jasnych włosów buntowniczkę. Była to dobrze znana, kochana twarz. Kobieta uśmiechała się melancholijnie zza opończy dymu, jakby z niezmaconym spokojem godziła się z zagładą znanego sobie świata.

Była to Ludia.

Rozpoznanie jej przyśpieszyło odzyskanie przez Conana jasności myśli. Zdał sobie sprawę, że leży na dnie nieruchomego rydwanu w kałuży zakrzepłej krwi. Cymmerianin przyklnął oczy stwierdzając, że nawet najmniejszy ruch powiek przyprawia go o głucho pulsujący ból w głębi czaszki. Rogówki miał wysuszone od żaru. Gdy usiłował wychylić głowę nad skraj rydwanu, natychmiast poczuł się, jakby na nowo zaczęto walić go po głowie kamiennym młotem.

Opuścił z powrotem głowę na deski platformy. Starał się zmniejszyć cierpienie skupieniem na jednej myśli, na tym że po drugiej stronie ogniska siedzi umalowana, uśmiechnięta dziewczyna, że jest to ukochana Ludia. Gdy koszmarny ból nieco ustał, poczuł, że ktoś przechodzi obok niego. Po chwili rozległ się miły dla ucha głos:

– Och, to rzeczywiście wspaniały rydwan. O wiele wykwintniejszy niż nasz stary, rozchwierutany wózek na siano – był to pogodny, chłopięcy kontralt, chociaż momentami nabierał typowej dla wieku dorastania piskliwości. – Wreszcie mogę zapewnić ci podróż w warunkach, na jakie zasługujesz, pani! Dla twojej wygody wyścielemy rydwan górą poduch i gobelinów!

– Dobrze, Lar.

Conan drgnął. Rozpoznał głos, którym została rzucona beznamiętna odpowiedź. Natychmiast poczuł nową falę bólu, aczkolwiek mniej intensywnego niż poprzednio.

– Najpierw trzeba go będzie wyczyścić – odezwał się ponownie chłopiec. – Powiedziano mi, że powożąc wozem kobieta wykrwawiła się w nim z ran. To sprawia, że nie może przyłączyć się do nas, szkoda – mówca podszedł bliżej nieruchomego Conana. – W mężczyźnie jednak nadal kołacze się życie. Jeżeli nawet ta rana jest śmiertelna, zdołamy pozyskać go dla naszej sprawy.

Czując ukradkowe dotknięcie na skroni, Cymmerianin zawiercił się bezsilnie.

– Przeklęty chłystku... najpierw zawłokę cię... do piekła! – wyjęczał ledwie dosłyszalnie.

Stęknął z bólu i powoli dźwignął się na jednej ręce. Walcząc z oślepiającymi przypływami bólu, spróbował bez powodzenia namacać swój szept. Zdał sobie sprawę, że znajduje się pod otwartym niebem i że jest dzień, chociaż nisko wiszące chmury sprawiały, że blask ognia był bardzo jaskrawy. Natarczywy, łamiący się głos nie ucichł.

– Wstydzilibyś się, przyjacielu! Nie ulękę się twoich gróźb. Dlaczego Hyboryjczycy stale uciekają się do przemocy? – Lar niecierpliwie przeszedł przed ogniskiem. W piskliwym głosie chłopca pojawiła się nuta świętego oburzenia. – Wasz niczym nie sprowokowany atak kosztował życie wielu ludzi po obu stronach. Strata jest tym dotkliwsza, że zginęło wielu, którzy z radością wstąpiliby w nasze szeregi – chłopiec potrząsnął głową. – Oczywiście nie zdołacie nas powstrzymać, lecz mimo to boleję nad niepotrzebnymi ofiarami. O wiele prościej byłoby, gdybyście spróbowali nas zrozumieć.

– Zrozumieć?! – Conan zdołał usiąść, chwyciwszy oburącz poręcz rydwanu. – Gdy wasza horda napada na wsie jak rój szarańczy, pałac i mordując wszystko, czego nie zdoła ukraść!

Zamrugał, by przyjrzeć się wyraźniej kruchej sylwetce, obramowanej przez płomień ogniska. Ujrzał, że Lara strzeże dwóch zwalistych chłopów.

– Pospolita omyłka – chłopiec mówił na tyle głośno, by słyszała go siedząca na poduszkach Ludia. – Jak większość ludzi w tych dekadencjach czasach, przywiązujesz nadmierne znaczenie do tego, co doczesne i nietrwałe. Nie nauczyłeś się, czym jest prawdziwe poświęcenie. Materialne dobra i osobiste zobowiązania są niczym wobec oddania bogom.

Conan nie odpowiedział. Wszystkie siły wkładał w utrzymanie się w siedzącej pozycji. Nie zważając na fale koszmarnego bólu płynące z głębi zdającej się

rozpadać na kawałki czaszki, zginał palce rąk i stóp, by sprawdzić, czy zachował w nich czucie. Nie zważając na obojętne spojrzenia Lara i jego strażników, zaczął następnie zdejmować wygięty i popękany hełm. Ostrożnie podważył potrząskaną stal w miejscach, gdzie zakrzepła krew zlepiała ją ze splątanymi włosami i płatami skóry. Mimo przeszywającego bólu, zdołał wreszcie pozbyć się rozbitego hełmu. Ostrożnie obmacał głowę, by upewnić się, czy przypadkiem mózg nie wylewa mu się przez dziury w czaszce.

Stwierdził, że rany wygoją się, o ile tylko Crom raczy darować mu jeszcze dwa tygodnie życia. Odrzucił potrząskane resztki nakrycia głowy i skupił przejaśniający się wzrok na tych, w których niewoli się znalazł.

– Conan spodziewał się, że prorok węzowego kultu będzie potworem, lecz ten chłopiec prezentował się zaskakująco zwyczajnie. Sprawiał tak niewinne wrażenie, że Cymmerianin przestał odczuwać rządę mordu. Było to wszak jeszcze dziecko, na granicy tajemnej przemiany w mężczyznę. Płowowłosey chłopiec o delikatnych rysach zachowywał się najwyżej z przesadną pewnością siebie, lecz poruszał się z beztrąską sugerującą czyste sumienie i rozwiewającą wszystkie podejrzenia. Wyszywana złotą nicią purpurowa peleryna i ciężki, złoty diadem na czole powodowały, że wyglądał nieco zniewieściale.

Jego rośli adiutanci, jeden w stroju kowala, drugi w zwierzęcych futrach, sprawiali wrażenie bezmyślnych, potulnych osiłeków. Zapewne gorliwie wypełniali rozkazy, lecz nie należało się po nich spodziewać jakiegokolwiek przebiegłości. Podobnie jak u ich pana, nie widać było u nich zwierzęcych cech wyznawców Seta. Conan nie był jednak pewny, czy w zamkniętych ustach mężczyzn nie kryją się giętkie, węzowe języki.

Dwaj chłopcy i ich młody wódz stali przed ogniskiem na łące. We wszystkie strony ciągnęła się bezkresna, pozbawiona dróg równina. W górze rozpościerały się posępne niebiosy. Opończa zlewających się ze sobą chmur i kłębow dymu sprawiała, że nie sposób było zorientować się co do pory dnia ani stron świata. Wyposażenie obozowiska było bardzo skromne: namiot z wymalowanymi węzami i mistycznymi symbolami, wyścielona spłowiałymi poduszkami i draperiami dwukołowa fura oraz otwarty kuferek z jadem i bukłakami wina. Bojowy rydwan Conana stanowił element zupełnie nie pasujący do tej scenerii.

Wyprężone i przywiązane do palików konie z obu zaprzęgów pasły się niedaleko na brzegu krętego strumienia. Na porośniętej wysokimi trawami równinie nie było widać ani śladu rozszalałych wyznawców węży, nie słychać było bojowych okrzyków ani grania trąbek. Gdyby nie plamy krwi na zbroi Conana i rydwanie, wydarzenia tego poranka mogłyby wydać się snem.

Barbarzyńca powoli zwrócił wzrok ku ostatniej z towarzyszących Larowi osób. Czuł obawę, graniczącą ze strachem wahanie wynikające nie tylko z oszałamiającego piękna kobiety, lecz także z faktu, iż jej obecność u boku proroka kultu stanowiła groźną tajemnicę. Conan powoli zajrzał w jej wielkie oczy i stwierdził, że dziewczyna wpatruje się w niego z identyczną jak Lar beztrąską i niewinnością.

Ludia siedziała wygodnie na stercie poduszek rozłożonych obok wozu chłopca. Była starannie umalowana i uczesana. Pochodzące z różnych eleganckich sukien części stroju podkreślały jej kobiece wdzięki, nie osłaniając ich. W sumie wyglądała równie nieskromnie, jak kurtyzany z królewskiego dworu w Belverus. Piersi i biodra dziewczyny okrywały skrawki wyszywanej i lamowanej tkaniny, półprzeźroczyste pantalone przysłaniały jej zgrabne nogi. Na stopach miała leciutkie sandały, a jej kostki, talię i skronie zdobiły lśniące złote łańcuszki. Figura Ludii była równie gibka i bujna, jak we wspomnieniach Cymmerianina, lecz codzienne przebywanie na otwartym terenie sprawiło, że jej skóra nabrała śniadej barwy. Conan nie widział, czy plecy dziewczyny wciąż znaczą pręgi po chłóście Faviana, lecz gracja i niedbałość ruchów świadczyły, że już dawno doszła do siebie po przejściach w pałacu.

– Widzę, że doceniasz piękno mojej Ludii – odezwał się Lar stojący obok Conana. – Wielce cenię sobie jej towarzystwo, to mój jedyny kaprys. Pozwalam ci zawrzeć z nią znajomość, jeśli masz na to ochotę. Proszę, będzie ci wygodniej, jeżeli położysz się na poduszkach – chłopiec wyprzedził swoich strażników, ściągnął z wozu kilka poduch i rozłożył je na ziemi obok półleżącej dziewczyny. Klękając obok Ludii, zwrócił się do niej:

– Postaraj się zabawić naszego gościa, moja droga. Przekonaj go na swój subtelny sposób, jak mądra jest nasza wiara. Ja zajmę się tymczasem paroma drobiazgami.

Poinstruowawszy swoją towarzyszkę, Lar ucałował ją skromnie w policzek. Przyglądając się sposobowi, w jaki chłopiec odnosił się do Ludii, Conan uznał, że Lar nie żyje z nią jak mężczyzna z kobietą. Zapewniał jej stroje jak dziecko bawiące się lalką, i okazywał czułą uwagę, jaką chłopcy rezerwują zazwyczaj dla matek i starszych sióstr.

Lar podszedł ponownie do Conana i pociągnął go za ramię.

– Chodź, nie wstydz się! – zachęcił. Cymmerianin strząsnął gniewnie jego dłoń, lecz podążył za nim równie niemo, jak nie odstępujący proroka dwaj strażnicy. – Mamy owoce, ser i wino – stwierdził chłopiec, wskazując otwarty kuferek z prowiantem. – Jedzcie do syta! Przez tę dzisiejszą bitwę mnie nic nie przejdzie przez usta. Chodźcie, wierni słudzy! – zwrócił się do swoich adiutantów. – Pomóżcie mi ściągnąć rydwan nad strumień.

Gdy Lar i dwaj wieśniacy odeszli, Conan zatrzymał się przed Ludią. Chwiał się z wyczerpania i zadanych ciosów. Podejrzewał, że lada chwila spomiędzy pełnych, umalowanych warg dziewczyny wychynie rozdwójony język lub dojrzy w jej wonnych włosach wijące się węże.

– Nie bój się, Conanie. Widzisz, poznałam cię! Usiądź obok mnie! – dziewczyna podciągnęła nogi z niewyszukaną gracją, uklękła i prosiącym gestem wyciągnęła rękę w stronę Cymmerianina. – Kiedy cię tu przywieziono, myślałam, że to Favian. Cieszyłam się, bo wydawało się, że nie żyje. Kiedy zacząłeś dochodzić do siebie i odpowiedziałeś Larowi z tym swoim barbarzyńskim akcentem, natychmiast poznałam, że to ty. Myślałam, że serce z radości wyskoczy mi z piersi – uśmiechnęła się i dla podkreślenia swoich słów przycisnęła dłonie do ledwie odkrytych piersi. – Siadaj, odpocznij, najdroższy. Zajmę się twoimi ranami. I wiem, że nie będę już tego potrzebowała – dziewczyna wydobyła spod poduszki długi, złowieszczo zakrzywiony nóż o spiczastym ostrzu i włożyła go do kufra z jedzeniem.

– Wiesz Ludio, że nie ty jedna szykowałeś sztylet na przywitanie Faviana? Nic dziwnego, że nie pożył długo.

Conan upewnił się, że jego dawna kochanka nie zmieniła się. Uśmiechnął się, skrzywił z bólu i powoli usiadł na atłasowej poduszce.

– Zabito go? A ty zajęłaś jego miejsce w uczuciach Baldomera? – Ludia zacisnęła dłoń na ramieniu Conana i utkwiała w nim natarczywe spojrzenie podkreślonych henną oczu.

– Spokojnie, dziewczyno, daj mi odetchnąć! – odsunął ją na długość ręki, lecz nie spuszczał dłoni z jej ciepłego ramienia, nie tylko po to, by zachować równowagę. – Obydwaj Einarsonowie nie żyją. Do upadku ich tyranii doprowadziła dziewczyna całkiem podobna do ciebie...

Wielokrotnie milknąc i wracając do wcześniejszych wydarzeń, opowiedział Ludii, co wydarzyło się po jej wywiezieniu z pałacu. Starannie pomiął przy tym rozkosze, których zaznał z Calisą. Tymczasem dziewczyna zajęła się Cymmerianinem. Ponieważ nie pozwolił jej przemycić ani oczyścić najgłębszych ran, musiała zadowolić się umocowaniem mu na głowie suchego opatrunku z ziół.

– ...tak właśnie zginęła Evadne – zakończył. – Marzę o wypruciu baronom flaków za to, że wstrzymali się z przyłączeniem do natarcia! – zawiercił się niespokojnie i zdjął z czoła dłonie dziewczyny. – Powiedz mi, co działo się z tobą po powrocie do domu? Jak związałaś się z wyznawcami węży?

– Kiedy mnie odwożono, trafiliśmy na wóz Lara. Nie dotarłam do domu, nie widziałam też moich rodziców – potrząsnęła głową, jak gdyby chciała coś sobie przypomnieć. – Byłam wtedy obłąkana z nienawiści, do tego z ran wywiązała się gorączka. Na szczęście Lar nie zamęczał mnie pytaniami, ani niczego ode mnie nie żądał. Po prostu czuwał przy mnie i pielęgnował jak prawdziwy przyjaciel. Rozmawialiśmy przeważnie o głupstwach: o śpiewie ptaków, o tym, jak wiatr faluje trawami na stepie... Ten strój... – bez żenady wskazała swoje skape odzienie – ...składa się z darów od jego wyznawców.

– Nie zapominaj o zbrojnych przemarszach i oblężeniach. Twój młodzieńcy przyjaciel to wytrawny dowódca! – Conan postanowił skierować rozmowę na interesujący go temat. Popatrzył na brzeg strumienia, gdzie dwaj wieśniacy pod nadzorem Lara zmywali z rydwanu krew i zaschnięte błoto. – Podbił dziesiątą część Nemedii. Nie wątpię, że do tej pory również Brythuńcyzy zaczęli się go obawiać!

– Nic o tym nie wiem – Ludia beztrąsko wzruszyła ramionami. – Kiedy Lar wyjeżdża na spotkanie swoich żołnierzy, zostawia mnie w swoim namiocie. Wydaje niewiele rozkazów. Ludzie słuchają go z własnej, nieprzymuszonej woli i są

gotowi oddać życie za jego idee.

– Pewnie, bo są w szponach czarów – Conan utkwił poważne spojrzenie w twarzy Ludii. – Nie oszukuj się, dziewczyno! Larem o władzę potężna, złowroga moc, równie prastara i potworna, jak sam Set! – przekręcił głowę i splunął z odrazy. – Na pewno zdajesz sobie sprawę, że uczniowie twojego przyjaciela zatracili człowieczeństwo. Mają wszelkie ohydne oznaki...

– Wiem o tym – Ludia skinęła głową z niechęcią. – Lar posiadał niezwykłą moc przemieniania ludzi. Myślę, że tylko dla kaprysu pozostawił mnie taką, jaką byłam.

– Może dlatego, że ty jedna przyłączyłaś się do niego dobrowolnie, bez magicznego ukąszenia węża – Conan przyjrzał się Ludii szukając w wyrazie jej twarzy oznak potwierdzenia. – Sama widzisz, dziewczyno, Lar nie jest promiennym zbawicielem! To władca niewolników, wcielenie zła!

– A któż z naszych panów nim nie jest? – wybuchnęła Ludia rzucając Conanowi pełne płomiennego gniewu spojrzenie. – Któryż nadzorców w olbrzymim więzieniu, jakim jest Nemedia, nie włada potulnymi niewolnikami? Czy inaczej jest w którymkolwiek z hyboryjskich królestw? Który mąż nie poniża żony? Który kasztelan słucha głosu chłopów pańszczyźnianych? – potrząsnęła energicznie puklami, jej usta ściągnęły się w pełen gorzki uśmiech przypominający bliznę. – Który z baronów, wielmożny Conanie, zdobywa posłuch poddanych nie wyprawiając im żył i odcinając członków? – zacisnęła w pięści dłonie o umalowanych na czerwono paznokciach. – Uczniowie Lara żywią przynajmniej przekonanie, że są szczęśliwi! Nie grozi im już zaprzepaszczenie nadziei i zdeptanie godności!

Ku zaskoczeniu Cymmerianina, dziewczyna rzuciła się mu na pierś i przycisnęła zażawioną twarz do pancerza. Wstrząsana gorzkim szlochem, z rozpaczą wbijała mu paznokcie w ramiona.

– No już, dziewczyno, uspokój się. Nie zawsze musi być tak, jak mówisz! W Dinander wiele się zmieniło – mruknął Cymmerianin. – Pojawiła się przynajmniej szansa, że będzie się im żyło lepiej. Jeżeli chcesz, możemy wrócić tam razem.

Nie wypuszczając Ludii z objęć, Conan przyglądał się szczupłemu chłopcu na brzegu strumienia. Lar najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że niedaleko ktoś Wylewa gorący potok łez. Po chwili szlochanie Ludii ustało. Dziewczyna uniosła ku Conanowi spojrzenie zaczerwienionych oczu.

– Nie wiem, czy z tobą pojedę. Znalazłam sobie miejsce u boku Lara... – zacisnęła kurczowo dłoń na ramieniu barbarzyńcy. – Strzeż się go, Conanie! Jedno jego dotknięcie wystarczy, by zabić! Widziałam jeńców, których do niego przyprawiano, przeważnie ohydnych starych czarowników i wiedźmy! Wpychał im coś w usta, mówił do nich, a oni umierali!... Uważaj, wraca do nas!

Conan spojrzał za przygasające ognisko. Dwaj słudzy Lara pchali rydwan znad brzegu. Świeżo wymyte okucia lśniły czystością, a chłopak rozpierał się dumnie na siedzeniu.

Ludia wydobyla z wozu drewnianą szkatułkę z lustrem i zaczęła malować się na nowo. Cymmerianin wgrzył się w pęto suszonej kiełbasy wydobyte z kuferka z prowiantem. Od żucia suchego mięsa ból pod czaszką odezwał się na nowo, lecz rany na głowie nie dokuczały zbyt. Barbarzyńca pociągnął z bukłaka parę głębokich haustów wina.

Dwaj wieśniacy przyciągnęli umyty rydwan do ogniska.

– Widzisz, jak wspaniały pojazd nam się trafił? Wystarczy na całą moją świtę! – Lar z chłopięcą werwą zeskoczył z platformy rydwanu i stanął przed swoim jeńcem. – Och, czcigodny baronie, chyba nie gniewasz się, że z niego skorzystam? Tobie nie będzie już potrzebny! – Zaśmiał się niepowstrzymanie, ukazując równe, białe zęby. – Na drodze naszego marszu leży mnóstwo wielkich miast. Obawiam się, że zamieszkująca je szlachta mogłaby wzgardzić moją starą furą!

Conan nadal żuł kiełbasę, nie spuszczając z chłopca czujnego wzroku.

– Zamierzasz posuwać się dalej na południe? – zapytał.

– Och, tak! – Lar przytaknął ochoczo. – Na południu i wschodzie leżą największe skupiska ludzkie. To najbardziej podatny grunt dla naszych nauk. Spodziewam się jednak, że w swoim czasie roześlemy misje również na zachód i północ, by dotrzeć do wszystkich zakątków ziemi.

– Ruszasz natychmiast, kiedy uporasz się z towarzyszącymi mi baronami, tak? – spytał z namysłem Conan. – Wiesz, jak przebiega bitwa?

Lar powoli powiódł żarliwym spojrzeniem po monotonnej równinie, jak gdyby walka toczyła się w zasięgu wzroku.

– Obawiam się, że jesteście skazani na zagładę. Baronowie tracą jednego

człowieka na czterech czy pięciu moich uczniów.

– Hm. Chociaż to dzielni żołnierze, macie nad nimi przytłaczającą przewagę liczebną – Conan pokiwał głową, wierząc na słowo chłopcu. – Naprawdę możesz sobie pozwolić na tak duże straty?

– Nie obawiaj się, jeżeli nawet zabraknie mi zwolenników, to nie na długo – Lar z gracją wzruszył ramionami i przeciągnął się przed ogniskiem. – Moi uczniowie z każdym dniem zyskują coraz głębszą wiarę i doświadczenie w walce. Prawdę mówiąc, jestem wdzięczny Nemediańczykom, że dostarczają nam broni, rynsztunku i nowych wyznawców – chłopiec roześmiał się ponownie. – Wszystko to przyda się nam w przyszłości.

Conan poprawił się na poduszkach. Pewność siebie Lara działała nań przygnębiająco.

– Nie zapominaj, że wojska, które dziś stawiły ci czoło, są znikome w porównaniu z armiami królów Południa.

– Owszem – Lar pokiwał głową w zadumie i spojrział na Conana. – Zawędrowałeś do południowych królestw, prawda? Na pewno możesz mi powiedzieć o nich wiele przydatnych rzeczy. – Od niechcenia wsunął dłoń za wycięcie tuniki, nie spuszczać badawczego wzroku z twarzy Cymmerianina. – Ale nie! Czyż na Południu znajdzie się cokolwiek silniejszego od naszej wiary? Od pradawnej mądrości Seta?

Jeszcze raz uśmiechnął się impulsywnie i przysunął bliżej ognia.

– Władasz potężną magią – Conan upił jeszcze łyk z bukłaka i kontynuował, chcąc skłonić proroka do zwierzeń: – Rzeczywiście jest tak stara, jak chcesz mi wmówić?

– O tak! – Lar uśmiechnął się z chłopięcym wdziękiem do Conana i Ludii, skubiącej okruszki sera i suchego chleba. – Powstała dawniej od grodów, które niebawem otworzą przed nami swoje bramy, nawet od rasy ludzkiej! Jest starsza od tej równiny, okalających ją wzgórz, a nawet gór, które w zamierzchłej przeszłości dały im początek! – głos coraz bardziej podekscytowanego chłopca łamał się częściej niż dotąd. – Nasza wiara istniała już wtedy, gdy pierwsze stworzenie wydzwignęło się z przedwiecznych błot i po dziś dzień trwa z równą mocą!

– Istotnie, to prastare wyznanie – rzekł Conan darząc chłopca zamyślnym spojrzeniem. Gdyby tylko zdołał przytknąć Larowi ostrze do gardła, wykorzystałby go jako zakładnika, by powstrzymać jego strażników. Przede wszystkim musiał jednak ustrzec się przed jego magią. – Czy wasza wiara ma wiele świątyń i kaplic?

– Świątyń?! – Lar uznał widocznie pytanie za zabawne, ponieważ zaniósł się spazmatycznym śmiechem. Wytracony z równowagi i rozdrażniony kapryśnym zachowaniem chłopca, Conan upił kolejny łyk wina, czekając, aż jego rozmówca odzyska panowanie nad sobą. – Istotnie, starożytni wyznawcy naszej wiary stawiali świątynie na pustyniach Południa – rzekł w końcu zdyszany chłopiec. – Strzeliste przybytki kultu i wspaniałe grobowce zdobią prastarą krainę, nazywaną obecnie Stygią, lecz prawdziwe kościoły naszej wiary są... – urwał, wykrzywił się w dziwacznym uśmiechu, zdjął złoty diadem i stuknął się w skroń – ...właśnie tutaj, w naszych głowach! – dokończył cienkim falsetem. Podszedł do starego wozu i schował diadem. Powróciwszy do ogniska, podjął na nowo swe entuzjastyczne kazanie: – Wiedz, baronie, że każdy człowiek bezwiednie oddaje cześć Setowi pewnym zakątkiem swego mózgu! Chociaż może o tym nie wiesz, stare opowieści twierdzą wyraźnie, że wąż jest ojcem człowieka! Przemiana dokonała się w ciągu mrocznych eonów przeszłości, lecz przetrwała pamięć o niej. Ludzka skóra i włosy to jedynie cienka powłoka na lśniących łuskach dzieci Seta!

– Chcesz powiedzieć, że pierwsi ludzie wywodzą się od węży? – Conan odłożył bukłak, zaskoczony i zirytowany słowami przedwcześnie dojrzałego chłopca. – To skończone bzdury! Gdzie się ich nasłuchałeś?

– Powiadam ci, tkwi w nas dziedzictwo węża! Brr, zimny jest ten północny wiatr! – Lar przeganiał ogień żelaznym pogrzebaczem, a dwaj słudzy pośpieszyli dorzucić więcej chrustu. – Nie rozumiesz, że właśnie dlatego tak łatwo nam gromadzić nowych wyznawców, że to powód, dla którego triumf naszej wiary jest nieunikniony? – roześmiał się jeszcze raz i odwrócił w stronę Conana. Jego twarz na długą chwilę znieruchomiała w parodiującym rozbawienie grymasie, po czym oblicze Lara odzyskało normalny wyraz. – Jesteśmy tym, czym zawsze byliśmy. We wszystkich nas drzemie wężowy mózg. By nawrócić się na dawną wiarę trzeba go tylko obudzić!

– Niech cię diabli porwą, przestań mówić zagadkami, chłopcze! – za sprawą

wina i obawy co do celu przemowy Lara, Conan wstał i ruszył do zapatrzonego w ogień przywódcy kultu. Cymmerianin ukrywał w wielkiej dłoni krótki nożyk do chleba, lecz nie zdecydował się jeszcze go użyć. – Jak możesz stać tak blisko ognia? Podpalisz sobie portki! Powiedz mi, dlaczego twierdzisz, że...

Nim zdążył dokończyć pytanie, Lar odwrócił się na pięcie. Działo się z nim coś niepojętego. Uśmiechał się konwulsyjnie od ucha do ucha a jego twarz sprawiała wrażenie, jakby pokryły ją pęcherze od oparzeń. Conan dostrzegł, że oczy chłopca zachodzą bielmem, a rysy przemieszczają w niesamowity sposób.

Po chwili skóra chłopca pękła i rozeszła się, ukazując lśniąca powłokę pod spodem. Różowe płaty opadły na ramiona, a spod nich wyłoniły się romboidalne, błyszczące łuski, wilgotne i delikatne, jak u nowo narodzonego węża. Gadzie oblicze nadal przybierało okropne grymasy, podczas gdy ciało przemienionej istoty wiło się i wyginało, wydobywając ze starej powłoki. Stwór, który kiedyś był Larem, zaczął zdzierać resztki ludzkiej skóry i włosów spazmatycznymi ruchami pękających dłoni, spod których wyłaniały się cienkie, szaroniebieskie łapy. Z ust wysunął się gruby, rozdwojony język.

Koszmarne widok sprawił, że Ludia wrzasnęła przeraźliwie. Gdy nabierała powietrza, by krzyknąć znowu, Conan odrzucił krótki, bezużyteczny nóż i chwycił rozpalony do czerwoności pogrzebacz. Zaczął raz po raz uderzać w łeb nowo narodzonej potworności. Pomarańczowy koniec pogrzebacza zataczał szerokie łuki na tle pochmurnego nieba. Conan nie ustawał w masakrowaniu syczącej, plującej istoty nawet wtedy, gdy ta bezwładnie osunęła się na ziemię.

Dawny kłusownik postanowił wreszcie zacząć działać. Ruszył niezgrabnie do Cymmerianina i za moment pogrzebacz wyładował na jego szczęce. Nieprzytomny mężczyzna padł w płomienie, a jego futra zajęły się ogniem.

Usłyszawszy za plecami ciężkie kroki, Conan odwrócił się. Drugi sługa wężowego proroka słał się na nogach, lecz próbował jeszcze dosięgnąć Conana. Zanim Cymmerianin zdążył zareagować, Ludia zadała kowalowi cios sztyletem w nie osłonięty skórzaną kamizelką kark. Rana nie była na tyle ciężka, by zwalić mężczyznę z nóg. Na jego obwisłej twarzy malowały się dezorientacja i ból. Szedł potykając się o własne nogi, utkwivszy przed sobą niewidzące spojrzenie. Po chwili runął na kolana i osunął na zdeptaną murawę. Conan uważnie przyjrzał się nieruchomej postaci.

– Czy to ostrze jest zatrute?

Pobladła Ludia pokręciła przecząco głową.

– W takim razie umarł, bo zginął jego pan – powiódł wzrokiem po pustej równinie. – Miejmy nadzieję, że to samo spotkało wszystkich uczniów Lara.

Odwrócił się w stronę ciała leżącego na skraju ogniska. Głowa przemienionej istoty była tak zmiażdżona, iż nie sposób było rozróżnić ludzkich czy gadzich rysów.

Nagle spomiędzy zboczonych krwią fałdów purpurowej tuniki wynurzyło się przypominające kijankę stworzenie i pomknęło w trawę w poszukiwaniu ukrycia. Conan zręcznie nadział je na czubek pogrzebacza i wrzucił w gorejące ognisko. Przez chwilę stworzenie wiło się jeszcze, po czym zamarło pośród syku pary. Cymmerianin podszedł do dygoczącej Ludii i wziął ją w ramiona, bacznie przeczesując wzrokiem równinę.

– Mogą tu czyhać jeszcze inne niebezpieczeństwa. Mam nadzieję, że Lar kłamał i nie grozi nam moc Seta, lecz bóg, który tak długo czekał na przebudzenie, na pewno może znów powstać. Musimy pogrzebać szczątki tego potwora.

Zabrali się do pracy. Niebawem zaprzężony rydwan potoczył się po równinie pod burą powalą chmur.

XVII

POWRÓT DO DINANDER

– Wyprawa okazała się taka, jak przewidywałem, panowie baronowie: szybka i uwieńczona powodzeniem. Teraz czeka nas powrót do domu – siedzący na potrzaskanym murze z polnych kamieni Sigmark uniósł kubek do ust i upił łyk, nim ponownie popatrzył na towarzyszących mu dowódców. – Sądzę, że nasi poddani dzielnie się sprawili. Zasługują po powrocie na ucztę z obfitością wina i dziewczek.

– Ha! Zapewne, chociaż wróg okazał się o wiele mniej groźny, niż mnie przekonywano. Straty zaś niezbyt ciężkie.

Otulony grubymi futrami Ottysław rzucił ponure spojrzenie wzdłuż obsadzonego

drzewami traktu. Żołnierze rozsiedli się po obu stronach drogi, by wypocząć przed dalszą wędrówką.

Siedzący pod murem obok Ludii Conan zawiercił się tak gwałtownie aż zazgrzytała zbroja.

– Niech was porwą wszystkie omszałe diabły! – z chmurną miną utkwiał wzrok w kolumnie wojsk Dinander, ponad połowę krótszej niż na początku wyprawy. – Naszym wojskom nie przyszło łatwo wywalczenie zwycięstwa. Zastanawiam się, dlaczego wasze kompanie poniosły tak małe straty? – Rzucił nieprzychylnie spojrzenie dwóm pozostałym dowódcom.

Po chwili pogardliwego milczenia, Ottysław odpowiedział pobłażliwym, uspokajającym tonem:

– Ach, cóż, baronie! – Ani on, ani Sigmark nie fatygowali się już używaniem imienia „Favian”. – Nie wiń się za to! Nie ma nic dziwnego w tym, iż siły młodego, niedoświadczonego dowódcy ponoszą dotkliwe straty, podczas gdy wojska bardziej wytrawnych wodzów uchodzą cało. Nawet ty w swoim czasie nauczysz się temu zapobiegać.

– Łotrze! – Conan zerwał się na równe nogi i chwycił za rękojeść miecza. – Mam nadzieję, że nigdy nie nauczę się kryć przed wrogiem za sprzymierzeńcami!

– Spokojnie, baronie – wtrącił się Sigmark unosząc pojednawczo szczupłą, wypielęgowaną dłoń. – Nie zapominaj o swej szlacheckiej godności. A ty, Ottysławie, nie prowokuj młodego wodza w takiej chwili. Nie widzisz, że jest wytracony z równowagi znacznie większą stratą? Nie można mu się dziwić – szczupły arystokrata zmierzył Cymmerianina nieprzeniknionym, spokojnym wzrokiem. – Chcę ci złożyć wyrazy współczucia, baronie, zwłaszcza z powodu śmierci twojej przyjaciółki Evadne. Była naprawdę piękną kobietą.

– Ha! Na jego miejscu nie biadałbym po niej za bardzo! – prostacki Ottysław włączył się do rozmowy, zanim Conan zdołał wymyślić wystarczająco kaśliwą odpowiedź. – Wszak widać, że nie ma kłopotów z wyszukiwaniem po drodze zabłąkanych dziewczek!

Gdyby rękojeść miecza Conana była ludzkim karkiem, ten trzasnąłby natychmiast w dłoń Cymmerianina. Na szczęście czując równie zdecydowaną dłoń Ludii na ramieniu i słysząc jej gorączkowy szept, zdołał powściągnąć furię:

– Pohamuj się, Conanie, proszę! Pomyśl o swojej strudzonej armii i nie wszczynaj następnej wojny!

Stanowczość dziewczyny sprawiła, że barbarzyńca rzucił baronom gniewne spojrzenie i odszedł na bok. Towarzyszka Cymmerianina nie wypuszczała jego łokcia z ręki.

Po pogrzebaniu szczątków Lara Ludia założyła skromniejszą suknię z jedwabiu i koronek. Mimo to jej strój stanowił obecnie olśniewającą feerię ciepła i barwy na tle spłowiałej zieleni okolicy oraz źródło pociechy dla oczu strudzonych wojowników. Idąc wraz z Cymmerianinem w stronę rydwanu na przodzie kolumny, łaskawymi skinieniami głowy kwitowała pełne uznania ukłony i pomruki odpoczywających żołnierzy.

Ludia zachowywała się dużo bardziej statecznie, niż w czasie służby w pałacu. Jej sądy były dojrzałe, odznaczało się w nich zdobyte w ciężkich przejściach doświadczenie.

Gdy po śmierci Lara Conan i jego towarzyszka dołączyli do wojsk baronów, kult czcicieli węży przestał istnieć. Najmniej przypominający ludzi wężowi wojownicy padli trupem równocześnie ze zgonem swego wodza. Trupy większości z nich uległy natychmiast błyskawicznemu rozkładowi. Inni wyznawcy, obdarzeni jedynie powierzchownymi gadzimi cechami, porzucili broń i zaczęli wędrować bez celu po polu bitwy. Nemediańczycy szybko i bez trudu unicestwili otępiałych nieprzyjaciół. Jeszcze inni czciciele węży, których nie zmieniło działanie czarów, po śmierci Lara wrócili mniej więcej do zdrowych zmysłów. Walczyli bez zapału, wyłącznie w samoobronie i uciekali, gdy tylko pozwoliły na to okoliczności. Kilkakrotnie Conan musiał powstrzymywać nemediańskich oficerów, by nie dopuścić do rzezi żałosnych niedobitków.

Nim ostatni czciciele węży polegli lub uciekli, zerwał się rozganiający dym i chmury wiatr. Wkrótce równina odzyskała normalny wygląd, a Conan zebrał wokół siebie pozostałych przy życiu żołnierzy Dinander. Strudzeni po ciężkim boju, byli zadowoleni ze zwycięstwa, ale podobnie jak ich dowódca, otwarcie okazywali wzdargę wojskom baronów. W drodze powrotnej nie tylko Conan stronił od rozmów z rzekomymi sprzymierzeńcami.

Zasiadłszy w rydwanie i popędziwszy konie do szybkiego biegu, Cymmerianin

przysięgł sobie od tej pory, za wszelką cenę unikać Ottysława i Sigmarka.

– Nie martw się! – pocieszała go Ludia. – Przed zmierzchem powinniśmy dotrzeć do Dinander. Jeżeli do tego czasu nie doprowadzisz do wojny, czeka nas pewnie wiele lat pokoju. Sądząc z tego, co mówisz, nowe władze prowincji są tak słabe, że nie mogą pozwolić sobie na kolejny konflikt.

– Masz rację, dziewczyno – Conan wziął lejce w jedną rękę, drugą objął krągłe ramiona Ludii i przycisnął ją do siebie z ochotą, której nigdy nie okazał Evadne. – Oczywiście, nie sposób powiedzieć, co nas czeka w Dinander, ani nawet czy to przeklęte miasto w ogóle jeszcze stoi, ale przysięgam ci, że jeżeli został z niego chociaż kamień na kamieniu, będę tam panem! – zaśmiał się żywiołowo. – Nie jestem już udawanym arystokratą. Zdobyłem wiedzę, której mi wcześniej brakowało. Chcąc nie chcąc, prócz gięcia karku i służalczości, nauczyłem się, jak należy rządzić. Wracam po zwycięskiej wyprawie do Dinander z oddaną mi armią. Wiem, co kryje się za matactwami szlachty i potrafię wywinać się z zastawianych przez nich pułapek. Powiadam ci, dziewczyno, powstrzymam Nemedianczyków od mordowania siebie nawzajem, nawet jeżeli przyjdzie mi rozwalić parę łbów! A ciebie obsypię bogactwami i zaszczytami, gdy tylko dotrzemy do zamku. Kiedy udawałem barona, najbardziej gnębiło mnie, że nie miałem nikogo, z kim mógłbym szczerze rozmawiać. Gdy zostaniesz baro...

– Wstrzymaj się, Conanie, zanim powiesz za dużo! – młoda kobieta przyłożyła palec do jego ust, nakazując kochankowi opamiętanie. Obdarzyła go poważnym spojrzeniem rozszerzonych oczu. – Nie za szybko składasz tę obietnicę? Szlachta dobiera sobie małżonków ze względów politycznych, by scalać włości i płodzić utytułowanych potomków. Niewykluczone, że aby umocnić swoją władzę, będziesz musiał przystać na podobny związek... może nawet z Calissą Einarson! Skoro, jak twierdzisz, oszalała, być może wystarczy tylko formalne zawarcie małżeństwa? Ja zadowolę się skromnym życiem na uboczu, jeżeli tylko się mnie nie wyrzekniesz.

Powiodła dłonią po pancerzu na jego udzie, by podkreślić pełne znaczenie swoich słów.

– Nie, dziewczyno, nie mów w ten sposób! Zabiłem przecież Baldomera. Poślubienie jego córki byłoby dla niej zbyt wielką hańbą, czy jest zdrowa na umyśle, czy szalona! – skwitował pomysł Ludii gorzkim śmiechem. – Poza tym jako władca zamierzam decydować o własnym losie z równą swobodą, jak o losach prowincji. Nie pozwolę, by układni dworzanie brali mnie w karby i podpowiadali, co mam robić – ponownie przycisnął dziewczynę do siebie. – Nie, Ludio, wybieram ciebie. Jesteś wesoła, uczciwa i dobra. Pomyśl tylko: podczas wspólnie spędzonych nocy, gdy zastanawiałaś się, jak by tu poślubić barona, najlepszy kandydat chrapał u twego boku!

Kolumna wojsk pokonała łańcuch wzgórz. Popołudnie było ciepłe i rozleniwiające. W głębi rozszerzającej się doliny wyłoniły się wreszcie mury Dinander. Okazało się, że oblegający nie tłoczą się u bram miasta. Unosiły się nad nim nie ognie pożarów, lecz cienkie strużki dymu z kominów garbarni, piekarni i kuźni. Pracujący obok drogi chłopci klękali, gdy mijali ich bojowy rydwan. Wkrótce pojazd dojechał do łuku szerokiej rzeki, na której leniwych wodach unosiły się krypy i dębunki.

Armia dotarła wreszcie do bram miejskich. Okute żelazem wierzeje pięły się równie wysoko, jak okalający je ciemny, kamienny mur. Otwarta była jedynie niewielka bramka dla harcowników. Pełniło przy niej wartę dwóch żołnierzy straży miejskiej. Przechodzili tędy piesi wędrowcy. Nad blankami muru widać było twarze wielu ludzi, między nimi grupki oficerów. Najwidoczniej wysłani przez Conana gońcy zdążyli powiadomić mieszkańców o powrocie wojsk.

Cymmerianin usłyszał, że oficerowie Ottysława i Sigmarka rozkazują swoim żołnierzom stanąć. Wojska baronów zatrzymały się w sporej odległości od murów Dinander, poza zasięgiem strzał z łuków. Conan poprowadził pewnie swoje kompanie wprost ku masywnym wrotom. Wierzeje zaczęły się uchylać w chwili, gdy Cymmerianin uniósł dłoń. Zza otwierających się wrót rozległ się radosny, szmer tłumu mieszkańców miasta.

– Widzisz, dziewczyno? Witają nas, jak należy!

Conan uszczypnął Ludię na szczęście. Ponownie wznosił dłoń, nakazując oddziać wejść do miasta, lecz nie nastąpił oczekiwany przez niego szcęk broni i ryszunku. Barbarzyńca szarpnął lejce i obejrzał się za siebie.

Zachowując ścisły szyk, kompanie Dinander nie ruszały się z miejsca. Żołnierze wydobyli miecze, wznieśli je ku niebu i wykrzyczeli:

– Co-nan! Co-nan!

Zaczęli uderzać bronią o lśniące tarcze. Metalicznemu łoskotowi wtórowały chóralne okrzyki zza bramy miejskiej.

– Na Croma! – Conan doznał zawrotu głowy. Po raz pierwszy nie czuł dręczących wątpliwości, towarzyszących mu od dnia opuszczenia miejskiego lochu. Odwrócił się w stronę miasta i uśmiechnął do Ludii.

– Słyszysz, dziewczyno? Rozumiesz, co to oznacza? – przycisnął Ludię do siebie, aż jej zębra zatrzęszczały. – Wiwatują otwarcie na moją cześć moim prawdziwym imieniem! Nie musimy się już niczego bać!

Cymmerianin ponownie uniósł ramię. Tym razem kolumna wojska ruszyła za nim.

Triumfalny wjazd stanowił wspaniałe widowisko, pod każdym względem świetniejsze od powrotu Baldomera do Dinander w przeddzień śmierci starego barona. W ciągu ostatnich dni po stolicy prowincji krążyły mrozące krew w żyłach pogłoski o zbliżaniu się czcicieli węży. Całkowite zwycięstwo nad tym koszmarnym kultem stanowiło źródło wielkiej ulgi. Poza tym było to pierwsze święto pod nowymi rządami, bez ograniczeń narzucanych przez znoszonego przez długie lata tyrana.

Powracającym wojskom towarzyszyła dzika niepowstrzymana radość. Kapłani i władze nie mieli najmniejszego zamiaru stawiać tamy wybrykom świętujących. Ładacznice i matrony tańczyły na ulicach półnago, jeszcze śmielsi ucztujący płasali całkiem goli w fontannach. Pijani biesiadnicy chwyтали się pod ręce i włączyli po mieście, śpiewając sprośne piosenki. Grupy wieśniaków tańczyły na skrzyżowaniach i przed dostojnymi gmachami rozhukane galopki.

Gwoli prawdy, przemarsz Conana witały równie często łyż rozpacz, jak radości. Wyprawa poniosła ciężkie straty. Wdowy i narzeczone opłakiwały tych, którym nie dane było powrócić, lub których z ciężkimi ranami wieziono na wozach taboru.

Całych i zdrowych żołnierzy obsypywano tymczasem kłosami zbóż, płatkami kwiatów, kokardami i bardziej wyszukаныmi częściami kobiecego stroju. Na każdej ulicy pragnienie wojaków gasiły wino i gorące pocałunki. Namiętne dłonie odciągały wielu z powracających, gdy tylko kolumna uwięzła w tłumie.

Oficerowie Conana nie byli aż tak wielkimi służbistami, by wobec tylu pokus zmuszać żołnierzy do pozostania w szyku. W miarę zbliżania się do pałacu, szeregi rzedły coraz bardziej. W końcu za rydwanem jechało tylko parę wozów z taboru i konna straż.

Conan powoził rydwanem, dzierżąc w jednej dłoni lejce i wciśniętą mu po drodze butelkę wina, a drugą obejmując Ludię. Hojnie wlewał jej i sobie trunk do ust, lecz mimo to usiłował śledzić rozmowę jadących za nim oficerów.

– Co rzekłeś, człowieku? – zawołał nagle do najbliższego z nich. – Co mówiłeś o Ottysławie i Sigmarku?

Oficer pochylił się w siodle, by móc przekrzyczeć zgiełk.

– Och, panie, dowiedziałem się, że zamiast kontynuować marsz w stronę granicy prowincji, baronowie rozbili obóz tuż za murami miasta.

– Naprawdę? – Conan przez chwilę rozważał tę wiadomość. – Zamknięto przed nimi bramy, prawda?

– Tak jest, panie. Mamy rozkaz nie wpuszczać do Dinander obcych żołnierzy.

– Bardzo dobrze. Na pewno wojska baronów odjadą jutro rano – Conan odwrócił się do Ludii. – Kiedy dotrzemy do pałacu, dopilnuję, by wysłano jadło i napitek tym zatraconym łotrom. Nie sądzę, by groził nam atak z ich strony. Jest ich o wiele za mało, by odważyli się na szturm murów.

– Chyba że ktoś wpuści ich do środka – Ludia potrząsnęła ociężałą od wina głową.

Na całej długości głównej ulicy, drewnianym moście i podjeździe do pałacu panował taki sam tłok. Bramy rezydencji stały otworem. Ku zdumieniu Cymmerianina, nawet dziedziniec miał świąteczny wygląd, przystrojono go drzewkami i kwiatami w donicach. Było tu już o wiele luźniej, a witający Conana ludzie zachowywali się znacznie bardziej dostojnie. Ładu pilnowała straż miejska i gwardia pałacowa.

Gdy ostatni żołnierze skręcili w stronę stajni, Conan zajechał rydwanem pod szerokie, frontowe schody. Wsiadł z pojazdu i zestawił Ludię na ziemię.

Gdy wstąpili na schody pałacu, w drzwiach pojawiła się dworska świta. Tworzyli ją marszałek Durwald we wspaniałym napierśniku z godłem Czerwonych Smoków, siwy Lothian, przygarbiony pod ciężarem wyszukanego dworskiego stroju oraz kapłan Ulli, z przypasanym mieczem. Po obu stronach ustawili się buntownicy w pstrokatych szatach członków Rady Reform.

W środku powitalnego orszaku stała wysoka, szczupła kobieta. Miała na sobie szatę z długimi rękawami, głębokim dekoltem i sięgającym biodra rozcięciem, ani skromniejszą, ani bardziej kuszącą od strojów większości świętujących tego dnia mieszkańek Dinander. Jej głowę spowijała jedwabna szarfa.

Conan nie mógł oderwać wzroku od kobiety. Po chwili rozpoznał ją, bardziej po wiszących na piersiach sześcioramiennej amulecie, niż po pobladłej i wychudzonej twarzy. Była to Calissa.

Conan instynktownie opuścił dłoń na rękojeść miecza. W tym samym momencie na jego ramionach zacisnęły się dziesiątki dłoni w żelaznych rękawicach. Po chwili Cymmerianin poczuł na gardle nacisk ostrych mieczy. Sam barbarzyńca zapewne zdołałby się wyrwać i wyciągnąć broń, zachował jednak spokój widząc, iż jeden ze strażników przytyka broń do szyi zmarłej Ludii. Z żołnierzy wiwatujących niedawno na cześć Conana pozostała tylko garstka. Ci przyglądali się pojmaniu wodza ze szczerym zdziwieniem, lecz zupełnie nie kwapili się, by stanąć w jego obronie do walki z o wiele liczniejszą gwardią pałacową.

– Uzurpator znalazł się wreszcie na naszej łasce! – odezwała się Calissa do towarzyszących jej mężczyzn. Jej głos nie był tak melodyjny jak dawniej. Nadwerzęły go wrzaski najgorszego okresu oblężenia lub też arystokratka zapomniała, jak go używać, podczas późniejszego okresu całkowitego milczenia. Kobieta uśmiechała się posępnie, jednak w jej ciemnych, zapadniętych oczach znów malowała się dawna inteligencja.

– Oto zdradziecki strażnik naszego domostwa, który przywłaszczył sobie tytuł barona, oraz jego wymalowana zabawka, dawna kuchta! – Calissa podeszła do schwytej pary patrząc na Cymmerianina i Ludię z wyraźną odrazą. – Szkoda, że podstępna morderczyni, Evadne, nie żyje. Ją również kazałabym pojmać.

– Wolę uczciwą walkę, niż znoszenie w milczeniu twoich obelg, Calisso – Conan sprężył się wśród ciżby przytrzymujących go żołdaków z mocą, która sprawiła, iż jeszcze silniej zacisnęli na nim dłonie. – Wiedz, że Evadne zginęła za Dinander!

– Podobnie, jak mój ojciec i brat! W takim razie możemy uznać jej śmierć za wyrównanie rachunków – córka barona uśmiechnęła się lodowato, wzruszyła ramionami i podeszła bliżej. – Doskonale, Cymmerianinie! Dziękuję ci za unicestwienie kultu czcicieli węży. Zdołałby tego dokonać każdy jako tako uzdolniony oficer. Jeżeli myślisz, że ten łut szczęścia usprawiedliwia zagarnięcie rządów w Dinander, jeżeli myślisz, że miasto przystanie na rządy północnego dzikusy o splamionych krwią rękach... – zaczerpnęła tchu i dokończyła – ... będziesz miał czas zmienić zdanie, zakuty w łańcuchy w najgłębszym lochu w pałacu.

Gniewna przemowa Calissy spotkała się z milczącą aprobatą zebranych za jej plecami szlachciców i buntowników. Conan szukał daremnie w ich twarzach śladu oporu, pociechy lub znaku, że nie wszystko jest dla niego stracone. Zrozumiał, że sprawująca władzę koalicja, podczas jego nieobecności doszła do porozumienia z Calissą, gdy tylko córka Baldomera odzyskała rozum. Zapewne stwierdzono, że bezpieczniej będzie, by na pokaz włądała córka Einarsonów niż cudzoziemiec. W końcu sam Conan, zawieszając na jej szyi prastary amulet mimowolnie udowodnił, że Calissa ma uprawniającą do panowania magiczną moc.

Tymczasem córka barona najwidoczniej postanowiła skorzystać z okazji, by wygłosić mowę. Weszła na rydwan, by zbierający się na dziedzińcu tłum mógł ją lepiej widzieć i zawołała:

– Ludu Dinander! Dzisiejszy dzień ogłaszamy świętem! Wiedźcie, że macie podwójny powód do radości! Jak sami widzicie, uporaliśmy się z jeszcze jednym, większym niż czciciele węży zagrożeniem dla naszego miasta! – wskazała unieruchomionego Conana i Ludię. – Przysięgam wam, że już nigdy nie zawiśnie nad wami podobna groźba! Dziękuję Ulli, że odsunęła dręczącą mnie chorobę. Gdy to się stało moi szlachetni doradcy postanowili dowieść swej lojalności złożeniem mi przysięgi na wierność jako władczyni Dinander. Co najmniej równie wdzięczni powinniśmy być władcom ościennych baronii, ślącym podczas minionej wyprawy kurierów z doniesieniami o ohydny spisku, grożącym nam rządami bezwzględnej cymmeriańskiego awanturnika! Wiedźcie wszelako, że ta historia dała nam jasne wskazówki, jak zachować pomyślność Dinander. Mój ojciec i brat nie żyją. Nie można było dopuścić, by ich zabójcy zawładnęli prowincją. Nadszedł kres rządów miecza, skalanego krwią mego rodu! – Calissa uniosła ku niebu rozpostartą dłoń ziemistej barwy i powoli opuściła ją do boku. – Oczywiście, ohydne oszustwo cudzoziemskiego wyrzutka nie mogło się udać. Lud Dinander nigdy nie pogodziłby się z panowaniem pospolitego łotra! Nie zniósłby tego również król w Belverus!

Także sprzymierzeni z nami baronowie nie mogli przystać na rządy uzurpatora. Właśnie teraz obozują pod naszymi bramami, bowiem przysięgli wspomóc nas w razie potrzeby. Wiedźcie, że gdyby jakimś podłymi sztuczkami morderca podszywający się pod mojego brata przechwycił władzę, sto kompanii Ottysława i Sigmarka przystąpi do oblężenia miasta. Ponieważ zdołaliśmy poradzić sobie sami, wojska baronów niewątpliwie już jutro wyruszą w drogę powrotną! – Calissa przerwała orację, wyraźnie chwielejąc się z wyczerpania. Mimo to po chwili uniosła dłoń do piersi i podjęła z iście nadludzką determinacją: – Dziedzictwo krwi Einarsonów i moc tego oto amuletu sprawia, że musicie słuchać moich rozkazów – szlachcianka zacisnęła dłoń na łańcuchu sześcioramiennego amuletu, jakby grożąc, że ściągnie go przez głowę i rzuci w tłum, nie oglądając się na konsekwencje. – To stara, pogańska klątwa... – kontynuowała twardo. – Gardzę nią, ale nie mogę się od niej uwolnić, podobnie jak wy. Zapewniam was, że jestem gotowa w każdej chwili użyć mocy amuletu, by uchronić Dinander przed anarchią lub obcą tyranią.

Rozwarła uścisk na łańcuchu, pozwalając zawisnąć amuletowi swobodnie. Conan z ulgą wypuścił powietrze z piersi, podobnie jak prawie wszyscy dostojnicy słuchający przemowy Calissy. Mało kto tak dobrze jak oni zdawał sobie sprawę, że zdjęcie amuletu za życia z szyi prawowitego posiadacza oznacza wyrwanie mściwych Einarsonów z wiecznego snu. Córnka Baldomera podjęła na nowo przemowę, wskazując Cymmerianina wyciągniętym palcem:

– Widzieliście, jak ten cudzoziemski oszust wjechał triumfalnie do naszego miasta w błogim przekonaniu, że zrzekniemy się wolności przed nim i towarzyszącą mu dziewczką. Widzieliście, jak powstrzymały go prawowite władze, czyli ja i wspierająca mnie Rada. Pytam, czy jest ktokolwiek, kto chciałby się za nim wstawić? – powiodła po mieszczańskich palącym spojrzeniem, w którym czaiła się wymowna groźba. – Pytam was, czy ktokolwiek wątpi, że kobieta może sprawować rządy w Dinander? Jeżeli tak, niech rzuci mi wyzwanie!

Na chwilę zapanowała dręcząca cisza. Trwała tak długo aż Conan zdecydował się ją przerwać.

– Dość, Calisso! – zawołał. – Widać, że jesteś jeszcze gwałtowniejsza od swojego ojca! – wyszarpnął z uścisku ramiona i szyję, by zaczerpnąć tchu. – Jak zamierzasz się na mnie zemścić?! Chcesz przelać mój krew na bruku przed twoimi stopami, by udowodnić, że nie jest błękitna, jak przystało na władcę Dinander? Co zrobisz z niewinną niczemu Ludią, którą wszak sama ocaliłaś przed śmiercią?

Calissa odwróciła się w stronę Conana, chwielejąc się z wyczerpania. Jej upiornie blade rysy wykrzywił triumfalny uśmiech.

– Nie jestem na tyle okrutna, by pozbawiać cię uścisków kobiety, na której tak bardzo ci zależy! Skujcie ich razem w lochu! – rozkazała, władczym gestem dając znak, że uznaje sprawę za rozstrzygniętą. Potem odwróciła się do swoich doradców i stwierdziła: – Panowie nadszedł czas, by uczcić zwycięstwo.

XVIII

MIECZ EINARA

– Na żyzne łono bogini plonów! Kiedy zgodziłam się rządzić tym miastem, nie wiedziałam, że będzie to aż taka udręka! – mrużąc oczy, rozespana dziewczyna wyłoniła się z pogrążonej w mroku sypialni. – Dlaczego mam zaczynać władanie o tak nieludzkiej porze, zanim wstaną pierwsi z moich poddanych? Założę się, że najwięksi opoje nawet jeszcze nie położyli się do snu! – otuliwszy się ciasniej zieloną szatą opadła na wyściełaną otomanę naprzeciwko ustawionych w łuk foteli, na których zasiadali Durwald, stary Lothian, kapłan Ulli i dwóch innych buntowników.

– Uuf! – stęknęła kobieta, przytrzymując dłonią kołyszący się na jej piersiach ciężki amulet. – Jestem pewna, że szczątki moich przodków przewracają się teraz w rodzinnej krypcie. Mam wrażenie, że wyglądam nie lepiej od nich.

– Bynajmniej, pani – stwierdził kurtuazyjnie radca Lothian. – Na pewno nikt nie odniósł takiego wrażenia zeszłej nocy, gdy tańczyłaś z kupcami i dworzanami. Żałuję, że nie zaryzykowałem nadwężenia moich starych kości, prosząc cię do tańca.

Calissa uśmiechnęła się słabo, doprowadzając do ładu swe długie włosy srebrnym grzebieniem.

– Zeszłej nocy miałam wszelkie powody do zadowolenia, radco. Zwycięstwo nad nieprzyjaciółmi, zaprowadzenie porządku w mieście, to dość, bym znów poczuła się jak młódka.

– Pani, wszakże nią jesteś! – zmierzony przez władczynię podejrzliwym spojrzeniem, marszałek Durwald pośpieszył z wyjaśnieniami: – Świadczą o tym twoje zdrowie i uroda. Wprawiasz w zachwyt wszystkich poddanych. Przywilej służenia ci jest dla nas radością.

Ignorując zawarte w tonie dworzanina aluzje do osobistego zainteresowania jej osobą, Calissa obdarzyła go chłodnym spojrzeniem.

– Racz pamiętać, marszałku, że w razie potrzeby obejmuję dowodzenie nad naszymi wojskami – i wtedy zostanę twoim zwierzchnikiem. W chwili obecnej pochłania mnie brzemień innych obowiązków, odczuwam też wyczerpanie po niedawnej chorobie. Los pokaże, czy zdołam jeszcze kiedyś oddać się... uciechom właściwym mej płci – oddzieliła spomiędzy rudych włosów przedwcześnie posiwiały kosmyk i bezlitośnie go wyrwała. – Jedno jest pewne; jeżeli mam dobrze służyć wam i całej prowincji, muszę zwracać mniej uwagi na mężczyzn niż przedstawicielki rodu Einarsonów czyniły to w przeszłości.

– Odważna i słuszna decyzja, pani – włączył się do rozmowy kapłan. – Wydaje się, że dzięki niej zdołaliśmy przezwyciężyć wczorajszy kryzys.

– Istotnie – Durwald uśmiechnął się z zadowoleniem do pozostałych. – Szybko poradziliśmy sobie z barbarzyńcą. Wydaje się, że w uniesieniu wywołanym zwycięstwem ludność miasta nie zwróciła uwagi na jego pojmanie. Moi oficerowie nie donieśli o żadnych niepożądanych pogłoskach o losie Cymmerianina, nawet pośród jego towarzyszy broni.

– Nie? Gdy dowiedziałem się, jak radośnie witano go przy bramie miejskiej, obawiałem się rozruchów – stary Lothian smętnie pokręcił głową. – Najwidoczniej był to słomiany zapał.

– Owszem – zaśmiał się Durwald. – Dowiedziałem się od jednego ze szpiegów Sigmarka, że w obronie Cymmerianina stanął tylko niejaki Rudo, jeden z jego więziennych towarzyszy, którego barbarzyńca mianował oficerem w swojej armii. Na szczęście moi strażnicy śledzili zeszłej nocy tego łotrzyka. Przyłapali go na rabowaniu kasy piwiarni i wtrącili z powrotem do miejskiego lochu, gdzie niewątpliwie jest jego miejsce – marszałek uśmiechnął się szerzej. – Założę się, że po wczorajszej pijatyce żadnemu żołnierzowi powracających wojsk nie wpadnie do głowy opowiedzieć się po stronie cudzoziemca.

– Płyń z tego warta zapamiętania nauka, iż podstawową cechą tłumów jest niestałość – Calissa powiodła po zebranych poważnym spojrzeniem. – Poznał ją mój ojciec, a obecnie jego zabójca. Miejmy nadzieję, że nigdy nie odczujemy jej na własnej skórze!

– Tak czy owak, w mieście panuje obecnie spokój – wtracił się kapłan. – Mogę zaświadczyć, że niedawni rebelianci uważają nasze wspólne władanie za łaskawe. Jestem przekonany, że nic nie zagraża naszej pozycji.

– Owszem – dorzucił uspokajającym głosem Lothian. – Dlatego nie powinna nas martwić ucieczka barbarzyńcy...

– Co?! – chorobliwie blade oblicze Calissy zbieleło doszczętnie, grzebień wypadł z jej dłoni. – Co to ma znaczyć?! – jej spojrzenie omiotło krąg bynajmniej nie zaskoczonych twarzy. – Conan uciekł! A co z jego dziewczką, Ludią?! Czy ona też zniknęła?

Durwald skinął poważnie głową.

– Jakimś cudem więźniom udało się w nocy zwabić do celi strażnika. Pobili go do nieprzytomności i odebrany mieczem wyważyli pierścień łańcucha, którym przykuto oboje do ściany – marszałek zwiesił głowę jakby czuł się winny bezmyślności strażnika. – Odkryto, że po wydostaniu się z celi zeszli do piwnic. Najprawdopodobniej uciekli z rezydencji starym tunelem, prowadzącym z krypty w podziemiach pałacu na drugą stronę murów.

– Ogłoszono alarm? – w trakcie relacji Durwalda Calissa wstała i zaczęła gorączkowo chodzić w tę i z powrotem. – Czy zawiadomiono gwardię? Co meldowały warty przy bramach miejskich?

Lothian splótł dłonie na kolanach i uważnie obserwował władczynię.

– Ucieczkę więźniów odkryto dopiero nad ranem, pani. Straże miejskie nie zatrzymywały przechodzącej przez bramy świętującej ludności. Uznaliśmy, że najlepiej będzie zasięgnąć twojej rady przed ogłoszeniem powszechnego alarmu.

– To ogłoszcie go wreszcie! – Calissa obrzuciła starca spojrzeniem pełnym palącego gniewu. – Liczycie, że znowu zwariuję? Traktujecie to jako próbę? – przepełniona wściekłością, powiodła wzrokiem za spojrzeniem Lothiana ku zamkniętym drzwom, za którymi niewątpliwie stały strażnicy. – Ciekawe, kogo posłucha armia; doradców dworu czy szalonej władczyni, prawda?

– Pani, pragnęliśmy jedynie wskazać ci, iż ogłoszenie alarmu może doprowadzić do wywołania niepokojów, być może nawet zamieszek wśród ludności – rzekł kojącym tonem kapłan Ulli. – Jeżeli zaczekamy na rozwój wypadków...

– Zaczekamy? – Calissa zaśmiała się, a w jej głosie zabrzmiał nieokiełznany szal. – Mamy czekać, aż uzurpator znów puści w ruch młyny zdrady i intryg?! Aż za naszymi plecami podporządkuje sobie miasto? Pamiętajcie o jego umiejętnościach, czyż nie widzieliście razem ze mną, jak powalał niczym rzeźne bydło zakutych w zbroje przeciwników? Powiadam wam, że Conan jest obdarzony mocą, z którą trzeba się liczyć! – odwróciła się na pięcie i ruszyła w drugą stronę komnaty, zamiatając podłogę połamami szaty. – Powinniśmy rozesłać oddziały, by go pojmano, jeżeli zaczął się w pobliżu miasta. Ostrzeżcie Sigmarka i Ottysława, by nakazali swoim drużynom to samo, o ile Cymmerianin nie zakradł się jeszcze do ich namiotów i nie poderżnął im gardeł jak jagniętom!

– Pani! – słabowity Lothian wyprostował się w fotelu i przemówił z zaskakującą mocą: – Zwrócenie się do nich o pomoc oznaczałoby niedopuszczalne okazanie słabości. Nie możemy pozwolić, by baronowie ościennych prowincji urządzili sobie naszym kosztem demonstrację siły, przy okazji grabiąc Dinander – starzec potrząsnął siwą głową. – Według ostatnich doniesień, wojska Ottysława i Sigmarka zwijają obozy. O ile zachowamy najnowsze wydarzenia w sekrecie, nasi sąsiedzi zostawią nas w spokoju.

– Cisz! – Calissa zwróciła w jego stronę rozgorączkowane spojrzenie przekrwionych oczu. – Nie możecie pojąć, co ten człowiek zrobił mojemu rodowi... i mnie! Jak mogliście dopuścić, by wymknął się pod osłoną nocy? Dlaczego ukrywaliście to przede mną?!

– Nie wiemy, jakie zamiary żywiłaś pani wobec Cymmerianina – Durwald z poważną miną uniósł się z fotela. – Przetrzywanie go w nieskończoność byłoby ryzykowne. Wcześniej czy później doprowadziłoby to do protestów i zamieszek. Bylibyśmy zmuszeni go stracić, lecz w ten sposób zaszkodziłibyśmy sobie jeszcze bardziej – marszałek utkwiał beznamiętny wzrok w swej władczyni. – Twoja obecność odbiera podstawę jego pretensjom do władzy. I tak nie mógłby rządzić, ponieważ w jego żyłach płynie plebejska krew. Po prostu ucieknie z tych stron, a gdy tak się stanie... – marszałek wykonał gest, symbolizujący strzepywanie niewidocznego pyłka – ...kłopot zniknie.

Calissa zrazu nie odpowiedziała. Kaskada bujnych, rudych włosów skrywała jej pochyloną twarz. Kapłan podszedł do arystokratki i w geście pociechy położył jej dłoń na ramieniu.

– Wszystko się dobrze ułoży, pani. Stało się wedle twojej woli; zakończył się rozlew krwi.

– Cóż, trudno – Calissa uniosła zbolaną twarz, po której spływały łzy. Przeniosła wzrok z posadzki na oblicza doradców i dalej, w stronę rozświetlonego przez słońce okna. – Niech uciekają!

Nim Conan i Ludia zatrzymali się na południowych wzgórzach okalających dolinę Dinander, nastąpiła pełnia dnia. Jaskrawy błękit nieba odbijał się w spokojnej toni niewielkiego stawu. Równie żywy odcień miała zieleń pobliskiej łąki, na której pasł się skradziony jabłkowity koń.

Para uciekinierów siedziała na głazach nad brzegiem stawu. Kobieta odpoczywała, a Conan miarowo uderzał kamieniem o ostrych krawędziach w okowy na jej nadgarstku owiniętym kawałkiem tkaniny. Głuchy łoskot niósł się echem po wodzie. Gdy spoina puściła, Cymmerianin sapnął z satysfakcją i zaczął rozginać żelazo końcem ułamanego miecza.

Śniadokóra dziewczyna zrzuciła z siebie prawie cały strój z atłasów i koronek. Rozciągnąwszy się na nagrzanym przez słońce głazie, w zadumie przegarniała wodę wolną ręką.

– Conanie, powinieneś być wcześniej opowiedzieć mi o swoich związkach z mieszkankami Dinander. Gdybym wiedziała, co naprawdę łączyło cię z Calissą, nie zachowywałabym się tak otwarcie podczas wjazdu do miasta.

– O czym miałem ci opowiadać? – Conan wzruszył ramionami, nie podnosząc wzroku znad rozkuwanego żelaza. – Calissa okazała mi dużo serca, lecz później postradała rozum i obwiniła mnie o wszystkie swoje nieszczęścia – mruknął zadumany. – Być może dobrze się stało, że jej zemsta nie dosięgła Evadne. Pewnie by torturowała lub otruła biedaczkę.

– Nie, Conanie, Calissa cię kochała – Ludia pokiwała ze smutkiem głową. – Jeżeli kiedykolwiek znowu zostaniesz władcą, musisz lepiej traktować kobiety.

Mogłeś rządzić Dinander z Calissą lub z Evadne, jeżeli była naprawdę taka, jak w twoich opowieściach. Ze mną nie miałbyś na to szans – dziewczyna westchnęła żałośnie. – Uważam jednak, że córka Baldomera będzie rządzić lepiej niż ojciec.

– Musi, jeżeli chce zachować władzę – Conan rozgiął kajdany, zdjął je z nadgarstka Ludu i rozwinął osłaniający go pas tkaniny. – Ale przynajmniej nie będzie prześladować jej groźba powrotu zmarłych przodków.

– O czym ty mówisz, Conanie? Czy ma z tym coś wspólnego ten rupieć, który zabrałeś z krypty?

– Owszem! To właśnie miecz Einara! – Conan uniósł narzędzie, którego używał do rozkucia dziewczyny: złamane ostrze ze spiżową rękojeścią o gardzie w kształcie krzyża. Po drodze Cymmerianin zdażył wydlubać z opraw zdobiące jelec klejnoty. Miejsca, w których się znajdowały, sprawiały wrażenie pustych oczodołów. – Oto źródło klątwy! – barbarzyńca podrzucił w dłoni zaśniedziałą rękojeść. – Nie zauważyłaś, że właśnie na nim wzorowany jest zaczarowany amulet Calissy? Stary Baldomer modlił się do niego – Cymmerianin powstał, odwiódł ramię i z całej siły cisnął prądawną broń. Spadła z cichym pluskiem na środek stawu. Zamigotały rozchodzące się wokół drobne fale. W chwilę później, w ślady miecza poszły rozkute okowy i łańcuchy. – Następnym razem, gdy dziadek Einar zechce do boju poprowadzić swoich martwych potomków, będzie musiał nadłożyć trochę drogi w poszukiwaniu miecza!

– Być może, ale minie jeszcze wiele czasu, nim mieszkańcy tych stron przestaną czuć lęk przed jego rodem – powiedziała Ludia patrząc w wodę. Conan pogładził ją po opalonych, gładkich plecach. Brak było na nich blizn po pejczu Faviana. Ich doszczętne zniknięcie stanowiło dla dziewczyny jedyną pamiątkę po czarnoksiężskiej mocy Lara.

– Nie sądzę, by Calissie przyszło kiedykolwiek użyć talizmanu – rzekła.

– Nie musimy suszyć sobie tym głowy! – Conan ujął Nemediankę za ramię pomagając jej wstać. – Chodź, dziewczyno! Czeka nas długa droga. Powiadasz, że nigdy nie widziałaś miast Południa? Znajdziesz tam łatwy żywot i bogactwa przekraczające twoje najśmielsze marzenia. W Shadizar złodzieje bywają zamożniejsi niż baronowie, a obdarzone wdziękiem i rozumem kobiety zachodzą tak daleko, dokąd tylko doprowadzą je marzenia. Jedziemy, dziewczyno! Czeka na nas cały świat!

EPILOG

RYDWAN

We wschodniej Nemedii, gdzie bujne łąki na obrzeżu Varakiel graniczą z suchym płaskowyżem, rozciąga się bezludne, jałowe bezdroże. Rolnicy i pasterze z okolicznych wiosek unikają tej połaci ziemi w przekonaniu, że nie dałaby ona żadnych plonów, a skażona trawa przyprawiłaby bydło o wyniszczającą chorobę.

Krażą opowieści, iż miejsce to było niegdyś areną wielkiej i doniosłej bitwy. Możliwe, że miała ona coś wspólnego z upiorną zarazą, która onegdaj zdziesiątkowała okolice, lecz pytani o to chłopci milkną, odwracają się beznamyślnie od rozmówcy i czynią kantem dłoni charakterystyczny, tnący gest. Podobno ma on symbolizować ostrze odrabujące łeb węża.

Również myśliwi unikają zapuszczania się w głąb tej doliny, gdyż na szczęście w sąsiedztwie jest pod dostatkiem zwierzyny.

Wszelako gdyby śmiały wędrowiec znalazł się w samym środku tej jałowej połaci, natrafiłby na osobliwe znalezisko – obszerny pierścień niewielkich kopców. Ponad tuzin porośniętych chaszczami stert kości przetykanych jest odłamkami przerdzewiałego bojowego rynsztunku, a leżące tu spękane czaszki, dobitnie świadczą, iż usypano je z ludzkich szczątków.

Gdyby wędrowiec zlekceważył lub nie zrozumiał ostrzeżenia, jakim jest zewnętrzny pierścień ponurych usypisk, w jego środku znalazłby mniejszy kopiec. Tworzą go metalowe okucia i nadtrawione przez ogień belki strzaskanego rydwanu. Stanowią one grobowiec zmiażdżonych kości zdeformowanej istoty.

Wątpliwe, by ów niski, zarośnięty chwastami wzgórek zatrzymał dłużej uwagę wędrowca – o ile wśród bujnej roślinności przegarnianej tchnieniami stepowego wiatru nie zabłysłoby obmyte deszczem, doskonale wypolerowane złoto. Umieszczony w oprawie ze szlachetnego metalu szmaragd zapewne sprawiłby na wędrowcu wrażenie wiecznie otwartego, zielonego oka.

Tu właśnie spoczywa zapomniana przez ludzi szkatuła w kształcie łba węża – skarbiec Seta. Należy modlić się, by nikt jej nigdy nie odnalazł.